

POLICJA WŁADZY
W służbie partii
czy obywateli

OBRAŹNICY
Kto się śmieje
z odpustów

CZY TRUMP PRZEGRA
Nadchodzą najważniejsze
wybory świata

DEMARCZYK
Nieuchwytna
gwiazda

ZIELEŃ JEST TU
Indiańskie lekcje
z mchu i paproci

Kraków 30 sierpnia 2020 nr 35 (3712)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Białoruś: przesilenie

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

HENRYK WUJEC
POLITYK
OD SERCA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480000



Z wielkim żalem zawiadamiamy, że 22 sierpnia 2020 r. w wieku 95 lat zmarła

Ś†P.

Józefa Hennelowa

Z „Tygodnikiem Powszechnym” związana od 1948 r., najpierw jako korektorka, później felietonistka i zastępczyni redaktora naczelnego. Autorka wielu książek i zbiorów felietonów, często poświęconych tematyce wychowania i rodziny, wysłanniczka redakcji na proces zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, bezkompromisowa komentatorka życia Polski i Kościoła – za tę służbę odznaczona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i papieskim Orderem św. Grzegorza Wielkiego. Z urodzenia i ducha wilnianka, z wykształcenia polonistka, z temperamentu działaczka społeczna, w III RP była m.in. posłanką na Sejm.

„Ktoś mnie kiedyś zapytał, czy kiedykolwiek wątpiłam. Odpowiedziałam, że nie – owszem buntowałam się nieraz, ale nigdy nie wątpiłam. Teraz nie mogłabym tak powiedzieć” – mówiła w ostatnim wywiadzie dla „Tygodnika”. Za Jej dar uczciwej rozmowy o sprawach najważniejszych także pozostajemy wdzięczni.

Rodzinie i Przyjaciołom Zmarłej składamy wyrazy głębokiego współczucia

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

KS. ADAM

Boniecki: *Dobrze, bo pod prąd*

ODCHODZA. EWA DEMARCZYK, MARIA Janion, Henryk Wujec, Wojtek Karpiński, Andrzej Walicki, a teraz Ziuta. To jakby ktoś wykarczował przed domem stare drzewa. Były i nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał, a kiedy znikły, dom stał się mniej domem, pusta przestrzeń bije w oczy, boli i irytuje. Bo to szkoda nie do naprawienia. Nigdy już nie będzie tak jak wtedy, kiedy tu rosły. W ich cieniu były wytchnienie, spokój i ulga.

Pani redaktor, pani posłanka Józefa Hennelowa, pani Ziuta, pani Józefa, a dla mnie i dla wszystkich tu w redakcji Ziuta, niezależnie od różnych wydarzeń – Bliski Człowiek. Przedostatnia z żyjących redaktorów „Tygodnika Powszechnego” sprzed 56 lat, którzy wtedy przyjęli mnie do swego grona. Zostaliśmy dwaj: Stefan Wilkanowicz (lat 96) i ja, młodszy o dziesięć lat od Stefana.

Ten numer „Tygodnika”, już pełen pożegnań, w zasadniczej części został wysłany do drukarni, nim przyszła wiadomość o jej śmierci. O jej życiu, pracy dziennikarskiej, jej książkach i książkach, które redagowała, napiszemy za tydzień. Teraz – wspomnienia i impresje, z potrzeby serca.

Te dawne: Ziuta – dzieląca pokój z Mietkiem Pszonem – tocząca niezliczone spory, zawsze o sprawy najwyższej rangi. Pamiętam częste dyskusje z Tadeuszem Zychiewiczem, który w sporach bywał jadowity, wręcz morderczy. Ziuta zwykle była lepsza. Jej precyzyjna logika na ogół zapewniała jej zwycięstwo. I co z tego, jeśli – dość często – bez względu na wynik sporu zamykała się w tzw. kanciapie z łzami. Zdumiewająca podwójność: chłodny, przenikliwy umysł i emocje, które potem wypływały. Jej przewodnikiem był bezlitosny umysł, czasem jednak – w końcu jesteśmy tylko ludźmi – górę brały emocje.

Uwielbiali ją czytelnicy. Znający ją tylko z tekstów, ludzie różnego wieku, obojga płci przychodzili do niej po radę, pociechę i ratunek. Wiem, bo niektóre sprawy mi zlecała. Na przykład z jej polecenia kilka lat zajmowałem się biedną rodziną z kalekim potomkiem.

Ziuta była głęboko wierząca. Nie zapomnę niedawnych odwiedzin u niej z komunią świętą. Odchodziła z wiarą i nadzieją, co wyraziło się w radości, z jaką przyjmowała ten wiatyk, posiłek na drogę. Formację religijną zdobywała u wybitnych duszpasterzy w Wilnie, a w Krakowie u duszpasterza akademickiego Karola Wojtyły. Nie wiem, czy należała do paczki jego wychowanków, znała jednak tych ludzi i z niektórymi była w przyjaźni. Wojtyłę szanowała, ale nie wszystko od niego przyjmowała bezkrytycznie. Nie mogła np. wybaczyć mu słynnego listu na jubileusz 50-lecia „Tygodnika”. Była tak rozgoryczona, że nie chciała nawet skosztować papieskiego wina, które wtedy przy-



wiozłem dla redakcji od biskupa Dziwisza. Nie była entuzjastką beatyfikacji Jana Pawła II i miała odwagę to powiedzieć. Uważała, że wyniesienie na ołtarze odczłowiecza. Święte obrazki, pobożne życiorysy zacierają ludzki wymiar świętego, a ten u Wojtyły był według niej najważniejszy. Dla Ziuty pójście pod prąd było czymś normalnym, oczywistym i... dobrym.

Była w Sejmie Rzeczypospolitej (1991-93). I ona, pasjonatka spraw rodziny i głęboko świadoma katoliczka, doczekała się w katolickich środowiskach opinii proaborcjonistki, choć po prostu sprzeciwiała się projektom ustaw przewidującym karanie kobiet za aborcję. Wiedziała, że czasem decyzja o utrzymaniu ciąży wymaga heroizmu, i głosiła, że prawo karne nie może nikogo do heroizmu zmuszać.

Jej krytyczny umysł sprawiał, że omawiając na kolegium redakcyjnym ostatni numer pisma – a przez długi czas do niej należało inicjowanie dyskusji o wydanych numerze – zawsze umiała znaleźć wszystkie kłaski i błędy. Potem, na emeryturze, przestała publikować w „Tygodniku” cennione przez czytelników felietony. Pisała dla miesięcznika „Znak” i, od czasu do czasu, na stronie Klubów Tygodnika Powszechnego. W cyklu zatytułowanym „Tu i teraz” zdrowo nam niekiedy dokładała.

Nie bardzo się jej podobały zmiany zachodzące w „Tygodniku”, ale nadal się emocjonowała sprawami naszego pisma. I co piękne, nawet jeśli z kimś się nie zgadzała, to go nie skreślała, pielęgnując stare więzy przyjaźni. A jak już się naprawdę wkurzyła, to dzwoniła do redaktora z pytaniem: „o co chodzi?”. Starala się łączyć ludzi, a nie dzielić.

Ziuta należała do ludzi prawdziwie martwiących się stanem Kościoła. Jej przenikliwe sądy i nazywanie rzeczy po imieniu, często zresztą zniekształcane przez katolickie media – a także jej związek z „Tygodnikiem” – sprawiły, że w oczach wielu „prawdziwych katolików”, księży i świeckich, była wręcz zagrożeniem dla Kościoła. Musiało więc być dla wielu niezłym zaskoczeniem, kiedy 19 marca 2015 r., w 90. rocznicę urodzin, Józefa Hennelowa została przez Franciszka uhonorowana Orderem św. Grzegorza Wielkiego, najwyższym papieskim odznaczeniem. Wręczył je w kaplicy rezydencji arcybiskupiej kardynał Stanisław Dziwisz.

Odchodziła z tego świata powoli, nie poddając się utrapieniom starości. Sprawdzała obecność na dorocznych mszach za zmarłych redaktorów „Tygodnika”. Była obecna. Interesowała się wszystkim. Kiedy już nie mogła czytać, korzystała z pomocy lektora, niemal do końca pisała, a potem chyba nawet dyktowała felietony. Aż trudno uwierzyć, że jej nie ma. ©©



20 Niebiescy, prawie brunatni

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Policja znalazła się blisko granicy, która oddziela formację służącą społeczeństwu od zbrojnego ramienia partii i wodza.



42 Obrażnicy i obrażniczki

KRYSZYNA
WEIHER-
-SITKIEWICZ

Bywa, że przychodzi ktoś nowy, ale tylko na jedną pielgrzymkę czy sezon. Za każdym razem układu trzeba uczyć się od nowa, tłumaczyć savoir-vivre, wdrażać w technikę pokłonu feretronów.

94 Lekcje z mchu i paproci

ROZMOWA

Z ROBIN WALL
KIMMERER,
BOTANICZKĄ:

Przydomowy ogródek to najlepsze miejsce do uleczenia naszej chorej relacji z naturą.



61 Duet przeciw Trumpowi

PIOTR

TARCZYŃSKI

Kamala Harris to dla Joeego Bidena idealna kandydatka na zastępczynię. A jeśli wspólnie pokonają Trumpa, za kolejne cztery lata może zostać pierwszą prezydentką USA.



35 Wolność i odpowiedzialność

NIEPUBLIKOWANA
ROZMOWA

Z HENRYKIEM WUJCEM:

Dla mnie ta filozofia jest niezłomna: próbować i próbować. Jak cię przetrąca, to wstajesz i znowu. Nie jestem taki, żeby bić się i obrywać, ale nawet jak się trochę oberwie, to trudno.



72 Zawsze Demarczyk

TOMASZ

FIAŁKOWSKI

Uparta i świadoma siebie indywidualistka nie odnalazła się w świecie, który przykrawa do modelu międzynarodowej gwiazdy. Za wielka na swoje czasy.

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate.

WYDAWCA

- 6 Szkoła epidemii**
MACIEJ MÜLLER
- 7-11 Obraz tygodnia**
- 18-19 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ /
PAWEŁ ŚPIEWAK /
O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

- 20 Niebiescy, prawie brunatni**
ANDRZEJ STANKIEWICZ
- 25 Ciało się zemści**
MAŁGORZATA NOCŨŃ
o przedszkolach specjalnych

- 26 Czyści, że aż strach**
ROZMOWA Z JOHNEM
DANAHEREM: *Epidemia,
higiena i relacje społeczne*

■ **POŻEGNANIE**

- 31 Staralem się nie rzucić w oczy**
JOANNA SZCZĘSNA
o Henryku Wujcu

- 35 Wolność i odpowiedzialność**

■ **WIARA**

- 42 Obrażnicy i obrażniczki**
KRYSZYNA WEIHER-
-SITKIEWICZ

- 46 Biskup sobiepan**
JÓZEF MAJEWSKI

- 49 Pastorał z wiosła**
MIROSLAW WLEKŁY:
*Pedro Casaldàliga,
brazylijski biskup ubogich*

■ **ŚWIAT**

- 52 Po pierwsze: wietrzyć**
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Z NIEMIEC: *Szkoła w czasie
pandemii*

TEMAT TYGODNIKA



SERGEI GAPON / AFP / EAST NEWS

12 Strach w oczach reżimu
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Demonstracje w Mińsku i innych miastach pokazują, że potencjał białoruskiego protestu wciąż jest ogromny. W odpowiedzi Łukaszenka coraz mocniej odwołuje się do retoryki wojennej.

15 Buntu portret zbiorowy
PAWEŁ PIENIAŻEK:
Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się protesty i co zrobi Łukaszenka, tych kilkanaście dni zmieniło Białorusinów.

■ **FELIETONY** ■

- 30 ANNA DZIEWIT-MELLER**
84 JAN KLATA 85 PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

- 87 Nagroda Literacka Gdynia**

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE:
BEATA ZAWRZEL / REPORTER
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

- 55 Sierpniowe łódzie**
PATRYCJA BUKALSKA:
Imigranci w Wielkiej Brytanii

- 57 Do trzech razy sztuka**
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA:
*Joe Biden, oficjalny kandydat
Demokratów*

- 60 Inna retoryka, te same cele**
ROZMOWA Z ROBERTEM
S. ROSSEM, POLITOLOGIE

- 61 Duet przeciw Trumpowi**
PIOTR TARCZYŃSKI

■ **HISTORIA**

- 64 Król wymyka się tylnymi drzwiami**
KATARZYNA MOŁONIEWICZ
o hiszpańskiej monarchii

■ **NAUKA**

- 68 Co się dzieje w czarnych skrzynkach**
JAREK GRYZ

- 71 Jak pisać testament**
KATARZYNA DZIADOWICZ

■ **KULTURA**

- 72 Zawsze Demarczyk**
TOMASZ FIAŁKOWSKI

- 77 Stany niepewności**
PIOTR KOSIEWSKI: *Sztuka
według Moniki Sosnowskiej*

- 80 Brzmienie ruchu**
MONIKA OCHEŃDOWSKA: *Patti
Smith, rock'n'roll i literatura*

- 82 Zmylić pościg**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Witamy w Czeczenii”*

- 84 Przekazanie daru**
LEKTOR *po śmierci Wojciecha
Karpińskiego*

■ **ZMYŚŁY**

- 94 Lekcje z mchu i paproci**
ROZMOWA
Z ROBIN WALL KIMMERER

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

Malijskie wojsko obaliło prezydenta i przejęło władzę. W ostatnich latach zbrojne przewroty służą głównie rozbrajaniu ulicznych rewolucji – pisze w cyklu **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Opowieści z Izraela [Podkast Powszechny]**

21 procent mieszkańców Izraela to Arabowie. Ale część społeczeństwa traktuje ich jako obywateli drugiej kategorii. Sprzyja temu atmosfera polityczna. „Mój kraj jest z moim narodem w konflikcie” – mówi **TONI NASSER**, edukator i aktywista powszech.net/podkast



Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SZKOŁA EPIDEMII

Polskie władze oświatowe nie chcą naśladować państw, w których powrót do szkół połączono z surowymi i precyzyjnymi wytycznymi. Zamiast tego obowiązuje doktryna „jakoś to będzie”.

MACIEJ MÜLLER

DLA RODZICÓW POCZĄTEK ROKU SZKOLNEGO to ulga: większość ma dość łączenia pracy zdalnej z koniecznością opieki nad dzieckiem i pomaganiem mu w lekcjach, czy raczej – przejmowaniem roli nauczyciela w realizacji materiału. Co trzeci badany (sondaż SW Research dla rp.pl) sprzeciwia się jednak posyłaniu dzieci do szkół w dobie pandemii. Ci najbardziej pesymistyczni uważają, że najdalej w drugiej połowie września szkoły trzeba będzie zamknąć. I przywrócić zdalne nauczanie – tylko że wtedy grono pedagogiczne może być już zdziśiatkowane zakażeniami.

Pisaliśmy już w „TP” o Izraelu czy części landów niemieckich, gdzie po otwarciu szkół skokowo wzrosła liczba dziennych zakażeń. Polskie ministerstwo edukacji ignoruje te doświadczenia. Nie naśladuje też tych państw, które otwieranie szkół łączy z wprowadzaniem surowych – i precyzyjnych – zasad sanitarnych. Wytyczne MEN i GIS są ogólne i niepraktyczne. Przede wszystkim: nie zawierają algorytmów postępowania w konkretnych przypadkach. Pytany o to minister Dariusz Piontkowski stosuje unik: przecież każda szkoła jest inna. I zrzuca odpowie-

*Ratownicy
z pogotowia
i medycy z tzw.
czerwonej strefy
– oddziału
ratunkowego
Szpitala Klinicznego
Nr 4 w Lublinie.
Sierpień 2020 r.*

działność na dyrektorów. O przesunięciu roku szkolnego o dwa tygodnie – co postulują część ekspertów, wskazując, że w tym czasie wygasną infekcje przywleczone z obozów wakacyjnych – nie ma mowy. Podobnie jak o testach przesiewowych nauczycieli, których żąda ZNP.

„Nie powinno się zakładać, że funkcjonowanie szkół będzie takie, jak przed wybuchem epidemii lub jedynie lekko zmodyfikowane” – napisali członkowie zespołu doradczego ds. COVID-19, powołanego przez PAN w analizie opublikowanej 19 sierpnia. Według nich decyzja o szkole zdalnej wiązałaby się z ogromną ceną, i to nie tylko dla gospodarki. Chodzi przede wszystkim o straty zdrowotne (nadwaga, depresje, stany lękowe) i rozwojowe u dzieci. Dlatego szkoły powinny ruszyć – ale nie na zasadach promowanych przez MEN. Nawet w optymistycznym scenariuszu, w którym wskaźnik reprodukcji koronawirusa nie przekroczyłby 1,1 (obecnie zbliża się do 1,3), starsi uczniowie i cały personel powinni nosić maseczki. W wariancie pośrednim (wskaźnik 1,1 – 1,7) należałoby zwiększyć dystans między ławkami, ograniczyć poruszanie się uczniów po korytarzach, regularnie wietrzyć pomieszczenia oraz dezynfekować sprzęty i powierzchnie. Dopiero w scenariuszu najgorszym należy wziąć pod uwagę przejście na tryb zdalny.

Polskie warunki niemal wymuszają zachowania proepidemiczne. Wielu nauczycieli po likwidacji gimnazjów musi kompletować etat w kilku placówkach. O rozgęszczeniu klas, szczególnie licealnych, nie może być mowy – brakuje i pomieszczeń, i opiekunów. Sanepid poddaje kwantowanie wszystkich osób „z kontaktu”. Łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której jeden zakażony sparaliżuje pracę nawet kilku szkół.

Do tej pory – np. w porównaniu do krajów zachodnich – pandemia obchodziła się z nami dość łagodnie, zresztą z nie do końca jasnych przyczyn (wskazuje się m.in. na rolę podawanej w Polsce szczepionki przeciw gruźlicy, ale brakuje na to mocnych dowodów naukowych). Polski rząd zdaje się trzymać nadziei, że nadal „jakoś to będzie”. Oby ta nadzieja nie prysła już w pierwszych tygodniach nowego roku szkolnego. ©

Bordowa mapa świata

„**KORONAWIRUS TO NAJWIĘKSZY KILER** ludzkości” – ocenił immunolog dr Paweł Grzesiowski podczas ostatniego webinarium podsumowującego stan pandemii. Istotnie, SARS-CoV-2 zabił od początku roku ponad 800 tys. osób (przy ponad 23,5 mln zakażeń). Według statystyk WHO w tym czasie AIDS spowodował 607 tys. zgonów, samobójstwa 505 tys., malaria 400 tys., a grypa – 127 tys.

Na epidemicznych mapach świata na bordowo wyróżniają się obie Ameryki, Indie, Kazachstan, południowa Afryka, w Europie natomiast północna Hiszpania, Rumunia, Bułgaria, Szwecja, Luksemburg, Belgia i Holandia. Rekordy bilansów dobowych odnotowały w zeszłym tygodniu Francja i Niemcy. Eksperci wiążą te wzrosty z powrotami z wakacji, imprezami takimi jak wesela, i zaniebdywaniem zasady MDD (maska, dystans, dezynfekcja). Środkowa część kontynentu, w tym Polska, zdaje się gonić Zachód, gdzie przez długi czas liczba dziennych przypadków była o rząd wielkości wyższa. Wyraźnie pogorszyła się sytuacja na Ukrainie.

Zagadkę niskiej liczby zachorowań w Afryce eksperci wyjaśniają małą liczbą przeprowadzanych testów. Jak podało niedawno Afrykańskie Centrum Kontroli Chorób i Prewencji: 80 proc. testów przeprowadza się w dziecięciu krajach. To dlatego niekorzystnie wyróżniają się na mapie RPA, Algieria czy Maroko. Kraje ubogie, ogarnięte wojną domową, w których system opieki zdrowotnej

de facto nie istnieje, nie są w stanie systemowo przeprowadzać testów, nie są też zainteresowane dzieleniem się informacjami ze społecznością międzynarodową.

„Mamy nadzieję, że pandemia skończy się w ciągu dwóch lat” – powiedział szef WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus. Tyle trwała grypa hiszpanka, dziesiątkująca glob po I wojnie światowej. Ghebreyesus studiował entuzjizm związany z postępującymi pracami nad szczepionką (już ok. 30 preparatów jest badanych klinicznie). Według niego nawet jeśli praca naukowców zakończy się sukcesem (pod znakiem zapytania stoi m.in. to, czy odporność będzie trwała), to szczepionka będzie tylko jedną z broni służących do walki z wirusem i sama z siebie nie zdusi pandemii. Głównym narzędziem muszą być „stałe zmiany w codziennym życiu”. Szef WHO przypomniał, że o wirusie wiemy nadal mało, przede wszystkim nie znamy jego długofalowego działania na organizm.

Na świecie ukazuje się tymczasem coraz więcej prac dotyczących zespołu postcovidowego. Lekarze obserwują, że koronawirus atakuje nie tylko płuca; poważne zmiany mogą zachodzić również w tkance mięśnia sercowego, w mózgu, nerkach, wątrobie i innych narządach wewnętrznych. Zespół postcovidowy, polegający na odległych powikłaniach pozapalnych, może występować u ok. 10 proc. ozdrowieńców. To wyzwanie dla systemów opieki zdrowotnej, które dopiero uczą się, jak pomagać osobom wymagającym opieki specjalistycznej i wieloprofilowej. © MAM

Krew ozdrowieńców

W PAŹDZIERNIKU mają się rozpocząć badania kliniczne nad lekiem na koronawirusa polskiego przedsiębiorstwa Biomed-Lublin. Firma ruszyła już z produkcją pierwszej partii przeciwciał anty-SARS-CoV-2, wyizolowanych z krwi ozdrowieńców. Do szpitala w Lublinie, gdzie prowadzone będą próby, trafi na początek 3 tys. ampulek.

Lek docelowo ma być stosowany zarówno w terapii COVID-19, jak i w profilaktyce. Takie preparaty to swoista droga na skróty dla pacjentów z objawami choroby lub tych, którzy mieli kontakt z zarażonym, ale nie wytworzyli jeszcze własnych przeciwciał.

A o te molekuly odporności walczy prawie cały naukowy świat. Szacuje się, że trwają prace nad ponad 70 terapiami z użyciem przeciwciał przeciwko SARS-CoV-2. Zaś w fazie klinicznych badań jest 30 szczepionek na

koronawirusa, które mają zapewnić przeciwciała na dłużej.

Do tej pory pewną skuteczność w walce z COVID-19 wykazały dwa leki – drogi i trudno dostępny remdesiwir oraz tani, ale działający wyłącznie w ciężkich przypadkach, deksametazon. Większe nadzieje związane są z lekami na bazie przeciwciał.

Ich skuteczność wciąż jednak nie jest pewna. Dowody, jakimi dysponują naukowcy, to często badania kliniczne bez grup kontrolnych, które są w medycynie złotym standardem, albo na zbyt małych próbach. Najnowsze doniesienia z Mayo Clinic w Minnesocie sugerują, że podanie osocza ozdrowieńców zmniejsza u pacjentów z ciężkimi objawami choroby śmiertelność z 26 do 13 proc. Ważny jest też jak najszybszy czas podania przeciwciał. W USA tego rodzaju terapia została eksperymentalnie zastosowana u ponad 70 tys. pacjentów – a Agencja Żywności i Leków właśnie dopuściła jej stosowanie u wszystkich osób z ciężkimi objawami. © BARTOSZ KABAŁA

Nowi ministrowie: urzędnik i tropiciel kanibali

ANDRZEJ STANKIEWICZ



PREMIER I PREZES PODZIELILI SIĘ NOMINACJAMI. Nowych ministrów łączy słaba pozycja w PiS.

Na kilka tygodni przed rekonstrukcją typpowani do dymisji zaczęli sami odchodzić. Najpierw zrezygnowali nierozłączni szefowie resortu zdrowia. Łukasz Szumowski i jego zastępca Janusz Cieszyński w tandemie zwalczali koronawirusa, ale też kupili bezużyteczne maseczki i zapłacili krocie za respiratory firmie handlarza bronią, która do tej pory nie dostarczyła większości sprzętu. Sprawą zainteresował się minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, który nakazał przeprowadzić duże śledztwo w sprawie zakupów – to dla niego prezent w starciu z kolegą i sojusznikiem Szumowskiego, premierem Mateuszem Morawieckim. Wkrótce po rozmowie z Ziobrą Szumowski podał się do dymisji, choć przez ostatnie tygodnie powtarzał, że jest kapitanem, który nie zejdzie z okrętu. Nowy minister Adam Niedzielski był dotąd urzędnikiem, ostatnio prezesem NFZ. Wskazał go premier, m.in. dlatego, że Niedzielski jest ekonomistą, a przez ostatnie kilkanaście lat resortem zdrowia kierowali lekarze.

Z kolei MSZ zarezerwował sobie prezes Jarosław Kaczyński. Odchodzący Jacek Czaputowicz ze względu na mikre znaczenie polityczne uznany został przez szefa PiS za eksperyment. Ten eksperyment był na rękę i prezydentowi, i premierowi, którzy podzielili się polityką zagraniczną. Mateusz Morawiecki wziął politykę europejską, Andrzej Duda – bezpieczeństwo i relacje z USA. Nowy szef MSZ Zbigniew Rau, poseł PiS i były wojewoda łódzki, też jest profesorem, a jego pozycja polityczna jest niewiele silniejsza. Ale pasuje centrali PiS, bo – w odróżnieniu od Czaputowicza – otwarcie deklaruje swą niechęć do UE. W jej krajach członkowskich widzi siły dążące do aborcji, eutanazji, pedofilii, zoofilii oraz – to niestety nie jest żart – kanibalizmu.

Pełna rekonstrukcja ma zostać przeprowadzona na przełomie września i października. Z 21 resortów ma pozostać 12-15. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

KRAJ W SKRÓCIE

ODWOŁANIE

Łódzki kurator Grzegorz Wierzchowski, który niedawno mówił o atakującym młodziu „wirusie LGBT”, został odwołany, ale minister edukacji zaprzecza, by ta dymisja miała związek z poglądami kuratora na temat osób nieheteronormatywnych.

DOTOWANIE

Stanowisko ministra edukacji jest zgodne ze stanowiskiem ministra sprawiedliwości, który zapowiedział dotacje dla gmin pozbawionych przez Komisję Europejską unijnego wsparcia z powodu ustanowionych tam „stref wolnych od LGBT”. Czek dla gminy Tuchów opiewa na kwotę trzykrotnie wyższą niż ta, której nie przyznała KE, a widnieje na nim logo Funduszu Sprawiedliwości, w teorii mającego pomagać ofiarom przestępstw.



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

ŁATANIE

W TVP, po awarii dostawcy prądu, spaliły się serwery emisyjne, co poniekąd potwierdziło fakt ręcznego sterowania nadawanymi z Woronicza programami. W Programie III PR ręczne sterowanie nasiliło się jeszcze po zwolnieniu dyrektora Kuby Strzyczkowskiego, który wytrzymał na posadzie zaledwie miesiąc.

POWIEKSZANIE

Rysy wyższe: z nowych ustaleń kartografów wynika, że najwyższy polski szczyt ma okraęte 2500 m n.p.m.

Janion, Walicki, pożegnanie

BYLI HISTORYKAMI ROMANTYZMU i krytykami narodowych mitów, najważniejszymi postaciami polskiej humanistyki. Andrzej Walicki współtworzył, obok Leszka Kołakowskiego i Bronisława Baczki, warszawską szkołę historyków idei. Nie ma dziś roszojnawcy, który nie czułby się jego uczniem. Całą generację literaturoznawców wykształciła z kolei Maria Janion.

On pisał o niebezpieczeństwach tradycji romantyzmu, polegających na braku „wzorów mądrej, zręcznej, realistycznej i patriotycznej polityki państwowej”. Ona mówiła, że napędzane romantyzmem pragnienie wolności powinno być stale uzupełniane „zmaganiem o obywatelskie równouprawnienie”. Walicki postulował – jakże dziś aktualną – konieczność odnalezienia form solidarności odpowiednich dla społeczeństwa „ujednostkowanego”. Wśród wyzwań stojących przed współczesną lewicą widział obronę coraz większej „potrzeby wolności indywidualnej przed naporem sztucznie reanimowanego tradycjonalizmu”. To dobry pomysł, odpowiadała Janion, myśleć o nowoczesności jako utracie, bo Polsce przeszkadza zakrzepły tradycjonalizm: „tradycji racjonalistycznej trzeba bronić, ale mając świadomość, że postęp, który jej zawdzięczamy, zmiażdżył rozmaite wcześniejsze wartości”.

Ją pasjonowało coś, co nazwała „archiwum egzystencji” – próba ocalenia wszystkiego, towarzysząca poczuciu odpowiedzialności za drobiazgi. On kilka miesięcy temu, zaraz po 90. urodzinach, zdigitalizował swój dorobek naukowy w zbiorach Biblioteki Narodowej – można go odnaleźć i studiować w otwartych zasobach.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Deficyt bez hysterii

MAMY NADZWYCZAJNY SKOK deficytu w 2020 r. Trzeba patrzeć na to spokojnie. Byłoby raczej niepokojące, gdyby deficytu nie było. Jeżeli po treningu nie mamy na czole ani kropli potu, to może znaczyć, że nie ćwiczmy, tylko udajemy. Podobnie z wydatkami publicznymi. Brak deficytu nie jest wartością samą w sobie. To najczęściej dowód, że rząd słabo wywiązuje się ze zobowiązań. Zwłaszcza w kryzysie, gdy kosztów społecznych nie wolno przetrzucać na ludzi. Dlatego nie łapmy się na opowieści o „rekordowym deficycie”. Te 109 mld zł to ok. 5 proc. PKB. Deficyty na tym poziomie (i większe) będą po covidzie w całym rozwiniętym świecie. To najrozsądniejsza polityka, jaką można sobie wyobrazić. Najgorszym rozwiązaniem byłoby cięcie wydatków na oślep. W kryzysie taka polityka to jak gaszenie pożaru benzyną.

© RAFAŁ WOŚ



ROMAN PIMENOV / TASS / FORUM

Rosyjski pacjent

NA NASZYCH OCZACH najważniejszy opozycyjny polityk Rosji Aleksiej Nawalny walczy o życie. Lecił z Tomsku do Moskwy, na lotnisku wypił herbatę, a na pokładzie samolotu poczuł się źle i stracił przytomność. Samolot lądował awaryjnie w Omsku, nieprzytomny Nawalny trafił na intensywną terapię. Przez dobę trwał targ, czy można wywieźć go do kliniki Charité w Berlinie. Omscy lekarze – początkowo wyrażający zgodę na transport – wstrzymali decyzję po rozmowach z „facetami w czerni”, którzy przybyli do szpitala i nikogo nie dopuszczali do Nawalnego. Dopiero po tym, jak u Putina interweniowali europejscy politycy, w tym kanclerz Merkel, wyrażono zgodę na

wylot i pacjent trafił do Berlina. Gdy piszę te słowa, niemieccy lekarze nie wydali jeszcze komunikatu o powodach zapaści Nawalnego. Współpracownicy opozycjonisty nie mają wątpliwości: to otrucie, a trucizna została dodana do herbaty, którą Nawalny wypił przed podróżą (na zdjęciu: protest w Tomsku, 20 sierpnia).

Nawalny nie zagraża władzy Putina, ochraniającej przez silny i zwarty aparat, ale jest drżką, która powoduje stany zapalne. Jego Fundacja Walki z Korupcją publikuje wyniki śledztw w sprawie przekupnych urzędników i komentuje błędy władz, ujawniając degenerację systemu. Nawalny ma potencjał, by poruszyć tłumy. W sytuacji, gdy na Białorusi od dwóch tygodni trwają protesty, na Kremlu zrobiło się nerwowo. Podobne wydarzenia w Rosji, inspirowane białoruskim odrodzeniem obywatelskim, są przez Putina wysoce niepożądane.

Niedawno w Charité leczono aktywistę Piotra Wierżilowa, który został otruty nieznaną substancją. Wcześniej głośnym echem odbiła się próba otrucia eksagenta Siergieja Skripała substancją nowiczką. Przy tej okazji przypomniano inne przypadki trucia osób niewygodnych dla Kremla: m.in. próbowano otruć Annę Politkowską, gdy leciała do Białorusi (później została zastrzelona), dziennikarza i opozycjonistę Władimira Kara-Murzę (dwukrotnie, ale bezskutecznie), a otruty polonem Aleksander Litwinienko zmarł. Szaleństwo czy metoda? © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na:
labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Adieu, prezydencie



WOJCIECH JAGIELSKI

MALIJSKIE WOJSKO OBALIŁO PREZYDENTA Ibrahima Boubacara Keitę i przejęło władzę. Powód niezadowolenia wojskowych był banalny: zbyt niski, ich zdaniem, żołd oraz za mało dobrej broni do walki z islamskimi rebeliantami.

Ale samego zamachu stanu można się było spodziewać z innych powodów: przewroty weszły malijskim wojskowym w krew. Już w 1968 r., w ósmym roku niepodległego istnienia kraju, porucznik Moussa Traoré obalił pierwszego prezydenta Modiba Keitę (zbieżność nazwisk z właśnie obalonym jest przypadkowa). Później nadchodziły kolejne przewroty, przeplatane klęskami w wojnie z rebelią Tuaregów z pustynnej północy i sprzymierzonymi z nimi dżihadystami z Sahary i Sahelu. W pewnym momencie odnoszących sukcesy rebeliantów musieli powstrzymać przybyli na odsiecz francuscy spadochroniarze i żołnierze Legii Cudzoziemskiej.

Malijscy sąsiedzi niepokoją się, czy zamach w Bamako nie ośmieli wojskowych w Nigrze, Burkina Faso, Czadzie, Gwinei czy na Wybrzeżu Kości Słoniowej. W Nigrze i Burkina Faso lokalne rządy również nie radzą sobie z dżihadystami, w Czadzie panujący od 30 lat były wojskowy Idriss Déby rządzi coraz bardziej po dyktatorsku, w Gwinei i na Wybrzeżu Kości Słoniowej jesienią odbędą się wybory, w których panujący prezydenci, naginając konstytucję, będą próbowali przedłużyć w nieskończoność swoje panowanie. Wojsko wkracza też do polityki, by rozbroić uliczne rewolucje i zapobiec przejściu władzy przez ich przywódców. Tak zdarzyło się w Sudanie, gdzie w 2019 r. wojskowi odsunęli od władzy dyktatora Omara al-Basziira i obiecują, że w „rozsądnym terminie” wrócą do koszar. W Sudanie „rozsądny termin” określono na trzy lata; w Mali kalendarza na razie nie ustalono. ©

Więcej: powszech.net/strona-swiate



JOEED BALILITY / AP / EAST NEWS

PLAŻA DLA ORTODOKSYJNYCH ŻYDÓW – jedyne kąpielisko, na którym obowiązuje segregacja płciowa (w niedziele, wtorki i czwartki otwarte dla kobiet, w poniedziałki, środy i piątki dla mężczyzn, w szabat nieczynne) i oddzielone płotem od sąsiednich plaż. Dostępu do morza domagało się ugrupowanie Agudat Yisrael, przekonując władze, że także im – jako uczciwym podatnikom – przysługuje prawo do odpoczynku w zgodzie z wyznawaną religią. Tel Awiw, 17 sierpnia 2020 r.

© P EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POMOC

Kard. Konrad Krajewski poświęcił Dom Nadziei w Opolu, przeznaczony dla osób bezdomnych.

Do ich dyspozycji diecezja opolska oddała salę jadalną na 40 osób, kuchnię, pokój do indywidualnych rozmów, dwie łazienki, w tym jedną przystosowaną do potrzeb niepełnosprawnych, i prysznic, a także magazyn ubraniowy. Adaptacja piwnic dawnego budynku seminarium kosztowała ok. 300 tys. zł i została sfinansowana z darów wiernych.



DIECEZJA OPOLSKA

SKRUCHA

Kuria tarnowska przyznała się do „niedociągnięć i zaniedbań” w postępowaniu wobec ks. Stanisława P., kilkakrotnie oskarżonego o nadużycia seksualne wobec nieletnich. Pierwsze doniesienie miało miejsce w 2002 r. – ówczesny biskup tarnowski Wiktor Skworec jedynie upomniał księdza i przyjął jego dymisję z probostwa, a w 2003 r. wysłał go do pracy na Ukrainie, gdzie, jak się okazuje, ks. P. także wykorzystywał dzieci (toczy się wobec niego proces w tej sprawie). W 2010 r., już po powrocie z Ukrainy, do kurii tarnowskiej trafiło kolejne doniesienie i dopiero ono doprowadziło do procesu i nałożenia kar kościelnych.

TROSKA

W ostatnią niedzielę w liczącej 26 diecezji katolickich Irlandii został wyświęcony tylko jeden nowy kapłan. Przy tej okazji gazeta „The Irish Independent” zwraca uwagę, że w kraju, zamieszkanym przez większość katolicką, w 2020 r. jest więcej święceń biskupich niż kapłańskich.

Cud nad Wisłą, czyli generał przed marszałkiem

MACIEJ MÜLLER



BYŁ CZŁOWIEKIEM WIELKIEJ SZCZEROŚCI I POKORNEJ WIARY. Pomimo ogromu zadań, potrafił przeżywać z oddaniem czas modlitwy i wszystkie swoje starania zawierać Bogu i Matce Najświętszej – mówił o gen. Józefie Hallerze bp Marek Solarczyk podczas mszy kończącej obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej. Odbyła się ona w sanktuarium Matki Bożej Hallerowskiej w Mińsku Mazowieckim – to tam 100 lat wcześniej Haller zawierzył Polskę Bogu. Według biskupa warszawsko-praskiego zasługi generała w zgromadzeniu 100-tysięcznej Armii Ochotniczej sprawiły, że „to przede wszystkim jego osoba wzbudzała podziw u Polaków”.

Uparte nazywanie odparcia bolszewików cudem nad Wisłą to pokłosie przedwojennej narracji endeckiej, próbującej obniżyć zasługi Piłsudskiego, autora miażdżącego manewru znad

Wieprza. Rola gen. Hallera w zwycięstwie 1920 r. była drugorzędna, a w polityce lat 20. i 30. – trzeciorzędna. Dziwi też ignorowanie przez biskupa niechlubnych kart z życiorysu generała: antyżydowskich pogromów dokonywanych przez żołnierzy Błękitnej Armii czy podgrzewania nastrojów ulicznych po wyborze na prezydenta Gabriela Narutowicza („Polskę sponiewierano!”), które doprowadziły do tragicznego finału.

Sto lat po Bitwie Warszawskiej biskupi wpisują się w endecką narrację. Inna sprawa, że czynienie hagiografii z życiorysu postaci historycznej jest ryzykowne, a szukanie w niebiosach przyczyn zwycięstw doprasza się konsekwencji. Ktoś mógłby np. pytać, dlaczego półtora wieku po poświęceniu Rzeczypospolitej Matce Bożej przez Jana Kazimierza to dzieje powolnego upadku, zakończonego zniknięciem z mapy.

©P

Franciszek błogosławi kobiety transpłciowe

„**DRUGA MÓNICO**, Bóg, który nie poszedł do seminarium i nie studiował teologii, obficie Ci odpłaci. Modlę się za Ciebie i Twoje dziewczyny. Nie zapomnij o modlitwie za mnie. Niech Jezus wam błogosławi, a Święta Dziewica wam pomaga” – takiego maila otrzymała od papieża s. Mónica Astorga Cremona, przeorysza klasztoru karmelitanek bosych w Neuquén w Argentynie. Wybudowała pierwszy w kraju kompleks mieszkalny dla transpłciowych kobiet. W otwartym 10 sierpnia budynku zamieszkało 12 kobiet w wieku od 40 do 70 lat.

Od 2006 r. karmelitanka pomaga kobietom transpłciowym wyjść z prostytucji, nalogów, znaleźć pracę. Aluzja papieża, że Jezus nie ukończył seminarium, odnosi się do krytyki, z jaką s. Astorga spotyka się ze strony argentyńskiego duchowieństwa. „W Kościele lokalnym niewielu aprobeje taką działalność” – zwierza się zakonnica w jednym z wywiadów. Ale jej zaangażowanie już w 2009 r. wsparł ówczesny metropolita Buenos Aires kard. Jorge Bergoglio, który jako papież pisał w liście do s. Astorgi o marginalizacji społecznej osób transpłciowych: „W czasach Jezusa wypędzano w ten sam sposób trędowatych”.

Znaczna część osób transpłciowych w Argentynie jest przymuszana do prostytucji. W 2015 r. społeczeństwem wstrząsnęła seria morderstw tych osób.

©P ARTUR SPORNIAC

Mario-kryminologia

WYDZIAŁ NAUK O PRZESTĘPSTWACH otwarto przy Papieskiej Akademii Maryjnej w Rzymie. Będzie „analizować i monitorować zjawiska kryminalne i mafijne (oraz z nimi powiązane, jak np. terroryzm)” w kontekście ich niszczącego wpływu na kult maryjny. Brzmi groteskowo? A jednak w kraju, gdzie katolicyzm, a zwłaszcza jego istotny rys, jakim jest pobożność maryjna, przybrał rolę tradycyjnego rytuału, nadającego religijnego sznytu różnym aktywnościom społecznym, państwowym, zawodowym, a nawet przestępczym (chodzi oczywiście o Włochy), jakoś nie dziwi.

Przejawem degeneracji kultu maryjnego są procesje organizowane przez mafię, pokłony figur przed domami bossów, ale też – jak czytamy w pierwszym dokumencie nowego wydziału, opublikowanym 15 sierpnia – wpajanie wiernym obrazu Maryi jako „kobiety całkowicie posłusznej poleceniom przełożonych, bezwolnej wobec losu i więzów krwi, uznającej siłę i przemoc za logiczną konsekwencję norm społecznych i ekonomicznych”, co jest podłożem wielu przestępstw i kryminalnych struktur.

Zajęcia na wydziale rozpoczną się w październiku, a prowadzić je będą teologowie, kryminolodzy i specjaliści do walki z mafią.

©P EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

SUPERNOVA W MEKSYKU

Debiutancka „Supernova” Bartosza Kruhlika otrzymała nagrodę dla najlepszego pełnometrażowego filmu zagranicznego na 16. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Monterrey w Meksyku. Dzieło wchodzi właśnie do regularnej dystrybucji w Wielkiej Brytanii, Norwegii i Niemczech.

RUSAŁKI W MSZARACH

Most nad Jeziorem Pilchowickim został wpisany do rejestru zabytków: w ten sposób ostatecznie zamknięto amerykańskim filmowcom możliwość wysadzenia go w powietrze.

Do końca sierpnia na moście i w jego okolicach trwają natomiast zdjęcia do „Republiki dzieci” w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego. Film opowiada o wychodzących z obrazów Jacka Malczewskiego faunach, chimerach i rusalkach. Stwory pojawiają się we współczesnej Polsce, w Mszarach, gdzie rusza właśnie wielka, zagrażająca mieszkańcom elektrownia.

WILKOŁAKI W BIAŁOWIEŻY

Z kolei wilkołaki z Puszczy Białowieskiej atakować będą w opracowywanej przez polskie studio Different Tales grze „Werewolf: The Apocalypse – Heart of the Forest”. Gra narracyjna powstaje na licencji kultowego w latach 90. „Świata mroku”.
Premiera
pod koniec 2020 r.



ŁUKASZ GRAJEWSKI, autor tekstu na str. 52 „Po pierwsze: wietrzyć”, będzie gościem audycji „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w czwartek o 15.20. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce – www.tokfm.pl



MICHAEL REGAN / UEFA HANDOUT / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Mistrz Ligi Mistrzów

TA HISTORIA mogła się potoczyć inaczej. Kiedy w Legii uznawali, że chłopak nie ma zdrowia do wielkiej piłki, mógł się załamać. Po wyjeździe za granicę mógł nie przełamać polskiego kompleksu: poczucia, że jako przybysz znad Wisły jest kimś gorszym od rywali do miejsca w składzie. Mógł mieć agenta nastawionego raczej na własny szybki zysk niż na dobro zawodnika. Mógł trafić na inną partnerkę, bo przecież wpływu Anny Lewandowskiej na karierę męża nie sposób sprowadzić do dbania o dietę. Mógł nie trafić na najlepszych trenerów świata, uczących go zarówno autoekspresji, jak poddania reżimowi wspólnej taktyki, zarówno sposobów na pozbywanie się nadmiaru presji, jak dyscypliny.

Chociaż tę ostatnią miał zawsze, bo jeśli już powyższą wyliczankę zbierze się w jedno, kiedy dołoży się fenomenalne zdrowie, kiedy spojrzysz

się na jego sylwetkę, wyrzeźbioną w sposób porównywalny bodaj jedynie z innym superbohaterem piłki XXI w. Cristiano Ronaldo, kiedy się wspomni o dbałości o regenerację albo o technikach koncentracji – widać, że tego wszystkiego jest za dużo, by mówić po prostu o szczęściu.

Robert Lewandowski został właśnie zwycięzcą Ligi Mistrzów w barwach Bayernu – więcej w klubowym futbolu osiągnąć nie można. I mimo że bramki w finale nie zdobył, w 47 meczach sezonu strzelił ich 55. W tym roku chyba nie było na świecie lepszego piłkarza, z pewnością nie było lepszego napastnika. Wśród romantycznych polskich wzorców drugiego takiego ze świecą szukać. Takiego, który do talentu dorzuca tytaniczną pracowitość. Świadomego siebie nie tylko na poziomie każdego mięśnia, ale też w kwestii najtrudniejszej – że na szczycie nie zostanie wiecznie. ©© MICHAŁ OKOŃSKI

Więcej: powszech.net/lewy

Przerwa w antropocenie

PANDEMIA i zasady dystansowania społecznego zamknęły w domach wielu naukowców, uniemożliwiając prowadzenie badań terenowych. Wraz z naukowcami zatrzymała się spora część ludzkości – spadła liczba turystów, zmalał ruch lądowy, morski i lotniczy. To stworzyło okazję do nowych badań – na temat wpływu obniżonej aktywności człowieka na przyrodę. Teraz, po poluzowaniu zakazów, naukowcy donoszą, że ten wpływ jest przemożny. Zaproponowano nawet specjalny termin: antropauza.

Najbardziej interesujące różnice obserwujemy w zachowaniach zwierząt. Np. kamery za-

instalowane w parkach w chilijskich miastach uchwyciły oceloty i wydry – wcześniej niespotykane na tych terenach. Żółwie morskie na Florydzie, mniej niepokojone przez plażowiczów i psy, poświęcają o 20 proc. więcej czasu na składanie jaj.

Zmiany ekologiczne nie zawsze są oczywiste. Po drogach krąży mniej samochodów, ale brak korków pozwala rozwijać większą prędkość – co gdzieś tam może przekładać się na większy poziom hałasu. Ciszej z pewnością jest pod wodą – a to powinno wpłynąć na aktywność tysięcy gatunków, bo żaden nie żyje przecież w izolacji. Świat jest nie tylko globalną wioską – jest też globalnym ekosystemem.

© PŁK / SCIENCE

STRACH W OCZACH REŻIMU

Demonstracje w Mińsku i innych miastach pokazują, że potencjał białoruskiego protestu wciąż jest ogromny. W odpowiedzi Łukaszenka coraz mocniej odwołuje się do retoryki wojennej.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WDRUGIM TYGODNIU PROTESTÓW władze Białorusi wstrzymywały się od przemocy na większą skalę, licząc zapewne na to, że będą się one wypalać. Widoczne były jednak działania wymierzone w liderów ruchu strajkowego w przedsiębiorstwach państwowych i zastraszanie protestujących robotników. W efekcie załogi niemal wszyst-

kich zakładów wróciły do pracy. Ale problemu – z punktu widzenia reżimu – to nie załatwiło: w stolicy oraz w kilkudziesięciu miastach i miasteczkach na ulice wychodziły codziennie tysiące ludzi.

„Koordynują spod Warszawy”

Reżim zaostrzył też ton. W minioną sobotę Alaksandr Łukaszenka odwiedził

jednostkę wojskową pod Grodnem, gdzie oświadczył, że „protesty kierowane są przez USA przy wsparciu Europejczyków”, i że pod Warszawą znajduje się specjalne centrum, które koordynuje działalność opozycji. Po raz kolejny oskarżył Polskę o rzekomą chęć odebrania Grodzieńszczyzny, gdzie „już zostały wywieszone polskie flagi”. Jednocześnie wrócił



Protest w Mińsku, 21 sierpnia 2020 r.

do retoryki wojennej, twierdząc, że państwa NATO zagrażają bezpieczeństwu kraju. Aby uwiarygodnić swoje słowa, postawił armię w stan gotowości bojowej i kazał przerzucić część jednostki wojskowej z Witebska pod zachodnią granicę.

Następnie Łukaszenka udał się na zorganizowany w centrum Grodna wiec pro-rządowy, gdzie ostrzegał, że jego cierpli-

wość się kończy: „Sobota, niedziela – to czas na zastanowienie się. Ale od poniedziałku niech się nikt nie obraża, władza musi pokazać, że jest władzą”. Zagroził też, że jeśli robotnicy znów będą strajkować, każe zamykać ich zakłady, a nieposłuszni nie będą mogli wrócić do pracy.

Dostało się również duchownym, których Łukaszenka wezwał do „opamię-

tania się”, grożąc, że władze „nie będą beczynnie patrzeć” na ich mniej lub bardziej bezpośrednie wsparcie dla protestów. Choć nie padło nazwisko abp. Tadeusza Kondrusiewicza, zwierzchnika białoruskiego Kościoła rzymskokatolickiego, to było jasne, że reżimowi nie spodobало się, że modlił się on pod murem mińskiego aresztu, gdzie nadal

→ przetrzymywanych jest wielu uczestników protestów.

Człowiek z karabinem

Na niedzielę 23 sierpnia opozycja wezwwała na Marsz Nowej Białorusi w Mińsku oraz w innych miastach. Wiadomo było, że jego liczebność będzie ważnym testem, który pokaże potencjał dalszych protestów.

Okazało się, że jest on nadal wielki. W Mińsku marsz zebrał ok. 150 tys. ludzi i nie był mniejszy od tego sprzed tygodnia, który stał się największym zgromadzeniem publicznym w ciągu ostatnich 30 lat. Tysiące ludzi wyszły na demonstracje również w innych miastach i miasteczkach.

Władze zgromadziły znaczne siły milicji, a w centrum Mińska pojawiły się jednostki armii. Minister obrony ostrzegł, że „w razie naruszenia porządku” protestujący będą mieć do czynienia z wojskiem. Dzień wcześniej władze odcięły dostęp do ponad 70 opozycyjnych stron internetowych (w tym telewizji Bielsat) oraz wyrzuciły z kraju kolejnych dziennikarzy zagranicznych (wielu innym odmówiono wjazdu).

Niedzielny marsz miał wyłącznie pokojowy charakter, jednak gdy demonstranci zbliżyli się do rezydencji Łukaszenki, doszło do wydarzenia niebywałego. Przed budynkiem wylądował rządowy śmigłowiec, z którego wysiadł Łukaszenka w kamizelce kuloodpornej i z karabinem w ręku. Ostentacyjnie udał się na obchód swoich sił specjalnych, broniących dostępu do pałacu prezydenckiego. Po niedługim czasie rządowe media pokazały spotkanie Łukaszenki z jego sekretarzem prasowym: obok niego leżał kałasznikow,

a dalej siedział jego 15-letni syn ubrany w mundur wojskowy.

Sądząc po komentarzach w białoruskich sieciach społecznościowych, zachowanie zagrożonego przywódcy budzi u Białorusinów więcej śmiechu niż strachu. Chyba najgorsze, co może spotkać każdego dyktatora, to przekonanie obywateli, że zaczyna być karykaturalny – i moment, gdy zaczynają stawiać pytania o jego stabilność psychiczną.

Zmiana epokowa

Zadziwiające zachowania Łukaszenki pokazują, że kompletnie nie rozumie, jak bardzo zmienił się naród, którym tak długo rządzi. Dorosło nowe pokolenie i powstały nowe media (ze szczególnie dużą rolą komunikatora Telegram), które złamały monopol tych państwowych. Wzrosły aspiracje społeczne Białorusinów. Widzą oni, że człowiek, który chce zachować funkcję jedynego polityka w kraju, nie jest w stanie wyjść z mentalnych okowów neosowieckich – i stał się anachroniczny.

Trwające już od ponad dwóch tygodni protesty na dobre zmieniają społeczeństwo białoruskie, stając się wydarzeniem epokowym i ponadpokoleniowym. W szybkim tempie budują podmiotowość Białorusinów, którzy uwierzyli, że realnie mogą dokonać zmiany w swoim państwie. Uwierzyli również, że ich ukradziony głos wyborczy ma znaczenie, i postanowili bronić tego prawa. Zaczął powstawać ruch wolontariacki, inicjatywy wsparcia (także finansowego) dla represjonowanych i strajkujących.

Masowe demonstracje stały się również nieoczekiwanym impulsem dla przebudzenia białoruskiej tożsamości

narodowej, z którą tak długo walczył Łukaszenka. Na wiecach widać niemal wyłącznie historyczne flagi białoczerwono-białe i Pogoń – kiedyś godło Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego Białorusini są współspadkobiercami.

Ostatnie wydarzenia pokazują, że nie da się pozbawić świadomości narodu, który ma tak długą historię, a o której codziennie przypominają zabytkowe świątynie i zamki wielkich rodów dawnej Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

Do zwycięstwa daleko

Choć protesty sprawiły, że reżim się zachwiał, to przedwczesne byłoby twierdzenie, że jego dni są policzone. Władze odrzucają możliwość dialogu z utworzoną w ubiegłym tygodniu Radą Konsultacyjną opozycji. Rosnący radykalizm wypowiedzi Łukaszenki ma demonstrować, że będzie walczył do końca. Służy on też dyscyplinowaniu nomenklatury, gdzie nadal nie doszło do większych pęknięć. Byłoby jednak dziwne, gdyby w obliczu tak masowych protestów przynajmniej niektórzy jej przedstawiciele nie zaczęli się wahać i stawiać pytania, czy zachowanie lojalności wobec reżimu będzie się im opłacać.

W najbliższych dniach prawdopodobne są aresztowania aktywistów, w tym członków Rady Konsultacyjnej (już w miniony poniedziałek dwoje z siedmiorga członków prezydium Rady zostało zatrzymanych przez OMON). Wciąż nie należy odrzucać też scenariusza, że Łukaszenka zechce wrócić do przemocy na masową skalę, a nawet wprowadzić stan nadzwyczajny. Ale jeśli tak się stanie, to jedynie pogorszy tym swoje położenie. Już teraz trudno sobie wyobrazić, jak mógłby dalej rządzić społeczeństwem, które masowo wypowiada mu posłuszeństwo. Przejściu do kolejnego stadium państwa policyjnego musiałby towarzyszyć nieuchronny opór ze strony coraz bardziej pewnego siebie społeczeństwa obywatelskiego.

Wiele wskazuje, że do końca białoruskiego dramatu jeszcze daleko. Warto jednak pamiętać, że historia wielkich ruchów protestu na obszarze posowieckim w ciągu ostatnich dwóch dekad dowodzi, że wszystkie w końcu osiągną swój cel.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Na placu Niepodległości w Mińsku, 23 sierpnia 2020 r.



Buntu portret zbiorowy

PAWEŁ PIENIAŻEK

Niezależnie od tego, jak dalej potoczą się protesty i co robi Łukaszenka, tych kilkanaście dni zmieniło Białorusinów.

WALERIJ SAMOŁAZOW WRACAŁ DO domu. Był zdezorientowany. Aby utrudnić protesty przeciw sfalszowaniu wyborów, które wybuchły dzień wcześniej, władze odcięły internet. Tego wieczora Mińsk, podobnie jak reszta 9,5-milionowego kraju, działał w trybie offline.

Trzydziestodwulatek, z zawodu programista, nie mógł sprawdzić w telefonie rozkładu jazdy podmiejskich pociągów. Chciał więc sprawdzić na dworcu, kiedy odjeżdża najbliższy. Widział, że w pobliżu zbierają się ludzie, że coś się dzieje. Kierowała nim ciekawość. On sam nie był zaangażowany w protesty. Szedł wzdłuż torów w stronę centrum.

Na rogu ulicy stali milicjanci w czarnych mundurach, ich twarze zakrywały kominiarki. – Nie złamałem prawa, więc nie chciałem się przed nimi ukrywać. Postanowiłem, że pójdę dalej – wspomina dziś Samołazow.

Zagrodzili mu drogę, okrążyli. Jeden zapytał, dokąd idzie. Samołazow odparł, że po prostu spaceruje. Poprosili o dokumenty. Posłusznie podał prawo jazdy. Spojrzeli na nie i zapytali, czy jest obcokrajowcem. Nie jest. Nagle wykręcili mu ręce, opuścili głowę w dół i zaprowadzili w podwórze budynku naprzeciw dworca.

Tam zaczęło się dla niego piekło. Zajął się nim sześciu w kominiarkach, ubranych na czarno, bez naszywek. Wsadzili go do więziarki i pierwszy raz pobili. Wyciągnęli z kieszeni portfel i telefon, a z butów sznurówki, zdjęli zegarek z ręki. Postawili przy ścianie, uderzyli



Walerij z córkami. Z prawej: ślady po torturach na jego ręce, sierpień 2020 r.

kilka razy. Rozprostowali palec jego dłoni i odblokowali nim telefon. Sprawdzili zawartość: z kim pisał, skąd czerpie informacje. Nie znaleźli nic, do czego można byłoby się przyczepić. Sprawdzili zdjęcia. Na większości były jego trzy córki (roczna, pięcioletnia i siedmioletnia), pies i samochód. Wypytywali o osoby na zdjęciach. A także, gdzie pracuje i ile zarabia.

Podszedł mężczyzna w cywilu. Potem Samołazow znalazł go na zdjęciu w internecie: rozpoznał komendanta Urzędu Spraw Wewnętrznych w dzielnicy Zawodskaja.

„To chyba nie nasz pasażer” – powiedział jeden z ubranych na czarno. Zapewne mając na myśli, że złapali przypadkowego człowieka. „Mam to gdzieś” – padła odpowiedź.

Kazali Samołazowi włożyć buty, wykręcili ręce, opuścili głowę i poprowadzili, w drodze bijąc. Wrzucili do zwykłego żółtego autobusu – takiego, jakie na co dzień jeżdżą po Mińsku – i położyli na ziemi. Mężczyzna w cywilnym ubraniu usiadł naprzeciwko. Choć Samołazow miał opuszczoną głowę, rozpoznał go po głosie i trampkach.

„Wsadzimy cię na 10 lat. Wsadzę ci pałkę w dupę” – powiedział ten w cywilu. – Przecwelimy cię, jak przecweliliśmy Cichanouskiego”.

Przemoc niespotykana

To od 42-letniego Siarhieja Cichanouskiego wybory na Białorusi – dotąd wyglądające jak kolejny rytuał zatwierdzenia Alaksandra Łukaszenki na szóstą już kadencję – zaczęły nabierać obrotów. Ten

przedsiębiorca, aktywista i autor bloga na YouTube ogłosił na początku maja, że będzie ubiegał się o urząd prezydenta. Kilka dni później Centralna Komisja Wyborcza odmówiła mu zarejestrowania, a pod koniec maja Cichanouski został aresztowany. Niejako w zastępstwie za męża w szranki stanęła 37-letnia żona Swiałłana. Rządzący od 26 lat Łukaszenka ją zignorował; dał do zrozumienia, że jakaś gospodyni domowa nie jest dla niego zagrożeniem. Ale po tym, jak nie zarejestrowano lub zmuszono do emigracji kolejnych oponentów, Cichanouska stała się jego główną rywalką.

I wybory zapewne wygrała. Ich oficjalne wyniki nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Według oficjalnych Łukaszenka zdobył 80 proc. głosów, a Cichanouska 10 proc. Tymczasem po ogłoszeniu wstępnych wyników z komisji wyborczych zaczęły spływać zdjęcia protokołów, na których widać było znaczną przewagę Cichanouskiej. Już wieczorem ludzie w całym kraju zaczęli wychodzić na ulice. Nie przstraszyła ich brutalność milicji ani groźby Łukaszenki.

Analitik polityczny Arciom Szrajbman uważa, że dziś przemoc ze strony władz osiągnęła niespotykany dotąd poziom – choć wcześniej, w 2010 r., po zapewne też sfalszowanych wyborach, milicja rozpędziła pałkami wielotysięczny miting.

– Teraz stosowano armatki wodne, gumowe kule, granaty hukowe, a w aresztach tortury – mówi Szrajbman. – To nowy poziom represji, który nie tylko rozgniewał społeczeństwo, ale zszokował

→ też wielu w aparacie państwa. W rezultacie sporo osób odeszło z pracy, w tym na niskim i średnim szczeblu struktur siłowych. Kościoły, które zazwyczaj są apolityczne, wydały oświadczenia. Tego wszystkiego nie było w 2010 r.

W kolejnych dniach zdawało się, że to będzie szybki i pokojowy koniec Łukaszenki. Coraz więcej ludzi wychodziło na ulice. W demonstracji w Mińsku – największej w prawie 30-letniej historii niepodległej Białorusi – wzięło udział może nawet 200 tys. ludzi. Zaczęły się strajki robotników. Po raz pierwszy reżim wydawał się bezradny.

Pasmo śniadaniowe na urlopie

Wśród tych, którzy odeszli z pracy na znak protestu, było wielu pracowników rządowych mediów. Jak mówi 28-letnia Taciana Garbar, która od roku pracuje w programie śniadaniowym państwowej telewizji ONT, dwustu z trzystu pracowników stacji zwolniło się lub wzięło urlopy. Kanał wciąż działa, ale – podobnie jak państwowy moloch Belteleradio, sparaliżowany strajkami – opiera się głównie na materiałach archiwalnych. Aby wyjść z informacyjnego letargu, Łukaszenka przyznał, że państwowe media zasilą Rosjanie.

– Na pewno będą też brać nowych ludzi, którym taka praca nie przeszkadza. Wiem, że dyrekcja naszego kanału bierze to pod uwagę – mówi Garbar.

Sama podpisała kontrakt z ONT w zeszłym roku, ważny jest do końca września. Teraz Garbar nie pracuje, bo poszła na urlop. Dostała propozycję, by przedłużyć umowę jeszcze przed wyborami, ale nie chciała tego zrobić. W państwowych mediach pracuje od 10 lat i twierdzi, że tak źle, jak od momentu rozpoczęcia kampanii wyborczej, jeszcze nie było. Jej program „Nasz poranek” był typową telewizyjną śniadaniową. Jak mówi, zajmowali się miłymi materiałami o psach, kotach i lekkich sprawach, aby widzowie się obudzili i uśmiechnęli. Nie dotyczyła ich zbytnio polityka, ale od maja było jej coraz więcej. – Dawano nam ideologiczne wytyczne, jak kręcić materiały i w jakim kierunku ma się rozwijać temat – przyznaje Garbar.

Prowadzący, którzy byli zbyt krytyczni wobec władz lub na których profilach w mediach społecznościowych znaleziono np. takie symbole jak biało-czerwono-białe flagi czy Pogoń (godło państwa z początku lat 90. XX w.), byli zwalniani. Ona miała tego coraz bardziej dosyć.



Taciana, Mińsk, sierpień 2020 r.

W niedzielę 9 sierpnia, po zakończeniu głosowania, po raz pierwszy w życiu poszła na demonstrację. – Niestety, jak na razie wyjście na ulice z pokojowymi akcjami i wyrażanie swojej niezgody to jedyna rzecz, którą można zrobić masowo i przynajmniej zostanie zauważona – stwierdza Garbar. Dodaje, że władze nie respektują legalnych działań lub po prostu je ignorują, tak jak skargi na fałszerstwa zgłoszone do Centralnej Komisji Wyborczej. – Dlatego jedyne, co możemy robić, to uczynić tę sprawę publiczną. Po prostu wychodząc i swoim stanem na ulicy protestować przeciw temu, co dzieje się w kraju.

Demonstracja i jej atmosfera zrobiły na Tacianie ogromne wrażenie. Opuściła protest i poszła do domu na chwilę przed tym, gdy zaczęły się starcia i zatrzymania. Twierdzi, że do tego czasu było spokojnie: z jednej strony protestujący, a z drugiej milicjanci i żołnierze zachowywali się w porządku. Dopiero jak przyjechał okryty złą sławą specjalny oddział milicji OMON, sytuacja eskalowała.

Następnego dnia – tego samego, w którym zatrzymano Samołazowa – postanowiła, że nie chce dłużej pracować w ONT. Że po prostu nie da rady. – Do mojej decyzji dobrze odniosło się kierownictwo, nie mogę powiedzieć nic złego. Jestem wdzięczna, że zaangażowali mnie rok temu. Ale teraz przyszedł czas, żeby dokończyć wybranie. Nie mogłam zamknąć oczu na to, co się dzieje w kraju – mówi dziś.

Próbowała wraz z innymi organizować strajk w swoim kanale. Jednak zbyt mało osób się zadeklarowało. Nie potępia tych, którzy się nie podpisali, ani tych, którzy postanowili pracować dalej. Od 17 sierpnia program „Nasz poranek” nie jest emitowany – teraz stacja skupia się na sekcji informacyjnej. Na razie „urlop” potrwa do września, ale nie wiadomo, czy się nie przedłuży.

Zatrzymany za Punishera

Walerij Samołazow mówi, że nie wiedział, jak się odnaleźć w sytuacji. Wcześniej nigdy nie miał kontaktu z milicją czy sądem. Twierdzi, że nawet nie dostał mandatu, choćby za przekroczenie prędkości. – Obrażano mnie, bito, poniżano. Nie mogłem zrozumieć, czy tak się dzieje ze wszystkimi, czy tylko ze mną – opowiada.

Postanowił, że będzie cichy i pełen pokory. – To chyba pomogło zachować zdrowie i w jakimś sensie miałem szczęście, bo mnie nie bili tak mocno jak pozostałych – tłumaczy. – W którymś momencie zrozumiałem, że nie jestem oficjalnie zatrzymany, aresztowany ani skazany. Po prostu stałem się zakładnikiem.

Nie miał na sobie żadnej symboliki, przez którą można byłoby go skojarzyć z protestującymi. Jak się okazało, przyczepili się do jego koszulki z popularnym logo komiksowego bohatera Punishera z białą czaszką. Bijący go milicjanci mówili między sobą, że to symbol pułku Azow – skrajnie prawicowego oddziału walczącego na Ukrainie. To ugrupowanie nigdy nie wykorzystywało czaszki Punishera. Nie było to jednak problemem dla milicjantów, którzy co chwila bili go za tę koszulkę.

Więźniarka jeździła po mieście i stopniowo się zapelniała. Dojechali na teren Urzędu Spraw Wewnętrznych w dzielnicy Zawodskaja. Wszystkich wyrzucono z pojazdu, bito i rzucano na ziemię. Funkcjonariusze podchodzili kolejno do zatrzymanych i kazali podać nazwisko, rok urodzenia i spisywali rzeczy, które mieli przy sobie. Na ziemi, patrząc w ścianę lub w ziemię ze ściśniętymi rękami na plecach, Samołazow spędził jakieś 18 godzin.

Ci, którzy poprosili o wodę, pójście do łazienki czy wykonanie telefonu, byli bici. Samołazow mówi, że przybił go widok mężczyzny, który nie okazywał sprzeciwu, a mimo tego był strasznie okładany. Tak długo, aż stracił przytomność.

– Uderzenia nagle stały się głucho. Chciałem podnieść głowę i poprosić, żeby przestali, ale bardzo się bałem. Zrobiła to jakaś dziewczyna. Krzyknęła: „Co robicie?”. Zaczęli ją kopać – wspomina.

Takich historii jak Samołazowa było w tych dniach wiele. Jakiś mężczyzna mówił, że boli go serce, nie mógł wstać na rozkaz, upadł na kolana, więc bili go tak długo, dopóki powiedział, że nic go nie boli (dopiero po iluś godzinach podszedł do niego lekarz). Jednemu zatrzyma-

nemu rozbili okno w samochodzie, wyciągnęli z pojazdu i zaczęli bić, zabrali na komendę. Nawet nie dali mu szansy powiedzieć, że w aucie zostało jego dziecko. Gdy mu się to nareszcie udało, zadzwonili do żony i kazali zabrać je z auta, a mężczyznę znowu pobili, tym razem za to, że poinformował ich o tym tak późno. 74-latka aresztowano po tym, jak milicja zabrała jego wnuka idącego obok. Gdy wstał się za chłopakiem wrzucanym do więzniarki, wsadzono do niej także jego.

Szczególna uwaga

Milicjanci zmuszali Samoławowa do podpisania protokołu, wedle którego miał uczestniczyć w demonstracji i krzyczeć: „Niech żyje Białoruś!”. Nie zrobił tego.

Następnie przewieziono go do kolejnego aresztu. Wcześniej usłyszał, jak jeden z milicjantów instruuje konwojentów, że jemu, Samoławowi, należy poświęcić „szczególną uwagę”. W więzniarce, poza biciem, założono mu z całej siły inną, grubszą plastikową opaskę zaciskową (zastępowała kajdanki). Wkrótce ręce zdrętwiały mu aż po łokcie. Ból był straszny, bał się, że zostaną mu trwałe obrażenia. Na prośbę konwojentów o poluzowanie. Natychmiast zaczęli wykręcać mu ręce tak, że bolało jeszcze bardziej. Tracił przytomność dwa razy. Przestali dopiero, gdy powiedział, że nic go nie boli. Kiedy już wszyscy zostali wyrzuceni z więzniarki, on został sam. Wtedy pobito go po raz kolejny.

Trafił do aresztu w Żodzinie, miejscowości oddalonej o 55 km na północny wschód od Mińska.

Po wyjściu z więzniarki już go nie bili. Tam wreszcie zdjęli mu opaskę z rąk. Nadgarstki były całe sine. Trafił do celi z dziesięcioma przyczami, w której znajdowało się 32 zatrzymanych. Spali po kolei lub po prostu kładli się na podłodze. Dopiero tam mógł porozmawiać z innymi o tym, co się stało. Ich historie były podobne: prawie wszystkich zatrzymano, gdy szli ulicą, ale nie brali udziału w protestach.

Łącznie Samoławow był zatrzymany przez trzy i pół doby – bez jedzenia, a przez większość czasu także bez wody i snu. Już na samym początku prosił, by poinformować jego żonę o sytuacji. Nikt tego nie zrobił. Żona i ich przyjaciel zgłosili zawiadomienie na policję, że Walerij przepadł bez wieści.

Zwolniony, prosto z aresztu pojechał do szpitala. Przebywa w nim do dziś. Ma zdiagnozowane urazowe uszkodzenie mózgu, nie odzyskał do końca czucia w rękach. Wraz z adwokatką chciałby zgłosić sprawę do sądu, ale boi się, że sąd zamiast mu pomóc, ukarze go.

Ciąg dalszy trwa

Samoławow został uwolniony, gdy po kilku dniach represji reżim uznał, że brutalność na taką skalę przynosi odwrotny skutek do zamierzonego – bo tylko wzmacnia niechęć do władz – i postawił chwilowo na deeskalację. Jednak otoczenie Łukaszenki szybko otrząsnęło się i przeszło do kontrnatarcia. W różnych miastach rozpoczęto organizowanie przerządowych demonstracji, wielu strajkujących robotników zastraszono i zmu-

szono, by wrócili do pracy. Ludzie związani z państwową biurokracją przestali się zwalniać. Natomiast represje przeszły na inny poziom: stały się punktowe – wyłapuje się pojedyncze osoby, sądowo ściga opozycję, milicja znowu po trochu przepędza ludzi z ulic. Do tego protestom brakuje spektakularnych sukcesów, aby podtrzymywać emocje i wyprowadzać masy na ulice.

Mimo to Arciom Szrajbman uważa, że nawet jeśli demonstracje wkrótce wygasną, to kryzys dopiero się rozpoczyna: – Nie widzę dróg, dzięki którym władza mogłaby odbudować zaufanie. Teraz musi opierać się na sile, nie na konsensusie.

To, w połączeniu z narastającymi problemami ekonomicznymi, z którymi kraj dziś się mierzy, może stworzyć mieszaną wybuchową. – Nie wiadomo, kiedy doprowadzi ona do nowej masowej polityzacji, może będzie to za dwa lata, a może za dwa tygodnie – dodaje Szrajbman.

Taciana Garbar, choć sama wychowuje czteroletniego syna, dalej chodzi na protesty. Dla niej to początek końca dotychczasowych władz – i początek nowej epoki. Nie ma jednak wątpliwości, że ta nowa epoka będzie się wiązała z trudnościami, głównie ekonomicznymi. Uważa, że ludzie, którzy biją swoich własnych współobywateli, nie mogą rządzić. Skompromitowali się. Taciana wierzy, że jeśli reżim nie sięgnie po ostateczne metody – jak np. stan wojenny – to tego procesu już się nie zawróci.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst ukończono w niedzielę 23 sierpnia.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiś,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuźmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek
Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław
Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał
Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P.
Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław
Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Adereit,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuźmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski



S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Piąta próba Abrahama*



ABRAM MIAŁ 85 LAT. BÓG PO WOJNIE KRÓLÓW zawarł z nim kolejne przymierze. Wprowadził go do przyszłych dziejów Izraela. Jego potomkowie mieli 400 lat trwać w niewoli egipskiej, a potem powrócić do ziemi obiecanej, sięgającej aż po Eufrat. Adonaj, Pan świata, obiecał, że Hebrajczycy staną się liczni jak gwiazdy na niebie. Abram był już starym człowiekiem. Jak jego żona Saraj, która miała lat 75. Skarżył się Bogu: „Cóż możesz mi dać, gdy ja schodzę bezdzietny, a dziedzicem domu mego będzie Eliezer z Damaszku” (Rdz 15, 2). Ten sam głos skargi słyszała jego żona. Była bezpłodna. Jego małżeństwo było znów zagrożone. Gdy wszedł do Egiptu, dla swojego ocalenia oddał żonę faraonowi. Teraz żona gotowa była ustąpić łoża niewolnicy, by uciszyć krzyk męża. Dała mu swoją niewolnicę, Egipcjanke Hagar i uczyniła jego żoną.

Hagar otrzymała wyjątkowy status społeczny, niemal równy Saraj. Żona-niewolnica zaszła w ciążę. Poczuli się od razu lepsza od swej pani. Saraj zareagowała wyjątkowo wrednie. Harem Abrama zamieniła w pole bitwy tak okropnej, że Hagar uciekła na pustynię. Tam, przy Studni Żyjącego, znalazł ją anioł pański. Nakazał powrót do domu i zwiastował jej przyszłość poczętego dziecka. Nazwał je Izmael (Ismael). Dosłownie imię to oznacza „Bóg wysłuchał”, co sugeruje, że był on spełnieniem Boskiego przeznaczenia. Z jej łona miał się zrodzić naród podobny do dzikiego osła, „ręka jego będzie przeciw wszystkim, a ręka wszystkich będzie przeciw niemu i będzie nastawał na wszystkich pobratymców swoich”.

Za potomków Izmaela uważa się liczne plemiona arabskie. Dziesięć razy wspomina się w Koranie jego imię. Matka i syn mieli zostać pochowani w Mekce. Izmael został obrzezany, gdy miał lat trzynaście, i tym samym objęty przymierzem Abrama z Bogiem. Uważany jest przez Żydów za człowieka prawego. Rok później, gdy już urodził się z Sary Izaak, Izmael szydził ze swojego brata i za to został wraz z matką wygnany z domu. Znaleźli się na pustyni koło Beer Szewy. Nie mieli wody. Matka, nie chcąc patrzeć na nieuchronną śmierć syna, usiadła daleko od niego i wtedy pojawił się znowu anioł i zawołał z wysoka: „Wstań, podnieś chłopca i ujmij go za rękę swoją, bo uczynię z niego naród wielki” (Rdz 21, 17). Izmael zamieszkał na pustyni i został łucznikiem. Żonę przywiódł mu matka z Egiptu. Miał dwunastu synów książąt i jedną córkę, która została żoną Ezawa, brata Jakuba. Bardzo się płaczą rodzinne więzy.

Druga i piąta próba Abrahama ukazują, czym jest małżeństwo. Związek z Sarą był związkiem opatrnościowym i wyznaczył dzieje ludu Izraela. Hagar nie była zabawką praojca. Nie okazała się matką zastępczą. Spełniła ważną rolę, powstał wielki naród, a jej potomkowie nadal walczą ze swoimi pobratymcami. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Ciężar właściwy*



JEZUS, ZAPOWIADAJĄC PO RAZ PIERWSZY tragiczny koniec swego posłannictwa bezpośrednio po wyznaniu Piotra: „Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego”, wprowadził ucznia w niebywałe zdumienie. Jak to, Jezus, Syn Boży, oczekiwany przez tylu Mesjasz, ma ponieść tak smrotną klęskę? „Wtedy Piotr – mówi ewangelista – wziął (Jezusa) na bok i stanowczo Go upominał: »Niech Cię Bóg broni! Panie, na pewno się to Tobie nie przydarzy!«. On zaś odwrócił się i rzekł do Piotra: »Idź za Mną, szatanie! Przeszkadzasz Mi, bo nie myślisz po Bożemu, ale po ludzku«” (przekład Biblii Paulistów). Tak ostrej repriandy, poza Piotrem, chyba nikt inny z ust Jezusa nie usłyszał. Jak to, Piotr i szatan? Szatan przy Jezusie? Niemożliwe!

Piotr, przerażony perspektywą niespełnienia jego nadziei na pomyślniejszą przyszłość narodu, mógłby za Jeremiaszem powiedzieć: „Zwiodłeś mnie, Panie, a ja dałem się zwieść. Udało Ci się mnie pokonać. Każdego dnia byłem pośmiewiskiem, wszyscy drwią ze mnie. Ilekroć bowiem przemawiam, muszę krzyczeć i wołać: »Przemoc i gwałt!«. Słowo Pana każdego dnia sprowadza na mnie poniżenie i szyderstwo. Powiedziałem więc: »Nie będę Go już wspominał! Nie będę więcej mówił w Jego imieniu!«. Wtedy powstał w moim sercu jakby płonący ogień, który przenika moje kości. Próbowałem go opanować, ale nie mogłem”. Zanim jednak ten Jeremiaszowy płomień rozgorzał w Piotrze na dobre, musiał on przeżyć bezsilność wobec przemocy, jakiej doświadczył Jezus, a której on nie mógł zaradzić. Pamiętamy bezsilny płacz Piotra po tym, jak dla własnego bezpieczeństwa nie przyznał się, że miał cokolwiek wspólnego z Jezusem. Nawiasem mówiąc, Piotr postąpił jak najbardziej racjonalnie, bo kto o zdrowych zmysłach pakowałby się w ręce tych, którzy chcą go jeśli nie uwięzić, to zabić?

„Jezus powiedział do uczniów: »Jeśli ktoś chce iść za Mną, niech się wyrzeknie samego siebie; niech weźmie swój krzyż i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce ocalić swoje życie, straci je; a kto straci swoje życie z mojego powodu, znajdzie je«. Oczywiście Piotr, wypierając się Jezusa, chciał „ocalić swoje życie” i je ocalił. Kiedy jednak przyjdzie „jego godzina”, to ocalone życie Piotr będzie umiał stracić, wierząc, że śmierć jest pewnym życiowym wydarzeniem, a nie utratą życia. Dzisiaj Bóg, w swoim wielkim miłosierdziu, nie „wodzi nas” na aż tak wielkie „pokuszenie”, ale to nie znaczy, że powinniśmy już tylko Boga chwalić i za to dziękować. Nie!

Bóg nikomu nie obiecuje łatwego życia, przeciwnie, tych którzy mu zaufali, pragnie posłać tam, gdzie nikt inny, zwłaszcza z tzw. ludzi Kościoła, iść nie chce. A przecież krzyżem Jezusa i naszym nie są wyłącznie przeciwności i cierpienia, ale miłość. Ją unieść najciężej. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Kierunek: życie wspólne

*Badaj i poddawaj próbom,
co jest w twoim wnętrzu.*

PRZYPISYWANE
ANTONIEMU WIELKIEMU



*Myślę, że wielu ludzi
osiągnęłoby mądrość,
gdyby nie sądzili,
że już ją osiągnęli.*

SENEKA



TYM RAZEM „OKRUCH” nie z Pisma Świętego, lecz z wydanego niedawno dokumentu Kongregacji ds. Duchowieństwa „Na-

wrócenie duszpasterskie wspólnoty parafialnej w służbie misji ewangelizacyjnej Kościoła”. Dokument jest o parafii. To ważne. Nie o Kościele w ogóle, nie o Kościele partykularnym, jakim jest diecezja. O parafii. O „miejscu”, w którym każdy z nas najpierw i na co dzień doświadcza Kościoła.

Powstanie dokumentu odnotowały polskie media, szczególnie liczne portale katolickie. Wydobyły z niego na pierwszy plan kwestię opłat/ofiar za sprawowane w kościołach posługi, przede wszystkim sakramenty. To rzecz niewątpliwie ważna, ale (przynajmniej w optyce owego dokumentu) wcale nie najważniejsza. A co jest najważniejsze?

Odpowiedź znajdujemy w części omawiającej najistotniejsze zadania duchownych w parafii (p. 62-65). Należy do nich oczywiście sprawowanie sakramentów, a wcześniej przepowiadanie Słowa (kerygmat!). Przed nimi jednak jest jeszcze coś: życie wspólne proboszcza i pozostałych duchownych. To prawda, „nie jest ono obowiązkiem duchownych diecezjalnych”; są oni jedynie do takiej formy życia zachęceni. Pytanie jednak, czy bez jego podjęcia uda się im stworzyć w parafii „kulturę spotkania” (tak dziś potrzebną)? W jaki sposób poprowadzą wiernych do stworzenia z parafii wspól-

noty? Czy uciekając od życia wspólnego zachowają i pomnożą swoją kapłańską tożsamość? Czy we wspólnocie nie jest zdecydowanie łatwiej o zachowanie raczej ubogiego stylu życia? Prezbyterom potrzebna jest „wspólna modlitwa, refleksja i studia”. To we wspólnocie – stwierdza dokument – „pokusa indywidualizmu ustępuje miejsca głębokiej relacji osobistej”. Indywidualizm księży i anonimowość w podejściu do ludzi (zawsze grupy i masy; nigdy spotkanie osobiste) – czy to nie rzucające się w oczy cechy polskiego duszpasterstwa? Jak to się ma do stwierdzenia, które od czasów Benedykta XVI stało się pastoralnym refrenem, że wiara jest głębokim spotkaniem osoby z Osobą?

Doświadczenie konkretnego życia wspólnego jest dla duszpasterza tak istotne, że autorzy dokumentu (zatwierdzonego przez Franciszka 27 czerwca) podpowiadają biskupom rozwiązanie w pierwszej chwili zdumiewające: jeśli życie wspólne księży na parafii jest niemożliwe – np. jest na niej tylko jeden ksiądz, to lepiej, żeby (zamiast na pustej plebanii) zamieszkał ze swoją „rodziną pochodzenia”, która była dla niego „pierwszym miejscem formacji ludzkiej i odkrywania swojego powołania” (p. 65).

To jest prawdziwa rewolucja w myśleniu! Wyzwanie wobec wszystkich naszych schematów refleksji i działania. Boję się, że wywoła ona niesłychany opór. A jeszcze bardziej, że spowoduje wzruszenie ramion. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (30 VIII – 6 IX)

22. niedziela zwykła: Jr 20, 7-9; Ps 63;
Rz 12, 1-2; Mt 16, 21-27;

Poniedziałek: 1 Kor 2, 1-5; Ps 119; Łk 4, 16-30;

Wtorek: 1 Kor 2, 10b-16; Ps 145; Łk 4, 31-37;

Środa: 1 Kor 3, 1-9; Ps 33; Łk 4, 38-44;

Czwartek: 1 Kor 3, 18-23; Ps 24; Łk 5, 1-11;

Piątek: 1 Kor 4, 1-5; Ps 37; Łk 5, 33-39;

Sobota: 1 Kor 4, 6-15; Ps 145; Łk 6, 1-5;

23. niedziela zwykła: Ez 33, 7-9; Ps 95;

Rz 13, 8-10; Mt 18, 15-20.

Wybrał PIOTR SIKORA

NIEBIESCY, PRAWIE BRUNATNI

Dla władzy przebierają się za anioły i tną konfetti. Rzucają ludzi na glebę i wykręcają ręce. Policja znalazła się blisko granicy, która oddziela formację służącą społeczeństwu od zbrojnego ramienia partii i wodza.

ANDRZEJ STANKIEWICZ



POLSKA POLICJA Z INTERWENCJI NA INTERWENCJĘ oddala się od etosu apolitycznej służby. Choć kierują nią oficerowie zrekrutowani już po upadku PRL, niebieskie mundury zaczynają się znów kojarzyć z władzą – jej ideologią, fobiami i interesami.

Kronika serwilizmu

Zdjęcia z zatrzymania Margot są przejmujące. Policjanci wylapują protestujących, zakładają im duszące dźwignie, kolanami przyciskają głowy do asfaltu, ładują do furgonetek. Słychać skandowanie: „Faszyści, policja – jedna koalicja!”. Zatrzymanie miało związek z kilkoma zarzutami, m.in. o pobicie działacza Fundacji Pro – Prawo do Życia oraz zniszczenie jego furgonetki, na której były hasła zrównujące LGBT z pedofilią. Straty to ok. 6 tys. zł.



AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA GAZETA

Prokuratura uznała, że konieczne jest aresztowanie Margot ze względu na obawę mactwa. Nie jest jednak standardem wsadzanie do aresztu osoby niekaranej za relatywnie niskiego kalibru przewinienie. Na wolności chodzą – za zgodą prokuratury i sądów – sprawcy znacznie cięższych czynów. No i w tym przypadku trudno o mataczenie – jest przecież film dokumentujący atak Margot.

Policjanci mieli zatrzymać jedną osobę, a skończyło się dołkiem dla niemal 50 osób. Twierdzą, że zostali zmuszeni do ostrej interwencji, bo protestujący utrudniali akcję i zaatakowali jeden z radiowozów. Ale policja nie musi w takich sytuacjach działać konfrontacyjnie – potrafi się cofnąć i dokonać zatrzymania później i subtelniej.

Można byłoby to uznać za wypadek przy pracy. Tak niestety nie jest: ta operacja była kolejnym w serii wydarzeń z ostatnich pięciu lat, które ilustrują drogę, jaką przebyła policja od momentu dojścia PiS do władzy. To kronika serwilizmu.

I sekretarz policji

Kiedy PiS wygrało wybory jesienią 2015 r., wiadomo było, że odpowiedzialnym za służby mundurowe zostanie Jarosław Zieliński, wieloletni polityczny druh Jarosława Kaczyńskiego. Zieliński jest politykiem zbyt małego formatu, by go postawić na czele MSWiA, był więc w tym resorcie zastępcą najpierw Mariusza Błaszczaka, potem Joachima Brudzińskiego, a właściwie ministrem policji. Czy raczej jej pierwszym sekretarzem, bo to określenie lepiej oddaje styl jego rządów: zamięłowanie do świty, oddawania honorów i strzelania obcasami.

Zieliński nie miał oczywistego kandydata na szefa policji. Zgłosił się do niego Zbigniew Maj, kontrowersyjny glina wędrujący po policyjnych stanowiskach w całej Polsce ze względu na konfliktowość i swobodne podejście do procedur. Wiedział, jak dotrzeć do serca ministra. Zaserwował mu spektakl – w ramach modnego na początku rządów PiS piętnowania bizancjum poprzedników, w obecności dziennikarzy oprowadził Zielińskiego po gabinecie szefa policji,

Marsz Równości w Białymstoku. Przeciwnicy marszu wymusili przemocą trzykrotną zmianę jego trasy. 20 lipca 2019 r.

prezentując rzekome luksusy dowódcy z czasów rządu PO-PSL, gen. Marka Działoszyńskiego: szafy, toaletę i czyszczarkę do butów. Zaprezentował też sprzęt antypodszuchowy, który Działoszyński kazał zainstalować – co było skrajną głupotą, zważywszy jakie decyzje podejmowane są w tym gabinecie.

Test z czołobitności Maj zdał celująco i szybko przystąpił do czystki, ale skończył szybciej, niż zaczął. Okazało się, że od dłuższego czasu jest pod lupą CBA. Odwołano go po trzech miesiącach, potem był nawet zatrzymany.

Zieliński nie mógł znaleźć nowego komendanta. Ostatecznie – z łapanek – w kwietniu został nim Jarosław Szymczyk, wcześniej szef policji na Śląsku, którego Maj chciał wyrzucić, ale nie zdążył. Choć Szymczyk to doświadczony policjant i wcześniej nie zabiegał o poklask polityków, to właśnie za jego czasów policja zaczęła się staczać w objęcia władzy.

Pajacyki pana ministra

Najpierw policjanci stali się pajacami Zielińskiego. Jesienią 2016 r. funkcjonariusze z Białegostoku zamiast patrolować ulice, wycinali ręcznie konfetti, które później z policyjnego helikoptera zrzucono podczas wizyty ministra. Potem policję konną zabezpieczającą Orszak Trzech Króli w Szczecinie przebrano za anioły; do mundurów przyklejono białe skrzydła. Latem 2018 r. Zieliński przekazał policjantom z Sejn radiowóz. Przed uroczystością musieli auto umyć, bo od dwóch miesięcy już nim jeździli. Na przekazanie auta przyjechał nawet ksiądz.

Dom Zielińskiego na Podlasiu był cały czas chroniony przez policję – pod bzdurnym pretekstem, że to obszar zagrożony przemytem i kradzieżami samochodów. Podczas uroczystości policjanci musieli przebierać się w garnitury, zakładać okulary przeciwsłoneczne i udawać funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa. Mieli być także wykorzystywani jako wypełniacze na widowni podczas spotkań z ministrem.

Policjanci poskarżyli się w liście do Bożeny Kamińskiej, posłanki PO. Kamińska w listopadzie 2018 r. zapytała o to Zielińskiego w Sejmie. W odpowiedzi zaatakował ją pupil Zielińskiego, szef podlaskiej policji Daniel Kołnierowicz: ogłosił konkurs na najlepszy anonim o posłance. To sytuacja bez precedensu, by funkcjonariusz mundurowy atakował posła. ➔

→ Kołnierowicz dostał nagane, ale Zieliński nie pozwolił go odwołać.

Policja liczy po swojemu

Naprawdę gorąco zrobiło się już pod koniec 2016 r., kiedy w Sejmie doszło do najpoważniejszego kryzysu od lat. Zaczęło się od sprzeciwu opozycji wobec planów władz PiS, które chciały usunąć dziennikarzy z parlamentu. Szybko sytuacja wymknęła się spod kontroli i opozycja zaczęła okupować salę plenarną Sejmu. Wieczorem 16 grudnia tysiące przeciwników PiS zablokowały Sejm. W nocy doszło do regularnych starć z policją, która chroniła polityków PiS próbujących wymknąć się z gmachu. Policja usuwała protestujących siłą, skandowano „ZOMO”.

Potem przyszedł czas ścigania protestujących: policja opublikowała wizerunki kilkudziesięciu osób, prosząc porządnego obywateli o pomoc w ich złapaniu. Nie wyrażne twarze na stop-klatkach z kamer wyglądały jak listy gończe za sprawcami ciężkich przestępstw. Prezes Kaczyński mówił nawet o twarzach ludzi specjalnej troski.

Prezes zresztą szybko ogłosił teorię, wedle której te protesty to próba siłowego obalenia rządu. Ekspresowo, w porze największej oglądalności, TVP1 pokazała film o mało subtelnym tytule „Pucz”. W ciągu trzech lat śledztwa prokuratura nie znalazła jednak przesłanek wskazujących na próbę puczu. I przestała szukać.

Pod Sejmem pojawiły się metalowe bariery strzeżone przez tłum policjantów – bez względu na to, czy jest posiedzenie i czy są protestujący. Policjanci zaczęli coraz bardziej przypominać ochroniarzy władzy.

Ciosy w imię Polski

W lipcu 2017 r. policja zrobiła kolejny krok ku przeszłości. Dziennikarze „Gazety Wyborczej” ujawnili, że podczas demonstracji w obronie sądów policja inwigilowała m.in. jednego z ówczesnych liderów opozycji Ryszarda Petru oraz działaczy Obywateli RP.

Pół roku później doszło do poważnych incydentów podczas Marszu Niepodległości. Grupa 14 kobiet próbowała zablokować pochód narodowców – stanęły na trasie z transparentem „Faszyzm Stop”. Opluto je i skopano, wyzywano od kurw, suk i lachociągów. Narodowcy usunęli je siłą, nie niepokojeni przez policję. W tle powiewały białe-czerwone

Policja zaczęła nie tylko wykonywać wszelkie polityczne zlecenia władzy, ale także – za jej przykładem – patrzeć przez palce na rosnące w siłę środowiska narodowców.

sztandary, niektóre z symbolem Polski Walczącej.

Policja wręczyła kobietom mandaty i oskarżyła je o blokowanie legalnego zgromadzenia. Po dwóch latach sąd oczyścił je z zarzutów. Natomiast awansowana za czasów PiS prokuratorka Magdalena Kołodziej, szefowa Wydziału I Słuchowego Prokuratury Okręgowej w Warszawie, umorzyła śledztwo w sprawie pobicia kobiet przez narodowców.

Chcieli wywołać dyskusję

Tamten marsz pokazał nowe zjawisko. Policja nie tylko stała się zbrojnym ramieniem władzy, ale także – za jej przykładem – zaczęła patrzeć przez palce na rosnące w siłę środowiska narodowców, z ich zamyśłowaniem do zadymy i podejrzanego symboliki.

Jeszcze dobitniej było to widać w Katowicach, gdzie narodowcy powiesili na symbolicznych szubienicach zdjęcia europosłów Platformy Obywatelskiej. „Szubienic dla zdrajców nie braknie” – deklarowali. Policja obserwująca i nagrywająca to wydarzenie nie interweniowała – policjanci zeznali później, że ich zdaniem był to zwyczajny happening. To już było działanie całkowicie w logice postępowania nowej władzy i kontrolowanych przez nią instytucji. Zwłaszcza prokuratury, której polityczne uwikłanie zaczęło oddziaływać na policję, jako że obie żyją w naturalnej symbiozie.

Prokuratura uznała, że wieszając portrety posłów PO narodowcy zainscenizowali scenę z XVIII-wiecznego obrazu Norblina i chcieli „wywołać dyskusję” nad zachowaniem europosłów PO, którzy w Parlamencie Europejskim poparli rezolucję krytyczną wobec działań PiS. Od tej pory policja przyryka oko na nie-

mał każdy „happening” wysokich, młodych, łysych, muskularnych i wrzeszczących o miłości do ojczyzny. A podczas Marszu Niepodległości skupia się na ułatwieniu przemarszu brunatnych, nie zaś na ochronie ich przeciwników.

Frasyniuk w kajdankach

Przez cały ten czas – do kwietnia 2018 r. – policja w zmasowanej sile pilnowała miesięcznik smoleńskich, barykadując warszawską Starówkę i Trakt Królewski. Prezesowi Kaczyńskiemu nie podobają się kontrmiesięcznice organizowane przez Obywateli RP w 2016 r., choć rachityczne, kilkudziesięcioosobowe. Uznał, że należy zmienić ustawę o zgromadzeniach tak, aby się protestujących pozbyć.

Nowe prawo faworyzujące obchody smoleńskie przyniosło efekt odwrotny – obchody przestały być wewnętrznym rytuałem Kaczyńskiego i jego zwolenników. Kontrmanifestacje zmieniły się w tysięczne pochody z udziałem czołowych polityków opozycji. Jednym z nich był Władysław Frasyniuk. 14 lutego 2018 r. tuż po godzinie 6.00 do jego mieszkania we Wrocławiu zapukało czterech policjantów. Skuli mu ręce z tyłu, jak groźnemu przestępcy, a jeden z policjantów, zamaskowany, nagrywał zatrzymanie. Frasyniuka przewieziono do prokuratury w Oleśnicy, gdzie usłyszał zarzut naruszenia nietykalności dwóch policjantów podczas miesięcznicy 10 czerwca 2017 r.

Frasyniuk nie podważał decyzji o doprowadzeniu do prokuratury. Kontrowersje budziło co innego: czy miało uzasadnienie skuwanie go przez policję? I to w sposób, jakiego – wedle jego słów – nie doświadczył nawet za komuny? Komenda Główna Policji przekonywała, że użycie kajdanek wynika z obowiązujących przepisów. Sąd miał inne zdanie – uznał, że było ono bezprawne.

Dom prezesa pod ochroną

Co najmniej od maja 2020 r. – dokumenty na to ujawnił portal tvn24.pl – willi Jarosława Kaczyńskiego pilnowało czterech mundurowych i dwóch „tajniaków”. Funkcjonariusze zmieniali się co osiem godzin, więc w ciągu doby zaangażowanych ich było nawet osiemnastu. A policja kłamała, że willi nie pilnuje.

Permanentna wachta wyjaśnia, czemu zawsze, gdy pojawiały się tam pikiety, policja wyrastała jak spod ziemi. Tak było,

gdy prześmiewcza Lotna Brygada Opozycji postanowiła sprawdzić przed zaplanowanymi na maj wyborami korespondencyjnymi, czy prezes ma skrzynkę pocztową, by móc odebrać pakiet do głosowania. Nie miał, co Lotni zgłosili policji. Gdy wrócili kilkanaście dni później, skrzynka już była, ale nie pozwolono im wrzucić do niej listu z pytaniami („Jarek, czy był zamach?” i „Gdzie jest wrak?”). Dowcip może niezbyt wyszukany, ale reakcja policjantów zdumiewa. – Pilnuję skrzynki. To jest moje hobby takie, powiedzmy – stwierdził młody funkcjonariusz. Ochrona domu Kaczyńskiego nie ma żadnego istotnego uzasadnienia i stanowi dowód, że policjanci przyjęli rolę lokajów władzy.

Na podobnej zasadzie policja pilnowała warszawskich pomników smoleńskich. Wedle niej po odświeżeniu pomników teren był monitorowany przez całą dobę z powodu „wzmózonego ruchu turystycznego”.

Wojna z LGBT

Trwający po dziś dzień serial „policja kontra LGBT” zaczął się wiosną 2019 r. podczas kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Świeżo upieczony prezydent stolicy Rafał Trzaskowski podpisał deklarację dotyczącą współpracy z organizacjami LGBT+. Dla Kaczyńskiego była to idealna amunicja – politycy PiS zaczęli straszyć gejami w szkołach, deprawującymi młodzież. Przy rekordowej frekwencji wygrali prawie siedmioma punktami.

Ale podgrzewanie tej wojny doprowadziło do kontrreakcji. W kilku miastach latem odbyły się Parady Równości lub inne happeningi środowisk mniejszości – niekiedy po raz pierwszy. Najgorzej było w Białymstoku. Policja nie chroniła ciągnących na marsz aktywistów LGBT+, których zaatakowali kibole i nacjonaliści. Doszło do dantejskich scen: ciosy, kopnięcia, opluwanie, wulgarne wyzwiska. Poleciały kamienie, butelki, kostka brukowa. Jeden z narodowców, 34-latek, kopniakiem zламаł obojczyk nastoletniemu uczestnikowi parady. „Za oknami cały czas przebiegają bandyci, K. kręci kamerą, M. dzwoni na policję, czemu na całej Suraskiej, ulicy dochodzącej do placu, nie ma ani jednego policjanta (bo nie ma) i czy ktoś może tu wreszcie przyjść” – relacjonował pisarz Jacek Dehnel.

Tęcza od tamtego momentu znalazła się pod szczególnym nadzorem.



ADAM STĘPIEN / AGENCJA GAZETA

■ 16/17 GRUDNIA 2016, SEJM

Po raz pierwszy policja i aktywiści antyrządowi wchodzą w ostre starcie. Doszło do regularnych starć z policją, która chroniła polityków PiS, próbujących wymknąć się z gmachu parlamentu i która otoczyła go, żeby nie dopuścić demonstrantów (na zdjęciu).

■ 11 LISTOPADA 2017, MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

Grupa kobiet próbowała zablokować pochód. Zostały oplute, zwyzywane i skopane. Narodowcy usunęli je z trasy siłą, nie niepokojeni przez policję. Potem policja wręczyła kobietom mandaty i postawiła je przed sądem.

■ 25 LISTOPADA 2017, KATOWICE

Narodowcy zorganizowali pikietę, wieszając na symbolicznych szubienicach zdjęcia europosłów PO, którzy głosowali za rezolucją krytykującą rząd PiS. Zdaniem policji był to zwyczajny happening.

■ 14 LUTEGO 2018, WROCŁAW

Tuż po godzinie 6.00 Władysława Frasyniuka zatrzymało czterech policjantów. Założyli mu na ręce kajdanki i skuli z tyłu – jak w przypadku groźnego przestępcy. W prokuraturze usłyszał zarzut naruszenia nietykalności policjantów podczas miesięcznicy smoleńskiej. Sąd uznał, że takie zatrzymanie było bezprawne.

■ 20 LIPCA 2019, BIAŁYSTOK

Podczas pierwszego białostockiego Marszu Równości policja nie chroniła idących na marsz aktywistów LGBT+, których zaatakowali kibole i nacjonaliści. Były wyzwiska, opluwanie i bicie.

■ 7 SIERPNI 2020, WARSZAWA

Policjanci mieli zatrzymać aktywistkę Margot, a skończyło się aresztem dla niemal 50 osób. Policja twierdzi, że została zmuszona do ostrej interwencji, bo protestujący aktywiści LGBT utrudniali jej akcję i zaatakowali jeden z radiowozów.

Po ubiegłorocznej Wielkanocy znana z udziału w wielu manifestacjach antyrządowych Elżbieta Podleśna wywiesiła w okolicy plockiego kościoła św. Dominika Matkę Boską Częstochowską w tęczowej aureoli. Kilka dni później rano do mieszkania Podleśnej weszła policja, dokonała przeszukania, zabezpieczyła komputer i telefon, po czym zawiozła ich właścicielkę na pięciogodzinne przesłuchanie. Usłyszała zarzut „znieważenia przedmiotu czci religijnej”, a szef MSWiA Joachim Brudziński puszył się, jakby chodziło o ujęcie poważnego przestępcy. Sąd uznał, że wystarczyło wezwać Podleśną na przesłuchanie, i przyznał jej zadośćuczynienie w wysokości 8 tys. zł.

Potem już poszło – do dziś policja hurtowo ściga tych, którzy po ataku PiS na środowiska LGBT+ w kampanii prezydenckiej dekorowali tęczowymi flagami religijne figury i świeckie pomniki. Oględzin monumentu Bolesława Prusa w stolicy dokonywało siedmiu mundurowych oraz dwóch kryminalnych, dokumentując tęczę na lewej nodze autora „Faraona”.

Trwały sojuszy

Władza, która z powodów politycznych rozpala wojnę z mniejszościami seksualnymi, bierze odpowiedzialność za jej skutki, takie jak pobicia gejów. Policja, która daje się władzy wciągać w ideologiczne i polityczne wojny – także.

Ten sojusz może być bardzo trwały, bo decyduje o nim zbieg kilku elementów. Przede wszystkim PiS pokazał, że jest władzą totalną, która potrafi wywracać instytucje, nie licząc się z losem pracujących w nich ludzi. To budzi obawy, nawet w formacjach mundurowych. W policji kijem była tzw. dezubekizacja – fałszywy termin na wypchanie ze służby policjantów, którzy zaczęli służyć pod koniec PRL. W dodatku tym, którzy nawet przelotnie pracowali w komunistycznej bezpiece (teoretycznie wystarczył jeden dzień), drastycznie obniżono emerytury.

Rzeczywistą dezubekizację przeprowadziła za swych rządów Platforma, tnąc emerytury esbekom wieloletnim. PiS sięgnął po to stygmatyzujące określenie, żeby się pozbyć bardziej doświadczonych, często zasłużonych w walce z przestępcami policjantów i pokazać pozostałym, że z tą władzą żartów nie ma.

Oprócz kija jest także marchewka – PiS regularnie dosypuje funkcjonariuszom pieniędzy. Tak nie dopieszczała ich żadna

→ inna władza. W tym samym czasie inni – rodzice dzieci niepełnosprawnych, nauczyciele, lekarze rezydenci, pracownicy sądów – całują kłamekę albo dostają ochłapy.

Jeszcze dwa lata temu podczas drugiej fali protestów przeciwko zmianom w sądach szef związku zawodowego policjantów apelował: „Negatywnie oceniam wykorzystywanie Policji dla uzyskania do różnego interesu politycznego przez różne środowiska polityczne. (...) włączanie Policji w polityczną retorykę jest niedopuszczalne, spowoduje to utratę zaufania Polaków do naszej formacji, zaufania, które budowane jest codzienną trudną służbą”. Pod koniec 2018 r. doszło do wielkiego strajku policji, tzw. psiej grypy. Funkcjonariusze domagając się podwyżek zaczęli masowo brać zwolnienia lub stosowali pouczenia zamiast mandatów, co uderzyło w budżet państwa. Teraz protestów nie ma, a policyjne związki milczą. I nie ma się co dziwić – poszły przelewy.

To nie wszystko. Rząd PO ograniczał przywileje socjalne policjantów – wydłużył nowo przyjmowanym do służby warunki niezbędne do uzyskania wcześniejszej emerytury (łącznie – ukończenie 55. roku życia i 25 lat służby) i skończył z pełnopłatnymi zwolnieniami chorobowymi. A Kaczyński niczego policjantom nie zabiera. Przeciwnie – mundurowi otrzymali prawo do emerytury po 25 latach służby bez konieczności ukończenia 55 lat, a także stuprocentową rekompensatę za nadgodziny. W lipcu Sejm przyjął ustawę zapewniającą funkcjonariuszom kolejne przywileje, m.in. dodatek dla funkcjonariuszy ze stażem powyżej 25 lat, wyższenie, ekwiwalent za niewykorzystany urlop wypoczynkowy oraz zwrot kosztów poniesionych na ochronę prawną.

Ważne jest coś jeszcze: lojalność w razie kłopotów. W każdej formacji siłowej zdarzają się nadużycia. Ale PiS daje gwarancję, że nikomu włos z głowy nie spadnie. Po śmierci Igora Stachowiaka nie było żadnych konsekwencji wobec policjantów, którzy go zakatowali. Wymusił je dopiero reportaż telewizji TVN, ale przed sądem stanęli tylko bezpośredni sprawcy. Komendanci policji z Wrocławia odeszli spokojnie na emerytury, biorąc wysokie odprawy.

Gdy sąd uznał zatrzymanie Frasyniuka za niezgodne z prawem, Zbigniew Ziobro oświadczył: „Sąd stwierdził, że policjanta można pobić, opluć i zelżyć”. Po sprawie

Za rządów PO policji także zdarzały się ekscesy, ale nie mogła liczyć na parasol ochronny.

Margot wiceszef MSWiA Maciej Wąsik, następca Zielińskiego, przekonywał w Senacie, że agresorami byli tęczowi.

Są jeszcze inne elementy cementujące ten sojusz. W policji wielu jest zwolenników prostych metod rozwiązywania sytuacji kryzysowych. Tak zresztą jest na całym świecie, dlatego służby mundurowe i wojsko poddane są kontroli cywilnej. Wystarczy, że cywilna kontrola da zielone światło – a PiS je dało.

Przed rokiem policjant ochraniający demonstrację narodowców w Warszawie i spisujący antyfaszystów blokujących marsz miał wpięty w mundur mieczyk Chrobrego. Pięć lat wcześniej w Łodzi legitymowano narodowców, którzy mieli ten sam symbol na sztandarach. Wówczas policja twierdziła, że prezentowanie mieczyka może być przestępstwem z art. 256 kk, czyli propagowaniem totalitaryzmu. Teraz policjant został jedynie „ostrzeżony” – uznano, że mieczyk wpięty w mundur to „naruszenie regulaminu musztry”.

Policja stała z boku

Za czasów Platformy policji także zdarzały się ekscesy, ale nie mogła liczyć na parasol ochronny. Policjant, który pobił uczestnika Marszu Niepodległości w 2011 r., został wydalony z policji, oskarżony przez niezależną wówczas od rządu prokuraturę i skazany przez sąd. Nie było też tak, że na celowniku znajdowały się konkretne środowiska polityczne czy światopoglądowe – rozpędzano demonstracje górników, ale też kupców ze stolicy. Gdy w 2012 r. Solidarność protestowała przeciwko podniesieniu wieku emerytalnego, policja nie spacyfikowała związkowców, choć nie wypuszczali posłów obozu władzy z Sejmu i palili ich portrety.

Policja zresztą zachowała swoisty dyktans wobec kontrowersyjnych decyzji prokuratury. Gdy latem 2014 r. prokuratorzy kazali policji i ABW wejść do sie-

dziby tygodnika „Wprost” w poszukiwaniu taśm z restauracji Sowa i Przyjaciele, podczas przepychanek z dziennikarzami policja stała z boku. Teraz, gdy na moment odstąpi od politycznej linii, z miejsca przywoływana jest do porządku.

Podczas Marszu Równości w 2016 r. w Gdańsku doszło do starć między policją a działaczami środowisk narodowców, na funkcjonariuszy poleciały kamienie i butelki, zatrzymano córkę radnej PiS. „Ja takiego zachowania nie akceptuję (...), bo to wskazuje, że policja jest silna wobec słabych, a policja powinna być silna wobec silnych – stwierdził ówczesny szef MSWiA Mariusz Błaszczak. – Powalenie na ziemię tej pani, skrepowanie, przyciskanie do ziemi, to jest nieakceptowalne wobec kobiety”. Dziś policja już nie ma problemów ze stosowaniem przemocy ani wobec kobiet, ani wobec tych, którzy kobietami się czują.

Gdy za rządów Platformy ABW wkroczyła do blogera obrażającego prezydenta Komorowskiego, PiS trząsł się z oburzenia. Teraz policja ma pełne polityczne poparcie, by skuwać w kajdanki, rozbiierać do naga i przetrzymywać dziesiątki godzin antyrządową aktywistkę, która w gablotach reklamowych na warszawskich przystankach umieszczała plakaty atakujące ministra zdrowia. Gdy pod stołeczną komendę przychodzi w geście solidarności inni aktywiści, policja ich rozgania, twierdząc, że naruszają przepisy antyepidemiczne. Z podobnych powodów w maju spacyfikowano przedsiębiorców domagających się od rządu pomocy. Kilka tygodni później przeszedł przez Warszawę nielegalny marsz narodowców w setną rocznicę cudu nad Wisłą – tu policji epidemia nie przeszkadzała.

Zacieśniający się sojusz tronu z pałąk jest korzystny dla jednej strony – dla PiS. Policja może tylko stracić. Sypanie konfetti do stóp władzy, któremu towarzyszy brutalność wobec przeciwników rządu, to droga do utraty zaufania, które przez trzy dekady udało się nowej policji zdobyć.

Jeśli anielskie skrzydła i pałka to dwie twarze dzisiejszej policji, znaczy to, że w niebieskiej formacji brutalność miesza się z groteską. A to mieszanina wybuchowa.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP”



GRZEGORZ MICHAŁOWSKI / PAP

Przedszkole z oddziałami integracyjnymi, Łódź, styczeń 2019 r.

Ciało się zemści

MAŁGORZATA NOCUŃ

Przedszkola specjalne mają zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, przepisy nie wspominają o opiece medycznej. To sprawia, że tysiące dzieci z niepełnosprawnościami zostają w domu.

WERONIKA LASEK, MATKA WIKTORII – dziewczynki z niepełnosprawnością sprzężoną – napisała na Facebooku: „Jeśli któregoś dnia usłyszycie w telewizji, że jakaś szalona matka wpadła z miotaczem ognia do Ministerstwa Edukacji, to duże prawdopodobieństwo, że to mogę być ja”. Przez ostatnie lata Weronika zderzała się z bezduszością i absurdem polskiego systemu opieki zdrowotnej. Po sześciu latach takich zmagani doszły kolejne, z systemem edukacji.

Znajdź różnicę

Brak opieki medycznej w przedszkolach specjalnych i integracyjnych wyklucza tysiące dzieci. Np.: dziecko cierpi na padaczkę, jest motorycznie i intelektualnie sprawne, niczym nie odstaje od rówieśników, ale jeśli wystąpi atak, musi

jak najszybciej otrzymywać leki (doodbytnicze wlewki). Atak może przyjść w każdej chwili i wcale nie wygląda tak teatralnie, jak zwykliśmy sądzić, czasem to np. drobny grymas twarzy. W przedszkolu nie ma jednak opieki medycznej, a przecież nikt z nauczycieli wlewki nie zrobi. Więcej: nauczyciele nie mogą podawać dzieciom żadnych leków, nawet zwykłego środka przeciwbólowego – i dotyczy to nie tylko placówek specjalnych, ale także „zwykłych” przedszkoli i szkół. Pedagogdy, na prośbę rodziców, czasem łamią prawo. Ryzykują zwolnienie z pracy, ale wierzą, że postępują słusznie. Sytuacja jest przecież wyjątkowa: jeśli nie pomogą, dziecko nie będzie mogło uczęszczać do przedszkola. Pozostanie nauczanie indywidualne, czyli siedzenie w domu i brak kontaktu z rówieśnikami.

Na post Weroniki odpowiedziało wielu rozgoryczonych rodziców. Opisywali dzieci, które chcą iść do przedszkola, ale siedzą w domu. Np. chłopiec z rozszczepem kręgosłupa. Chodzi, jest w normie intelektualnej, musi być jednak cewnikowany. Kolejny chłopiec, również jest w normie intelektualnej, porusza się na wózku i posługuje komunikacją alternatywną (na specjalnej tablicy pokazuje słowa, w ten sposób buduje zdania). Nie przyjęto go do przedszkola integracyjnego, bo nikt z kadry nie potrafił się z nim porozumieć.

Monika jest matką niewidomego chłopca z zaburzeniami neurologicznymi i czterokończynowym mózgowym porażeniem dziecięcym. Specjalna szkoła zapewnia mu: edukację, rehabilitację, terapię logopedyczną. W placówce brakuje opieki medycznej i tyflop pedagoga (specjalisty pracującego z osobami niewidomymi). Kiedy syn Moniki gorzej się poczuje, Monika odbiera telefon: „Proszę przyjechać po dziecko”. Materiały edukacyjne, które otrzymuje chłopiec, nie zawsze są dla niego przystosowane, choćby „rysowanie po śladzie, porównywanie obrazków w celu znalezienia różnic”. W pięciostopniowej skali Monika ocenia szkołę na trzy stopnie. Jest rozgoryczona i zła, zastanawia się, czy nie lepiej zająć się kształceniem syna w domu.

Pisz pod przedszkole, nie pod dziecko

Dziecko z niepełnosprawnością jest przyjmowane do wybranej placówki na podstawie orzeczenia o kształceniu specjalnym. Jeśli w orzeczeniu napisano, że dziecko ma pozostawać pod opieką: logopedy, rehabilitanta, tyflop pedagoga, to obowiązkiem przedszkola, a później szkoły jest zapewnienie zajęć z tymi specjalistami.

Weronika dużo już przeżyła. Jej córka, Wiktoria, cierpi na czterokończynowe mózgowie porażenie dziecięce, jest wózona na wózku. Dziewczynka każdą sprawność zdobyła dzięki godzinom ćwiczeń: rehabilitacja ruchowa, nauka mówienia, zajęcia z logopedą. Niedawno przeszła operację bioder. Weronice radzono: „Niech wpiszą w orzeczenie wszystko, co najgorsze: że nie widzi, nie słyszy, nie rozumie nic, wtedy dostaniesz, co trzeba”. Albo: „Najpierw dowiedz się od dyrektora placówki, co mają ci wpisać w orzeczenie. Pisz się je pod przedszkole, nie pod dziecko”.



→ Kiedy Wiktoria osiągnęła wiek przed-szkolny, Weronika odwiedziła kilka placówek specjalnych i integracyjnych.

– Nie szukałam przechowalni dla dziecka, ale placówki, która będzie wspomagać jej rozwój i w której córka będzie miała kontakt z rówieśnikami – mówi. W wielu placówkach kadra nie potrafi prawidłowo założyć ortez, które dla dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym są podstawowym zabezpieczeniem ortopedycznym. Weronika słyszała: „Trzeba by program do niej dostosować, to my nie damy rady”. Albo: „Na wózku to nie, u nas integracja tylko z chodzącymi”; „Raczej edukacja domowa, bo u nas to nie ma jak z takimi dziećmi”.

Wiktoria intelektualnie rozwija się nieźle (mówi coraz więcej, jest ciekawa świata), lubi dzieci, chce być w ich towarzystwie. Weronika: – Odwiedziłam przedszkole, do którego uczęszczały dzieci w o wiele cięższym stanie, bez kontaktu z otoczeniem. Przecież nikt nie stworzy grupy specjalnie pod Wiktoria. I ja to rozumiem. Nauczycielka rozłożyła ręce: „Nic nie poradzę, takie dzieci mamy w tym roczniku”. W kolejnym utworzono trzy grupy: dzieci z zespołem Downa, Aspergera i z „innymi” chorobami. Jedna łazienka, podopieczni średnio trzy kwadransy czekali na umycie dłoni. Wiktoria – poruszająca się na wózku – byłaby ostatnia, bo wszystkie dzieci myły ręce o jednej porze.

O znalezieniu dobrego przedszkola decyduje głównie „czynnik ludzki”: dyrektor placówki, kadra, rodzice zdrowych dzieci w grupie integracyjnej. Matki mówią, że muszą swoje „wychodzić, wyblagać, wypłakać”. W żaden sposób nie pomagają rodzicom regulacje prawne.

Rykoszetem w rodziców

Dzieci z niepełnosprawnościami są intensywnie rehabilitowane. Rehabilitacja nie kończy się na sali ćwiczeń, terapeutami w domu są matki i ojcowie. Dla dziecka z mózgowym porażeniem ważne jest ułożenie ciała: siedzenie, prawidłowe podparcie nóg, pozycja, w której znajduje się głowa. W nocy rodzice muszą wstawać, by przewrócić dziecko z boku na bok. Krzeselko, wózek – wszystkie sprzęty muszą być dostosowane do potrzeb dziecka. Jeśli nie przestrzega się tych zasad, ciało się zemści: przykurczami, trudnościami z oddechem, skoliozą, zwichniętymi biodrami. W przed-

szkolu dziecko musi mieć zapewnioną odpowiednią opiekę medyczną, spędza w nim bowiem nawet sześć godzin. Nie może siedzieć krzywo, bo cały trud rehabilitacji pójdzie na marne.

Niepełnosprawność ma różne oblicza, czasem trudno ją zauważyć: dziecko z mózgowym porażeniem dziecięcym może mieć jedynie „gorszy” chód, albo może nie kontrolować głowy i nie poruszać się wcale. Orzeczenia wystawiane „pod placówki” niewiele mówią, każdy przypadek jest inny. To smutna część fikcyjnego systemu opieki nad dziećmi z niepełnosprawnością, który w Polsce stworzono. System frustruje wszystkich: dzieci, rodziców, pedagogów, ale jego zmiana zależy jedynie od woli politycznej.

Dzieci z niepełnosprawnością chcą być w towarzystwie rówieśników, tak jak ich zdrowi koledzy i koleżanki. Odbieranie tej szansy przedszkolakom, np. z tracheostomią (wymaga odsysania wydzieliny co pewien czas), PEG-iem, czyli specjalną rurką prowadzącą do brzucha, przez którą karmione jest dziecko, czy padaczką, jest sprzeczne z ideą równego dostępu do edukacji. W Polsce są dzieci lepszego sortu i gorszego. Te pierwsze są zdrowe, drugie chore. Problem podniosła Rada Rodziców działająca przy Przedszkolu Specjalnym nr 213 w Warszawie. Zbierają podpisy pod petycją do Ministerstwa Zdrowia, która wraz z rozpoczęciem nowego roku szkolnego trafi do resortu.

Chcą takiej zmiany zapisów ustawy o opiece medycznej nad uczniami, aby grupę docelową rozszerzyć o osoby uczęszczające do przedszkoli specjalnych.

Zamknięcie dzieci z niepełnosprawnościami w domach to odbieranie im dzieciństwa. Rykoszetem dostają rodzice: jeśli dziecko nie pójdzie do przedszkola, matka lub ojciec nie pójdą do pracy. Kolejne kilka lat przesiedzą w domu, na zasiłku w wysokości 1830 zł, bez prawa podejmowania dodatkowej pracy. Skazani na zamartwianie się i ciągłą walkę z systemem. Jak załatwić pieniądze na rehabilitację? Jak kupić sprzęt ortopedyczny? Potrafi kosztować tyle co dobry samochód. Rodzice wciąż muszą zadawać sobie pytania: „jak?” i „za co?”. Liczą, że tym razem Ministerstwo Edukacji przychyli się do ich prośby i zastanowi się, jak zorganizować opiekę medyczną w przedszkolach specjalnych.

© MAŁGORZATA NOCUN

Czyści, że aż strach

JOHN DANAHER, FILOZOF:

Uzasadnione w epidemii zasady higieniczne mogą wzmocnić odruch odrazy w relacjach społecznych. Nie tylko wobec tych, którzy nie noszą maseczek.

RAFAŁ WOŚ: Był sam środek pandemii, gdy trafiłem na Pański tekst pod tytułem „Czy COVID-19 wywoła moralną rewolucję?”. Pomyślałem: pożyjemy, zobaczymy, za kilka miesięcy sprawdzimy, czy coś się faktycznie zmieniło. Pytam więc teraz. Ta moralna rewolucja to były tylko mrzonki?

JOHN DANAHER: Odpowiedź musimy oczywiście zacząć od tego, czym jest ta moralna rewolucja. A najważniejsze założenie: mówiąc o niej, nie wartościujemy. To pułapka, patrzeć na wszystko w kategoriach „postęp kontra regres”. To, co dla jednych będzie postępek, dla innych może być przecież regresem. I odwrotnie.

Jasne. Ale co z tą rewolucją?

Moralna rewolucja to zmiana głębszych przekonań panujących w społeczeństwie. Czyli tego, co ludzie uważają za ważne, dobre i słuszne. Takie zmiany na poziomie moralnym nie są tylko czystą teorią. Zazwyczaj mają bezpośrednie przełożenie na praktykę i ludzkie zachowania. Aby taka zmiana nastąpiła, musi być jednak spełniony pewien warunek.

Jaki?

Ktoś musi zacząć o tej zmianie mówić. Potrzebni są tzw. moralni wizjonerzy. Ludzie, którzy umieją nazwać za staną rzeczywistość w innych kategoriach. Takim przykładem z przeszłości może być radykalna feministka Catharine MacKinnon. Ona pierwsza umiała



STEFAN MASZEWSKI / REPORTER / EAST NEWS

Warszawa, 2020 r.

nazwać napastowaniem seksualnym coś, co wcześniej uchodziło za ledwie za mniej lub bardziej ostry flirt.

Sam wizjoner jednak nie wystarczy.

Zazwyczaj nie. By doszło do moralnej zmiany, musi być jeszcze komponent szoku. Może być różnej natury. Ekonomiczny, ekologiczny. Albo taki jak teraz: pandemiczno-zdrowotny.

No właśnie. I coś takiego się zdarzyło?

Bez wątpienia. Widać to na wielu przykładach. Zaczniemy od zjawiska, które nazwałbym hiperutilitaryzmem.

Co to takiego?

To np. wybory, przed którymi stawiali lekarze i administratorzy zdrowia publicznego we Włoszech albo w Nowym Jorku (na szczęście nie u was, w Polsce), gdy musieli decydować, kogo i w jakiej kolejności będą ratować. Stara zasada sprzed pandemii głosiła, że każde życie jest równie wartościowe i warte ratowania. W najtrudniejszych momentach pandemii wielu praktyków z tej zasady rezygnowało. Przyznawali priorytet młodym i mającym większe szanse na przeżycie. Gdy jednak lekarze zaczęli mówić o tym otwarciu, pojawiało się oburzenie. Właśnie dlatego, że ta nowa zasada kłóciła się z ogólną normą.

Pod wieloma względami decyzja o tym, czy zamykać, czy nie zamykać

życie społeczne i ekonomiczne, była próbą odpowiedzi na ten sam problem. Tyle że na poziomie całych społeczeństw. Większość krajów wybrała zamknięcie, czyli ochronę słabszych i nielicznych kosztem interesu silniejszych i liczniejszych.

Dokładnie tak. Zwróćmy jednak uwagę, że po pierwszym etapie heroicznym, w miarę upływu czasu takie decyzje stawały się coraz bardziej niepopularne. W końcu głosy, by otworzyć, zwyciężyły. W praktyce hiperutilitaryzm wygrał. Oczywiście tak tego nie przedstawiano. Mówiło się o tym, że „lekarstwo nie może być gorsze od choroby”. Albo że musimy postępować „racjonalnie”.

Wygląda też, że gdy nadejdzie druga fala pandemii, powtórki z lockdownu raczej nie będzie.

Właśnie. To by potwierdzało, że moralna rewolucja na tym polu zaszła. Nawet jeśli nie bardzo chcemy się do tego przyznać.

Wróćmy jeszcze do sekwencji otwierania i zamykania gospodarek. W każdym kraju władze musiały podejmować decyzje, które aktywności są ważne, a które mniej istotne. Mieliście w Polsce na ten temat spory?

Jasne. I to jeszcze jakie. „Dlaczego sklepy wielkopowierzchniowe już mogą działać, a fryzjerzy jeszcze nie”? „Czemu ta branża

dostała taką pomoc, a tamta dużo mniejszą”?

To znowu refleks zmiany moralnej. Sytuacja pandemii pokazała, że w kryzysie norma pryncypialnej równości po prostu nie działa. Nasza indywidualna przydatność dla społeczeństwa jest oceniana, czy nam się to podoba, czy nie. Można nawet powiedzieć, że w zasadzie w ostatnich miesiącach przyjęliśmy wersję czegoś na kształt działającego w Chinach „systemu zaufania społecznego”. I to wersję dość radykalną.

Nie przesadza Pan? Mówi Pan o programie, który na Zachodzie określa się jako „orwellowski”.

Chiński program polega na tym, że państwo ocenia obywateli, przyznając im punkty za różne rzeczy: czy sortują śmieci, czy płacą na czas podatki, czy mają mandaty, czy nadużywają gier komputerowych. I na tej podstawie daje im potem dostęp do różnego typu wspólnych zasobów: kredytów, przywilejów etc. My w pandemii też tak działaliśmy. Uznano, że przedstawiciel jednego zawodu jest bardziej potrzebny społeczności i powinien wrócić do pracy wcześniej. Inny zaś powinien poczekać. Warto zauważyć, że chińskie przepisy – w porównaniu z naszymi – są dość przejrzyste. Za to nasz nieformalny pandemiczny system przydatności społecznej powstawał *ad hoc*, według niezbyt przejrzystego stosowanego kryterium użyteczności.



→ **Co z pracą po pandemii? Czytałem Pana ostatnią książkę i wiem, że jest Pan zwolennikiem automatyzacji oraz wieszczem związanego z nią końca pracy. Przy czym uważa Pan, że to nie jest wcale żadne zagrożenie, tylko przeciwnie: szansa, by wyzwolić człowieka z kieratu robienia rzeczy nudnych, powtarzalnych. Po to, by mógł zajmować się tym, co naprawdę godne człowieka: rozwijać się, być z innymi, tworzyć, kochać.**

Tak jest. I co więcej: uważam, że po okresie epidemicznego zamrożenia mój sposób myślenia może spotkać się z większym zrozumieniem niż wcześniej. Wielu ludzi odkryło w pandemii, że da się pracować mniej. I to bez specjalnej szkody dla końcowego efektu. Nie mówili o tym głośno, wiedząc, że to tylko czasowa zmiana, albo nie chcąc odkryć się przed pracodawcami i ryzykować zawalenie robotą.

Moim zdaniem słyszeć było raczej narzekania: „Ja już nie mogę wysiedzieć w domu. Chcę do biura”.

Oczywiście. Ale to później. Bo pandemia przypomniła też, że ludziom brakuje nadal bycia razem, wychodzenia, spotykania się. Ale ja tych głosów nie interpretuję jako pragnienia powrotu do przedkryzysowego tempa i intensywności pracy. Dlatego usilnie namawiam – na tyle, na ile może namawiać filozof – by

doświadczenie pracy zdalnej potraktować jako ćwiczenie.

Ćwiczenie czego?

Żeby się zmusić, by pracować mniej. By uciekać z pułapki nadmiernego moralizowania pracy.

Co to znaczy „moralizować pracę”?

To znaczy nadawać jej większe znaczenie, niż ma ona w rzeczywistości.

Łatwo powiedzieć. Trudno jednak nie moralizować pracy, jeśli dla tak wielu ludzi jest ona głównym źródłem utrzymania i wyznacznikiem społecznego statusu. To od rodzaju wykonywanej pracy zależy, jaki tryb życia może wieść jednostka.

Oczywiście. I właśnie z tych powodów praca jest pułapką. W świecie, w którym praca jest tak ważna, to ona zaczyna określać, kim jesteśmy. Pochwała w pracy cieszy nas bardziej niż uśmiech bliskiej osoby. Coraz więcej pracodawców oczekuje permanentnej gotowości do pracowania. Nawet ci, których społeczny status czy zarobki wydają się z pozoru bardzo satysfakcjonujące, wypychani są w tzw. pułapkę zatrudnialności.

Co to takiego?

To mechanizm, który zmusza ludzi do ciągłego udowadniania sobie i światu, że w każdej chwili jesteśmy gotowi znaleźć zatrudnienie na konkurencyjnym wol-

nym rynku. Informacje o przebiegniętych maratonach czy odbytych wolontariatach jeszcze jakiś czas temu wydawały się marginalnym punktem w CV. Teraz stają się kluczowe. Mają sygnalizować światu naszą gotowość do poświęceń i wytrwałości. Praca staje się kluczowym projektem. Na dodatek wiele zajęć nie daje wykonującym je ludziom niczego: ani niezależności ekonomicznej, ani satysfakcji.

Antropolog David Graeber wydał na ten temat książkę „Bullshit Jobs”. Po polsku wydawca przetłumaczył to jako „Praca bez sensu”, ale „bullshit” brzmi lepiej.

Tylko że jest jeszcze gorzej. Bo niestety wiele z tych prac – choć nie daje nam nic: ani prestiżu, ani pieniędzy – to jeszcze zabiera nam nasz najważniejszy zasób. Czyli czas. Praca we współczesnym świecie ma tendencję do rozlewania się. Niewielu potrafi zostawić ją za sobą w biurze. Zbyt wielu bierze do domu. Postęp technologiczny jeszcze to oczywiście ułatwia.

I to jest właśnie moja obawa związana z życiem po covidzie. Boję się, że po pandemii pracodawcy zabiorą nam ostatni azyl w biurach, a praca już ostatecznie rozleje się i podtopi życie domowe.

To faktycznie może być jeden z przejawów nowej normalności w świecie po pandemii. Wspominałem już, że mówiąc

REKLAMA

**Inne Brzmienia to nie tylko muzyka.
Zapraszamy na spotkania literackie:**

Artem Czech „Dzielnica D”

Siergiej Prylucki „Patriotyzm dla opornych”

Ołeh Sencow „Marketer”

Mark Liwin „Riki i drogi”

„Wszystkie ptaki, co we mnie...”

– antologia współczesnej poezji łotewskiej

Wschód Kultury

Inne Brzmienia

3–6 września 2020

Lublin, Błonia

innebrzmienia.eu

o moralnej rewolucji nie mam na myśli wyłącznie rozwiązań, które będą „lepsze”. Może będzie jeszcze więcej powodów, by znienawidzić pracę?

A co z umową społeczną? Kilka miesięcy temu wydawało się, że zmiany będą musiały być bardzo głębokie. Że już wkrótce będziemy mieli dochód podstawowy. Albo wyższe podatki dla najbogatszych.

Znam te głosy, ale jestem sceptyczny. Myślę, że oczekiwanie rewolucyjnych zmian było duże. Zwłaszcza na początku, gdy wiele rządów ustanowiło wyjątkowe reguły dystrybucji dóbr i osłaniania ludziom negatywnych skutków kryzysu. Ale im bardziej realnie zaczęły wyglądać te zmiany, tym większe obudziły się obawy przed nimi. To dlatego tak wielu polityków czy grup interesu przestraszyło się. I dlatego wzmożła się presja na „powrót do normalności”. Wyjątkowe rozwiązania są stopniowo wygaszane – właśnie jako „wyjątkowe”, czyli „chwilowe”. Nie potraktowano ich jako drabiny w górę, tylko jako most, pomagający przejść dalej utartym szlakiem.

A prywatność?

Wojna o prywatność to jedna z najciekawszych bitew ostatnich dekad. Już na przełomie wieków XX i XXI mieliśmy pierwsze starcie. I pierwszą tzw. śmierć prywatności. Wiązało się to z pojawieniem się nowych tanich technologii – np. kamer przemysłowych – przy pomocy których zaczęto ograniczać jednostce prawo do anonimowości.

Na Zachodzie jedną z odpowiedzi było zjawisko tzw. *sousveillance*. Pojęcie wymyślił kanadyjski inżynier Steve Mann i przeciwstawiał je zjawisku *surveillance*, czyli inwigilacji ludzi przez instytucje. Według Manna ludzie – wyposażeni w równie tanie, dostępne i łatwe w obsłudze sprzęt – powinni się zbuntować, odwrócić rolę i zacząć inwigilować władzę. I tak też się stało.

Dziś nagrywanie działań policji przez demonstrantów albo zachowania polityków w czasie wieców przez uczestników jest czymś normalnym. Do tego doszły duże zwycięstwa ruchów obywatelskich w obronie danych osobowych. Są regulacje, są paragrafy.

Ale wtedy nadszedł COVID-19.

Szybko stało się jasne, że technologia zostanie użyta do zarządzania społeczeń-



HARVARD UNIVERSITY

JOHN DANAHER (ur. 1985) jest etykiem, wykłada w National University of Ireland (NUI) w Galway. Jego zainteresowania badawcze obejmują przyszłość pracy, etyczne konsekwencje rozwoju sztucznej inteligencji oraz cyborgizacji człowieka, a także związki prawa i neuronauki. Jego najnowsza książka to „Automation and Utopia. Human Flourishing in a World Without Work” (Automatyzacja i utopia. O rozkwicie człowieczeństwa w świecie bez pracy).

stwem w czasie pandemii. Choćby po to, żeby łatwiej oddzielać chorych od zdrowych. Albo by wytypować tych, którzy – z powodu swojego zdrowotnego profilu – są bardziej narażeni na koronawirusa. Przedstawiano je najczęściej jako „inteligentny lockdown”. Dziś wydaje się, że większość będzie w stanie to zaakceptować. I że doświadczymy czegoś w rodzaju „drugiej” albo „najnowszej śmierci prywatności”.

A jaka jest zmiana, której się Pan najmocniej obawia?

To coś, co nazwałbym powrotem obrzydzenia do relacji społecznych. Słynny etyk z Uniwersytetu Nowojorskiego Jonathan Haidt [po polsku wyszła jego książka „Prawy umysł. Dlaczego dobrych ludzi

dzieli religia i polityka” – red.] powiada, że odraza jest jednym z pięciu fundamentalnych założeń kształtujących naszą wizję świata. Strach przed odrzą jest prawdopodobnie przedrozumowym mechanizmem ewolucyjnym i pcha nas w kierunku poszukiwania czystości. To coś wspólnego ludziom, niezależnie od poglądów.

Dla konserwatystów nieczyste mogą być związki przedstawicieli różnych ras. A u ludzi światopoglądowej lewicy występuje odraza wobec jedzenia mięsa zwierząt. W historii na różnych etapach i w różnych konfiguracjach pojawia się strach przed „niezdrowymi ideami”, które mogą zainfekować zdrowe społeczeństwo.

I tego teraz jest więcej?

Istnieje takie zagrożenie. Np. pod postacią obrzydzenia wobec ludzi, którzy nie przestrzegają nowych zasad higieny. Powiedzmy – odmawiają noszenia maseczek. Albo zbyt rzadko, jak na nowe standardy, myją ręce. To może prowadzić do wrogości wobec innych klas społecznych. Albo wobec innych kultur. Społeczeństwa, w których żyjemy, są wszak zróżnicowane klasowo i niejednorodne kulturowo.

Oczywiście domaganie się ścisłego przestrzegania podwyższonych standardów higienicznych da się przedstawić jako coś obiektywnie dobrego. W końcu idzie o to, żeby wirus się nie rozprzestrzenił. Efektem ubocznym może być jednak jakiś odwrót od liberalnego uniwersalizmu. W kierunku wyższościowego stosunku do innych, „mniej cywilizowanych” narodów, albo do klasowego obrzydzenia wobec biednych i brudnych. A więc właśnie „obrzydlivych”. Pandemia daje nam moralne wytłumaczenie, by się tego obrzydzenia nie wstydzić.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

REKLAMA



www.skup.tezeusz.pl, tel. +48 539 915 890
skup i sprzedaż książek – www.tezeusz.pl

Sprzedaj i kupuj używane książki w Tezeuszu – największym antykwariacie w Polsce!
Działamy na terenie całego kraju! Dojeżdżamy bezpłatnie! Płacimy gotówką!



Wszystko
załatwiamy
za Ciebie



Szybka wycena
książek i gotówka
do ręki



Miejsce
na nowe
książki



Recykling
literatury

Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na www.skupksiazek.pl

ANNA

Dziewit-Meller:

Pani spod żyrandola



„UTRZYMUJEMY JĄ PIĄTY ROK” – PISZĄ niechętni prezydentowej Agacie Kornhauser-Dudzie, wspominając nawet o jej „pasożytniczej bezużyteczności”, wzburzeni 18 tys. złotych planowanej pensji, zaproponowanymi niedawno

w Sejmie. Niezależnie jednak od tego, że ta kwota zdaje się być z kosmosu, to może w końcu należy poważnie postawić problem darmowej pracy żon?

Zacznijmy może od tych ze świecznika. Moja teściowa Beata Mellerowa przez kilka lat była żoną ambasadora, bo wiem za jej życia mój teść Stefan Meller zajmował to stanowisko w Paryżu. Najpierw postawiono przed nią wybór: albo rzuca swoją karierę i pracę w Muzeum Miasta Warszawy i jedzie z mężem na placówkę, albo – no cóż – mąż z Polski wyjeżdża sam. Gdy była więc ambasadorką przez kilka lat, zupełnie za darmo, pracowała na rzecz ambasady i Rzeczypospolitej, nie mając nic prócz możliwości wpisania się w ubezpieczenie zdrowotne męża, bez składek na emeryturę itd. Mąż dostawał na nią dodatek do pensji w wysokości 20 proc. Dodatek na żonę, jak dodatek na służbowe auto. Dziś istnieje możliwość zatrudnienia członków rodzin na określonych stanowiskach w ambasadach, niemniej – dla wielu żon (rzadziej mężów) dyplomatów, ludzi mających swe dotychczasowe kariery i pasję, bywało to po prostu zawodową degradacją, nie wspomnę już o poczuciu całkowitej zależności od małżonka.

Z rodzinnych opowieści wiem też, ile pracy każdego dnia miała moja teściowa, jak wiele spraw było na jej głowie, jak musiała nieustannie wychodzić z inicjatywami, w sprawach o których nie miała pojęcia, bo przecież to nie ona była szkoloną dyplomatką. A wszystko za darmoszkę i pocałowanie ręki. I nie, nie przemawia do mnie argument wytaczany przez zaciekle przeciwników płacenia za pracę żon ze świecz-

nika, że ma taka jedna z drugą darmowy wikt i opierunek. Z tego co wiem, dziś za pracę płaci się pieniędzmi, przypuszczam, że nikt z protestujących nie byłby gotów chodzić do pracy za możliwość mieszkania i wyżywienia li tylko, nawet gdyby to miało być mieszkanie w Pałacu Prezydenckim. To jest po prostu przemoc ekonomiczna.

Agata Duda, wychodząc za mąż za Andrzeja, prawdopodobnie nie planowała takiego rozwoju wydarzeń, jakiego jesteśmy świadkami. Przed prezydenturą swojego męża była zaangażowaną nauczycielką w świetnym krakowskim liceum, z której to pracy dającej jej satysfakcję i niezależność musiała zrezygnować ze względu na karierę polityczną męża. Dokładnie tak, jak zmuszonych jest uczynić wiele innych kobiet. Może zatem w ogóle należałoby przy tej okazji przedyskutować kwestie darmowej pracy domowej takich żon?

Zawsze dobrze na początku takiej debaty przytoczyć dane, z którymi trudno się kłócić – raport Oxfam za 2019 rok, w którym stoi, że nieodpłatna praca kobiet i dziewcząt na całym świecie przynosi światowej gospodarce trzy razy większy przychód niż sektor technologiczny. Majątek 22 najbogatszych mężczyzn na świecie jest większy niż środki finansowe, jakimi dysponują wszystkie kobiety w Afryce. Nierówności wynikają w dużej mierze z owej darmowej pracy (opiekuńczej, i tej w gospodarstwach domowych), którą wykonują kobiety niemające już ni czasu, ni sił na pracę odpłatną. Wartość tej darmowej pracy wynosi, bagatela, 10,8 biliona dolarów rocznie. Tyle świat winien jest kobietom za to, co robią każdego dnia, czasem wierząc, że taka jest przypisana im uświęconą tradycją rola, czasem buntując się przeciw temu. Może więc – jak przytomnie zauważyła jedna z moich koleżanek, usiłujących z trudem łączyć pracę zawodową w gastronomii z wychowywaniem sześciorga dzieci – nadszedł czas, by debata o płacy za bycie żoną otworzyła drogę do debaty o pensji dla wszystkich „gospodyń domowych”, które rezygnują z pracy zawodowej na rzecz wychowywania kolejnych pokoleń jakże potrzebnych nam nowych obywateli?

Gdyby taka praca przestała być darmowa, może „siedzenie w domu z dziećmi” mogłoby przestać być źródłem pogardy dla kobiet, także w oczach ich samych, niemających być może inaczej szans zrozumieć tego, jak ogromnie ważny jest ich wkład w przyszłość Polski. Pani Prezydentowo, może choć w tej jednej sprawie jesteśmy w stanie się dogadać? ©

W następnym wydaniu „Tygodnika” ostatni wakacyjny dodatek z cyklu

Włóczykij i Powsinoga

a w nim:

Sarny mają pierwszeństwo: rowerem z Krakowa po Beskid Mały z Jakubem Kornhauserem
Nowy sezon w teatrach: polecamy najlepsze premiery jesieni
a także strony poświęcone Nagrodzie im. Kazaneckiego oraz prezentacja programu NOSPR na nadchodzący sezon

Zapraszamy do lektury!





POŻEGNANIE

STARAŁEM SIĘ NIE RZUCAĆ W OCZY

W jego wspomnieniach często pojawiał się wątek „chłopskiej krzepy”, na którą zapracowały pokolenia przodków. „Taki, powiedzmy Jacek Kuroń – mawiał z uśmiechem Henio – trafił do opozycji dzięki głowie, a ja dzięki nogom”.

JOANNA SZCZĘSNA

TOMASZ WIERZEJSKI / FOTONOVA



→ **K**IEDY PRÓBUJĘ PRZYPOMNIEĆ SOBIE, kiedy tak naprawdę poznałam Henryka Wujca, pamięć podrzuca mi pewną scenę. Jest maj 1977 r., właśnie rozpoczęliśmy w kilkanaście osób głodówkę protestacyjną w warszawskim kościele św. Marcina. Żądaliśmy uwolnienia robotników więzionych za udział w wydarzeniach czerwca '76 oraz członków i współpracowników KOR-u, których aresztowano po śmierci Stanisława Pyjasa. Zapowiedzieliśmy głodówkę na tydzień, a Henio postanowił dobrze wykorzystać ten wyrwany z codzienności czas. I tak co dzień po porannej mszy zagarniał sobie klęcznik, rozkładał na jego pulpicie papiery, klękał i pisał podanie do Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy. Domagał się przywrócenia do fabryki półprzewodników TEWA, skąd go właśnie wyrzucono za współpracę z Komitetem Obrony Robotników.

Wyglądaliśmy na zagłodzonych

Wtedy to poznałam niesamowitą Heniową dokładność i rzetelność, które w tym przypadku przekładały się na kilkanaście bitych stron papieru kancelaryjnego, i to drobnym maczkiem. Miałam już za sobą pierwsze redaktorskie doświadczenia w „Biuletynie Informacyjnym” i nie było zmiłuj: kazałam skrać. Henio pisał więc kolejną wersję, ja mówiłam, że dalej za długo, on zaczynał od początku, i tak przez cały tydzień. Przy okazji: skrupulatność to był znak firmowy Henia Wujca. Do opozycyjnej legendy przeszedł jego poprawki do „Komunikatów KOR-u”: np., że nie został pobity, tylko uderzony w twarz albo kopnięty w brzuch.

Scena z Heniem na klęczniku nie tylko mnie zapadła w pamięć. W którymś momencie o. Aleksander Hauke-Ligowski, który z nami głodował, rzucił żartem: „Tak właśnie powinno się pisać podania do władz, na kolanach!”.

Na kolanach czy nie na kolanach, Henio miał chwyt buldoga i jak zaczął odwoływać się do kolejnych instancji, w tym sądu pracy, to jeszcze ponad rok musieli go trzymać w Twie, chociaż został w międzyczasie członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej KOR i podpisywał wszystkie możliwe protesty.

Tak, przez ten tydzień w kościele św. Marcina miałam okazję dobrze mu się przyjrzeć. Jasne, znaliśmy się wcześniej, bywałam w jego mieszkaniu na warszaw-

skim osiedlu Stegny, w którym razem ze swoją żoną Ludwiką stworzył jeden z tych otwartych opozycyjnych domów, gdzie można było wpaść o każdej porze dnia i nocy po informację albo prasę podziemną i dostać herbatę, a nawet jajecznicę. Poruszaliśmy się jednak po trochę innych orbitach. Ja działałam raczej stacjonarnie – byłam redaktorką „Biuletynu Informacyjnego” i spędzałam godziny nad maszyną do pisania. Henio był ciągle w biegu. Dzień w dzień po pracy wsiadał do podmiejskiej kolejki i jechał do Ursusa – myląc esbeckie pogonie – spotykać się z rodzinami represjonowanych po wydarzeniach czerwca '76 robotników, oferując im pomoc – prawną, lekarską, finansową – ale też, co nie mniej ważne, swój czas, uwagę i wsparcie. Umiał słuchać, a i naprawić rower dziecku albo zorganizować potrzebującemu węgiel na zimę.

W czasie tej głodówki trochę się rozleniwiłam: tu ucięłam sobie drzemkę na ławce albo poczytałam, tam pogrzałam się na słonku w przyklasztornym ogrodzie. Bogiem a prawdą, nie było co robić, chyba że było się Heniem Wujcem, który zawsze jakoś miał co robić. To on najczęściej wieczorami nadmuchiwał wszystkim materace, rozkładał śpiwory i koce, a rankiem, kiedy trzeba było opuszczać zakrystię i przenosić się do kaplicy – spuszczał z materacy powietrze, składał śpiwory i koce, pomagał też siostrzom zakonnym układać kwiaty, które głodującym znosili ludzie z miasta. Cały czas się krzątał: coś porządkował, dbał, żeby nasza obecność jak najmniej zakłócała funkcjonowanie kościoła.

Ja w każdym razie czułam jego dyskretną i wspomagającą obecność. A i o nasz wizerunek potrafił zadbać. Pamiętałam, jak podczas niedzielnej mszy wypchnął mnie i jeszcze jednego chudełka na czoło naszej grupy, bo „wyglądaliśmy na zagłodzonych”, w odróżnieniu od o. Aleksandra, którego Henio skierował do tyłu, jako że ten był „okrągłutki i na głodującego nie wyglądał”.

Tak, można powiedzieć, że przez ten tydzień u św. Marcina poznałam Henia od jego najlepszej strony, choć prawdę mówiąc przez następne cztery dekady z okładem znajomości nie udało mi się poznać żadnej jego gorszej strony.

Człowiek za dobry i za poważny

Od dzieciństwa przyzwyczajony był do ciężkiej pracy w polu. Przez całe lata, już mieszkając i pracując w Warszawie, jeź-

dził w wakacje na żniwa do wsi pod Biłgorajem, gdzie jego rodzina miała siedmiohektarowe gospodarstwo. Zdziwił się, kiedy jakiś esbek postraszył go, żeby się nie wychylał i nie jechał na studencką pielgrzymkę do Częstochowy, bo „wróci na wieś pasać krowy” – w pasaniu krów nie widział niczego upokarzającego, a jednak zapamiętał to pogardliwe zdanie na całe życie.

Swoje chłopskie korzenie obnosił z dumą. Uważał, że w pakiecie z pochodzeniem dostał łatwość komunikowania się z prostymi, zwykłymi, szarymi ludźmi („w ich towarzystwie dobrze się czuję” – powtarzał), a też rozumienie ich problemów i potrzeb.

W eseju „Czy jesteśmy narodem straconym?” pisał o tym, jak zmieniał się w minionym stuleciu nasz narodowy charakter, jak chłop i robotnicy zyskiwali poczucie dumy narodowej. „W moim Biłgoraju i wszystkich sąsiednich miasteczkach wymordowano ponad połowę mieszkańców, po wojnie te miasteczka zaludniały się nowymi mieszkańcami z sąsiednich wsi. Z tej mieszaniny powstawała po wojnie Polska chłopska i robotnicza, można powiedzieć za propagandą PRL-u: ludowa. Sam jestem częścią tej ludowej Polski, w jakimś sensie się z nią identyfikuję”.

Z domu wyniósł szacunek dla ciężkiej, fizycznej, codziennej pracy, ale także – dla wiedzy i wykształcenia. Matka wysłała go do szkoły, jak miał 5 lat i 8 miesięcy, aby się uczył i miał lepsze życie („tkwiła w tym pamięć poniżenia niepiśmiennego chłopca przez pana lub urzędnika” – tłumaczył). Jako student dorabiał nie tylko korepetycjami z fizyki, ale również rozładowywaniem wagonów kolejowych.

W działalność społeczną zaangażował się w początku lat 60. w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej. Wtedy też poznał Jacka Kuronia, któremu jednak nie udało się go przekonać, aby wstąpił do uczelnianego ZMS-u (swoją drogą, niezłą trzeba było mieć siłę, żeby się nie dać przekonać Kuroniowi, wiem coś o tym). Ich drogi przetną się ponownie dopiero w czasach KOR-u.

Henio zdążył jeszcze przed ukończeniem studiów wziąć udział – jako szeregowy uczestnik – w wydarzeniach Marca '68. Zaraz potem dostał nakaz pracy w Twie. Wkrótce ożenił się z koleżanką ze studiów, Ludwiką Okrent. Gdyby nie pandemia, w kwietniu tego roku obchodziliby hucznie 50. rocznicę ślubu.



JAN KRZYSZTOF KELUS / FOTONOWA

Na więziennym spacerniaku w Białolecie, 1982 r., od lewej: Henryk Wujec, Lech Dymarski, Janusz Onyszkiewicz, Jacek Kuroń i Jan Rulewski.

Ona – miejska dziewczyna z żydowskiej, komunistycznej rodziny, członek ZMS-u, a potem partii, on – chłopak ze wsi, katolik, członek KIK-u. Uchodzili za świetne małżeństwo, co ja piszę: byli świetnym małżeństwem.

„Jak się Ludwisiu na to zdecydowałaś, to żadne fanaberie, kaprysy nie wchodzą w grę – przywołuje Ludka w rozmowie rzece „Związków przyjacielskich” początki swego bycia z Heniem – bo to jest za dobry i za poważny człowiek, żebyś mu się odważyła zrobić jakieś świństwo. I wiedziałam, że to może być albo na poważnie, albo wcale”.

Wyszło na poważnie.

Łączyła ich wspólna działalność opozycyjna, najpierw związana z KOR-em, później z Solidarnością, legalną i podziemną. Również w wolnej Polsce podążali wspólnymi ścieżkami: działali w ROAD, Unii Demokratycznej, Unii Wolności, Partii Demokratycznej. Henio przez cztery kadencje był bardzo pracowitym posłem, ubiegał się o reelekcję, ale UW nie przekroczyła progu wyborczego. Związał się więc z organizacjami pozarządowymi, był też doradcą ds. społecznych prezydenta Komorowskiego. Ludka z kolei była działaczką samorządową i radną. Po

ciągnącym się przez lata procesie została w 2014 r. oczyszczona z absurdu zarzutu przyjęcia łapówki w czasach, kiedy była sekretarzem warszawskiej gminy Centrum.

Pięknie skwitował to Henio: „Ja tak naprawdę wszystko mogę zrozumieć, dwóch tylko rzeczy nie pojmuję: po pierwsze, takiego kawałka teorii względności Einsteina o tym, jak zakrzywia się czasoprzestrzeń, a po drugie, jak to w ogóle możliwe, że moja żona Ludwisia mogła być oskarżona o przyjęcie propozycji korupcyjnej”.

Obrządzanie gospodarstwa

Jakoś tak zaraz po głodówce w kościele św. Marcina Wujcowie przygarnęli mnie do swego olbrzymiego, jak na tamte czasy, mieszkania (cztery pokoje, całe 69 metrów kwadratowych), gdzie w miłej, rodzinnej atmosferze spędziłam blisko dwa lata.

Wynająć sobie mieszkania nie mogłam, bo SB wystraszało kolejnych gospodarzy. Warszawa była miastem zamkniętym (ktoś to jeszcze poza mną pamięta?), a ja nie miałam meldunku, zaś zameldować się nie mogłam, bo wyrzucili mnie z pracy. Cóż, na oko paragraf 22,

ale nie darmo ćwiczyliśmy w KOR-ze, jak działać wbrew władzy wykorzystując prawo. Państwo Wujcowie zameldowali mnie u siebie jako pomoc domową (na drzwiach dołożyłam do ich wizytówki własną: „mgr Joanna Szczęśna – pomoc domowa”). A SB wobec tej jawnej bezczelności było bezradne (na wdrożenie śledztwa, czy faktycznie sprzątam u Wujców, jakoś się nie zdecydowali). Chociaż w czasie każdej niemal rewizji rytualnie przejeżdżali palcem po zakurzonych meblach i podtykali go Heniowi pod nos.

– Coś ta pańska sługa kiepsko sprząta – wydziewiali. – Ale ja też kiepsko jej płacę – odpowiadał ze spokojem Henio.

W jednym pokoju działała redakcja „Robotnika”, w drugim – redakcja „Biuletynu Informacyjnego”, w salonie gościło czasem z wykładami Towarzystwo Kursów Naukowych. Poza tym był skład bibuły i sklepik z wydawnictwami niezależnymi. Mieszkając z Wujcami dostałam niepowtarzalną szansę prowadzenia „antropologicznej obserwacji uczestniczącej” na okoliczność funkcjonowania Henryka Wujca.

Wniosek nasunął się sam: Henio przeniósł do miasta wiejskie zachowania związane z „obrzędami gospodarstwa”. ➔

→ Wiadomo: samo nic się robi, rano trzeba bydło i trzodę napoić, nakarmić, krowy wydoić, kogo trzeba i komu się należy na dwór wypuścić, a wieczorem to samo, tylko w drugą stronę: zagonić, pozamykać i dobranoc. A wszystko to bez względu na pogodę – co ma być zrobione, zrobione być musi.

Na wsi ludzkie życie wyznacza rytm dnia i pór roku. Nasze życie na Stegnach też wyznaczone było przez rytm dnia, tyle że szło nie o wschody i zachody słońca, jeno o przepisy, które nie dopuszczały rewizji przed szóstą rano. Teoretycznie konspiracyjne bhp rekomendowało używanie skrytek, cudzych piwnic, lokatorskich komórek itp., ale nie znam nikogo, kto przestrzegałby tego z tak żelazną konsekwencją jak Henio. Gdy zbliżała się pora snu (zwykle grubo po północy), Henryk Wujec zaczynał obrządek wieczorny: coś wyniósł do sąsiadów, coś zamelinował gdzieś na osiedlu, coś upchnął pod szafę za listwą kryjącą, coś zostawił na wierchu „na pożarcie” itp. A rano, kiedy minęła szósta, rozpoczynał obrządek poranny: wyciąganie ze schowków, segregowanie, co mu się akurat dziś przyda, pakowanie do plecaka bibuły itp.

Proszę przy tym pamiętać, że krzątania Henia miała swój wymiar merytoryczny i praktyczny. Gospodarstwo, które obrządkował z taką starannością, to były dziesiątki cudzych spraw do załatwienia, oświadczeń do napisania, informacji do sprawdzenia, rachunków do rozliczenia, tekstów do napisania itd. Dla przykładu to właśnie Henio Wujec po tym, jak na wykład TKN w mieszkaniu Jacka Kurońa wtargnęła bojówka, zidentyfikował napastników (sam został wtedy dość poważnie pobity) i złożył na nich imienną skargę do władz.

Wstałam kiedyś w nocy do toalety, patrzeć, a Henio stoi w łazience, boso, i czyta książkę. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie ma się gdzie podziać we własnym mieszkaniu, bo wszędzie ktoś śpi. Ale nie, więc pytam: „Heniu, czemu czytasz w łazience?”. A on na to: „Bo jak próbuję czytać stojąc na parkiecie, to zasypiam”.

Obawiam się, że to właśnie ta historia, którą opowiadałam szeroko, zaczęła żyć własnym życiem, mutując w opowieści o czytaniu z nogami w miednicy z zimną wodą. Tak czy inaczej o tym, żeby Henio po całym dniu harówki mógł czytać na leżącą, czy choćby na siedzącą – nie było mowy.



Uczestnicy głódówki w kościele św. Marcina, maj 1977 r. Henryk Wujec na pierwszym planie, pierwszy z lewej. Autorka tekstu trzecia z lewej na drugim planie.

Szybki i wściekły

We wspomnieniach Henia z konspirowania i ganiań się z esbecą często pojawia się wątek jego „chłopskiej krzepy”, na którą zapracowały pokolenia przodków. „Taki, powiedzmy Jacek Kuroń – mawiał Henio z filuternym uśmieszkiem – trafił do opozycji dzięki głowie, a ja dzięki nogom”.

Piechurem był wytrwałym, lubił chodzić po górach, swego czasu w KIK-u organizował młodzieżowe wycieczki. Kiedy po raz pierwszy latem 1977 r. pojechał do Ursusa szukać robotników wyrzuconych z pracy i rodzin aresztowanych, to po powrocie zszokował swoim „urobkiem” młodzież z drużyny Czarnej Jedyńki, prowadzącą tzw. kartotekę ursuską: „Co z tego, że oni byli doświadczonymi harcerzami – opowiadał w czasach legalnej Solidarności Andrzejowi Friszke i Andrzejowi Paczkowskiemu – skoro nie mieli takiej siły w nogach. Od razu awansowałem”.

Awans Henia polegał na tym, że dostawał coraz to więcej zadań do wykonania i coraz więcej spraw brał na swoje barki. A przy okazji został mistrzem gubienia się esbeckiej obstawie.

„Zrobiliśmy sobie pościg przez ogródki działkowe, aż trochę spuchli i zostali z tyłu – wspominał. – Nigdy nie mogli mnie złapać. Jak chciałem ich zgubić, łatwo ich gubiłem – byłem szybki w nogach”. Kiedyś wyskoczył z pociągu, kiedy ten tylko trochę przyhamował przed stacją. Innym razem na Śląsku przedzierał się przez jakieś wertepy, górnicze hałdy i kanały melioracyjne („po szyję w wodzie” – zeznał, a to znaczy, że tak było, bo on nie koloryzował).

„Wyrolowałem ich tyle razy, że byli na mnie wściekli” – opowiadał Henio. Aż któregoś dnia śledzący go esbecy, nie dając rady za nim nadążyć, zaapelowali wprost do jego sumienia: „Panie, daj nam też pożyć”.

Kiedy Henio definitywnie stracił pracę w Tewie i nie mógł znaleźć nowej (a zależało mu, żeby zachować premionowaną w PRL-owskim systemie „ciągłość pracy”), całą energię poświęcił na jeżdżenie po Polsce i nawiązywanie nowych opozycyjnych kontaktów. Aż w końcu władza zorientowała się, że bezrobotny Wujec wcale jej się nie opłaca i jesienią 1978 r. dostał posadę w Polskim Komitecie Normalizacji Miar i Jakości, gdzie przeetrwał bodaj do 1989 r. Ma się rozumieć: z przerwami na internowanie i aresztowanie.

Nigdy nie miałam wątpliwości, że taki Wujec to dla każdego pracodawcy czysty zysk. Pamiętam, jak kiedyś wyszedł akurat z dłuższego pobytu w więzieniu. Był środek tygodnia, zadzwoniłam, żeby przywitać go na wolności, i zażartowałam: „A co, jutro do roboty?”, a on na to, jak najbardziej serio: „Nie, dzwonili z kadr, że jestem im potrzebny dopiero w poniedziałek”.

Henio znany był z tego, że lubił targać ze sobą masę, jego zdaniem, niezbędnych mu papierów – w plecaku, plastikowych reklamówkach, teczkach. Jacek Kuroń żartował, że nosi w tych swoich torbach gotowy akt oskarżenia. Ale Henio zarzekał się, że nigdy żadne jego trefne papiery nie trafiły w ręce SB (jak trzeba było, to uciekał, a zdarzało się, że reklamówkę z papierami zakopywał).

A poza tym, jak opowiadał, tajemnica jego bezpiecznego knucia polegała na tym, że „starał nie rzucać się w oczy”. Te słowa dotychczas konspirowania, ale myślę, że to mogłoby być motto jego życia: Henio Wujec starał się robić swoje, nie rzucając się w oczy.

Nigdy nie czuł się odwołany

Swoją akces do opozycji opisywał prosto i skromnie: „Chcieliśmy żyć w zgodzie z wyznawanymi wartościami, których źródłem była chrześcijańska wiara i lewicowy sprawiedliwościowy etos”. Ale pisał, że marzyła mu się lepsza Polska: „Proces powstania nowego narodu polskiego nie został dokończony. Jest poważnie zagrożony przez kult bogacenia się, nieumiarkowaną żądzę posiadania, egoizm i rozwarstwienie społeczne”.

Jeśli swoją drogę życiową pojmował jako rodzaj służby – nikt nie może nas z niej zwolnić. Henio nie chował w sercu urazy do Lecha Wałęsy, który bezceremonialnie – jednozdaniowym faksem: „Czuję się odwołany” – pozbawił go funkcji sekretarza Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność”.

Nie poczuł się odwołany. A choć współtworzył w III RP różne partie, tak naprawdę nie był człowiekiem partyjnym. Trudno wyliczyć wszystkie stowarzyszenia i fundacje, które coś mu zawdzięczają (chciałabym wymienić chociaż Fundację Auschwitz-Birkenau, Komitet Obywatelski Solidarności z Ukrainą, Forum Dialogu). Również jego praca doradcy prezydenta związana była jak najciszej z NGO-sami. Jego szczególnym sukcesem było przygotowanie nowelizacji ustawy o stowarzyszeniach, którą – choć powstała pod auspicjami prezydenta Komorowskiego – podpisał Andrzej Duda (takie przejęcie spadku po poprzedniku to w świecie polityki rzecz rzadka).

Kiedy Henio leżał w szpitalu w Otwocku, gdzie nie miał możliwości zagłosować w II turze, a był już bardzo chory, wystosował do przyjaciół dramatyczny apel: „Jeśli z powodu absencji jednego wyborcy Trzaskowski by przegrał, będę chory jeszcze bardziej z rozpacz. Namówcie kogoś, kto nie chodzi na wybory, aby tym razem poszedł w darze dla mnie, chorego Henryka Wujca i zagłosował na Trzaskowskiego”. No więc melduję Ci, Heniu, że serią namolnych esemesów skłoniłam pewnego młodego człowieka, by wszedł w samochód i przejechał kilkadziesiąt kilometrów do miejsca swego zameldowania, by oddać głos na Twojego kandydata.

© JOANNA SZCZĘSNA

Wolność i odpowiedzialność

HENRYK WUJEC:

Dla mnie ta filozofia jest niezłomna: próbować i próbować. Jak cię przetrąca, to wstajesz i znowu. Nie jestem taki, żeby bić się i obrywać, ale nawet jak się trochę oberwie, to trudno.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Za co jesteście odpowiedzialni w naszym codziennym życiu?

HENRYK WUJEC: Mogę mówić o sobie. Ja się czuję odpowiedzialny przede wszystkim za rodzinę. Nie tylko za nią, ale za nią przede wszystkim.

Za rodzinę, którą zakładamy?

W której jesteśmy. W tej chwili moja rodzina to moja żona Ludka, Paweł, jego dzieci i jego żona. Mój brat ma dzieci i jedna z jego córek mieszka z nami. Jest z nami już od kilkunastu lat, ona też jest moją najbliższą rodziną. Reszta jest trochę rozproszona, ale mam z nimi poczucie wspólnoty. A jak jest wspólnota, to jest też odpowiedzialność.

A za Polskę?

Tak bym nie powiedział, bo to brzmi za bardzo pompacyjnie.

Naprawdę nie czujesz się odpowiedzialny za Polskę?

Nie, nie czuję się. Owszem, chętnie będę coś robił dla niej i tyle. Powiedziałem ci o odpowiedzialności za rodzinę, ale jest też ważna jakaś odpowiedzialność za samego siebie. Mam przekonanie, że żyję raz na tym świecie, już drugi raz mi się to nie przydarzy. Wobec tego, jak mam raz okazję, żeby żyć, to muszę coś z tym swoim życiem zrobić. Nie mogę tylko biernie w nim uczestniczyć. Takie myślenie, że wszystko samo się będzie toczyło, to jest najgorsze rozwiązanie. Masz raz daną taką szansę, i co? W ogóle nie reagujesz na to, co jest dookoła? Największą odpowiedzialność polega na tym, że ktoś ci dał życie, i to twoje życie ma

coś znaczyć dla ciebie. Masz obowiązek zrozumieć, po co tu jesteś, na tym świecie. Masz obowiązek zrozumieć, jaki jest ten świat w ogóle. Masz obowiązek współczuć z innymi ludźmi, bo wszyscy mamy ten sam problem.

Że dostaliśmy życie w prezencie.

Tak. I nie mogę nie zauważyć, że inni też się zmagają. Jak im jest strasznie źle, nie mogę tego nie zauważyć. Odpowiedzialność za wielkie rzeczy bierze się z tego, żeby reagować na małe rzeczy. Tak się zaczął Komitet Obrony Robotników. Cała ta akcja zaczęła się od tego, że chcieliśmy zareagować na to, że ludzie byli bici, wyrzucani z pracy, wsadzani do więzienia. Nie można tego było tak zostawić. A reszta potem się z tego wzięła. To był pierwszy impuls.

To byli robotnicy z Radomia i Ursusa, kompletnie obcy Ci ludzie. A mimo to miałeś ten impuls, żeby pójść im z pomocą. Skąd ten impuls? To nie było tak, że tam pół Polski wtedy pojechało. Was była garstka.

Zastanawiałem się nad tym i nie potrafię tego dokładnie wytłumaczyć. Prawdopodobnie w moim przypadku miało znaczenie miejsce, w którym się urodziłem, i to, jacy byli moi rodzice.

Ja się urodziłem na wsi. Wieś teraz nie jest za bardzo popularna, obciąża się ją różnymi wadami, ale ja jestem piewą wsi, bo tam jest coś takiego, co tworzy wspólnotowość. Wtedy tak było. Nie było telewizji ani radia, nawet prądu nie było. Sam sobie na wsi nie dasz rady, nawet sam nie możesz żyta skosić, musi być pomoc. Sam nie potrafisz wymłócić. To naturalne, że

⇒ idę pomagać sąsiadowi, a potem on pomaga mnie. Normalny sposób życia na wsi narzuca wspólnotowość. Oczywiście to nie jest tak, że wszyscy tylko myślą o tym, żeby drugiemu pomóc, często myślało o tym, jak mu dokopać, wyszydzić go, ale jeżeli jest jakaś skrajna sytuacja, coś się złego dzieje, to się pomaga.

Przynajmniej w Twojej rodzinie tak było.

Tak było. Była u nas taka samotna kobieta, nie dawała rady na gospodarstwie, rodzice mówili: idźcie tam, ona żniwa robi, pomóżcie jej. I myśmy szli, robiliśmy z bratem. To było naturalne.

Myślę, że miało też znaczenie to moje wychowanie – nie wiem, jakiego tu słowa użyć: katolickie? chrześcijańskie? Ja się wychowałem w praktykowaniu wiary, że życie nie jest świeckie. Ono z definicji jest zanurzone w świecie duchowym.

Jako dziecko chodziłem z rodzicami do kościoła i na odpusty, brałem w tym udział w sposób naturalny. Tam też był taki oczywisty kanon, że trzeba pomagać. A jak nie pomogłeś, to musisz się z tego wypowiadać.

I Ty to brałeś bardzo na serio?

A jak inaczej. Np. krowę puściłem w szkodę komuś, bo jak się krowę pasie,

to ona się rwie i kiedy nie masz siły za bardzo, żeby się z nią szarpać, to wchodzi w to żyto, nażre się, jest spokojniejsza. No ale to jest szkoda. No to potem się z tego spowiadasz. Naturalnie.

Wracając do twojego pytania: to jest bardzo ważne, że nikt nie znajduje się w pustce.

Twoje wychowanie, chłopskie i religijne, było etycznie spójne?

Nie do końca. Przyznaję, że z tatą jeździłem do lasu, i tam kradliśmy drzewo. Ale to było drewno do domu i nie kradliśmy go od sąsiada, bo tego nie wolno zrobić sąsiadowi, tylko z państwowego lasu. Wtedy państwowe to było „nasze”, czyli „niczyje”. Chłopska etyka jest taka, że jak się da gdzieś oszukać, to trzeba oszukać, bo inaczej człowiek nie wyżyje. Ale sąsiadowi raczej się pomaga. W naturalny sposób przyjąłem, że jest taki obowiązek.

Jak byłem na studiach, mieszkalem w akademiku i mieliśmy kolegę z prawa, który był niewidomy. Był zawzięty, żeby skończyć studia, w tamtym czasie to było skrajnie trudne. I my sami z siebie czytaliśmy mu wszystko, co musiał mieć przeczytane. Mieliśmy dyżury. To było naturalne, nie mieliśmy poczucia, że w tym jest coś wyjątkowego.

Ten klimat wiejski, jego wspólnotowość i religia – w sumie mnie ukształtowały. Na wsi nie uczą szczególnego patriotyzmu, nie. Wieś to jest ta ojczyzna. A Polska – niekoniecznie.

Czyli to nie jest tak, że Ty się czujesz odpowiedzialny za ten kraj, za społeczeństwo.

Trochę... Np. czuję się odpowiedzialny za szkody, jakie robi PiS. Tyle nam się udało cudem jakimś osiągnąć, przecież nikt tego nie planował. Coś nam spadło z nieba, a my potrafiliśmy wykorzystać sprzyjające okoliczności. Nikt mi nie wmówi, że można było to wtedy lepiej zrobić. Może i można było, ale to niechby ten ktoś zrobił lepiej. Nie mam obciążeń, wręcz przeciwnie: jestem bardzo dumny.

Ale mówisz, że czujesz się odpowiedzialny za to, co partia rządząca psuje.

Oni niszczą to, co myśmy zrobili. Tworzą z Polski kraj – sami jeszcze nie wiedzą jaki – straszny! Np. ten wzrost niechęci do cudzoziemców. Z kilkunastu procent wzrósł do sześćdziesięciu! To jest coś koszmarnego. Ten kraj jest już inny. To nie jest kraj Solidarności '80/ '81, gdzie każdy by duszę oddał – mówię w cudzysłowie – jeden drugiemu. Naprawdę

Niemiecka epopeja

WE WSPOMNIENIACH

o Henryku Wujcu rzadko mówimy o jego roli w akcji pomocy dla uchodźców z NRD, w sierpniu i wrześniu 1989 r. A przecież to on, w sztabie Komitetu Obywatelskiego przy ul. Fredry w Warszawie, tę akcję wymyślił i błyskawicznie przeprowadził. Z perspektywy pomagającego mu „żołnierza”, jak siebie z dumą nazywaliśmy, mogę powiedzieć, że ujawnił wówczas swoje najlepsze cechy: talent organizacyjny, wielkie serce dla ludzi w potrzebie, odwagę działań szybkich i nieortodoksyjnych, a także skuteczne pilnowanie, żeby za dużo o tym nie opowiadać. Co było ważne w sytuacji, gdy

rumuński dyktator domagał się interwencji w Polsce dla ratowania komunizmu, a Berlin Wschodni oskarżał Warszawę o łamanie umów dwustronnych i żądał „ekstradycji nielegalnych imigrantów”. Jak wypełnić humanitarną powinność, a jednocześnie nie pogrzebać szans na rysującą się ewolucję polityczną w regionie? To pytanie musiał sobie zadawać nowy polski rząd „w budowie”, a także – w bardzo konkretnej sytuacji – Heniek.

PRZEZ WARSZAWĘ

przewinęło się wtedy 6 tys. obywateli NRD, którzy – po zamknięciu granicy

z Czechosłowacją – u nas dostrzegli szansę na nową drogę ku wolności. W porozumieniu z ambasadą RFN umieszczaliśmy ich w podwarszawskich ośrodkach wypoczynkowych NSZZ „Solidarność”. Już 11 września, w przeddzień zaprzysiężenia nowego rządu, do desygnowanego ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego zadzwonił w tej sprawie niemiecki minister Hans-Dietrich Genscher.

HENRYK nie miał czasu na polityczne rozterki. Trzeba było robić swoje i podejmować ryzykowne decyzje. On to potrafił, bo był dla wszystkich autorytetem i legendą. Miał w sobie jasne kryteria etyczne, które nadawały jego ocenom wagi. Nic w nim nie było

zdawkowe, sztuczne, pozorne ani odświętne. Tajemnica jego wielkiego wpływu tkwiła w bezwzględnej prawdzie i szczerości tego, co dawał.

W CZASIE kilku rocznicowych spotkań z Niemcami, byłymi uchodźcami, wspominaliśmy, w jaki sposób ta ich epopeja była istotna także dla nas. To, że byli tak zdeterminowani i tak licznie przybywali, zwiększało nadzieje na zmianę systemu. Latem 1989 r. zobaczyliśmy w Warszawie ludzi, którzy mieli marzenie o życiu w wolnym kraju. I to ich marzenie było częścią naszego. Chyba tak powstaje Europa.

MAREK PRAWDA

dyrektor Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce



Ludwika i Henryk Wujcowie. Warszawa, luty 2016 r.

wtedy był taki klimat. A teraz nikomu nic i jeszcze w mordę dać. Tak się to odmieniło. I to buduje PiS, bo dzięki temu, że wywołują w ludziach bezpodstawny strach, rośnie im popularność, słupki itd.

Przecież Ty nie jesteś w PiS, to za co czujesz się odpowiedzialny?

Bo jestem z tą Polską związany. Niektórzy mówią, że tu się robi tak dla nich koszmarne, że chyba stąd wyjadą, ja w życiu bym nie wyjechał.

Dlaczego?

Bo nie wyobrażam sobie życia poza Polską. To tak, jakbym w swojej rodzinie mieszkał. I rodzinę opuszczę? Dla kogo? Dla innej rodziny? To przecież absurd. Każdy kawałek mojego życia jakoś jest z tym otoczeniem, z tą historią związany. Polska wiele dla mnie znaczy, jako całość. Boli mnie, że nie jest tak dobra, jakbym chciał. Np. ta sprawa z Ukraińcami... Uważam, że było to ogromne osiągnięcie, że zaczęło się coś naprawiać. A teraz to się psuje. W sumie powiększa się zło.

Możemy czuć się odpowiedzialni za coś, na co nie mamy wpływu?

O nie, tutaj mam radykalne stanowisko. Nigdy nie jest tak, że nie mamy żadnego wpływu. Nawet jak czuję się bezradny czy bezsilny, to nigdy nie usprawiedliwia to tego, żebym nic nie robił! Nigdy nie wiesz, czy twoje działanie czegoś nie zmieni! Nie wiesz, czy ten twój czyn, chociaż mały, nie spowoduje jakichś zmian. To wiemy z fizyki, że czasami drobna rzecz kompletnie zmienia cały układ. Tutaj w żadnym wypadku nie wolno zaniechać działania.

Nie, nie trzeba od razu rzucać się z motyką na słońce czy z kosą na czołgi, ale trzeba nieustająco próbować. Dla mnie ta filozofia jest niezłomna: próbować, próbować, w każdym momencie próbować. Jak cię przetrąca, to wstajesz i znowu. Ja nie jestem taki, żeby bić się i obrywać, ale nawet jak się trochę oberwie, to trudno. Nic takiego złego się nie stanie. To nie może powodować rezygnacji.

Pierwszy raz podpisałem jawny protest, kiedy były podpisywane listy przeciwko zmianom w konstytucji w 1975 r. Wtedy PZPR chciała zmian w konstytucji, był list trzystu, to była inicjatywa Antoniego Macierewicza. Przyszła do nas wtedy Ulka Doroszevska, że zbierają podpisy pod takim listem. Mnie ciarki chodziły po plecach, podpiszę – myślę sobie – to mnie wywałą z roboty. Wtedy robiłem jakąś karierę w Tewie, miałem zostać kierownikiem laboratorium, coś ruszyło. Ale uznałem, że nie mogę stchórzyć. I podpisałem. Potem, jak podpisałem, to innych namawiałem też, żeby odpowiedzialność była szersza. To przekroczenie tej małej bariery spowodowało, że potem z Ludką zbieraliśmy podpisy pod innym listem, już weszliśmy w to. Taki drobny akt odwagi od razu ulżył człowiekowi.

Zawsze coś można zrobić?

Zawsze. Miłosz pisze: lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach.

Zobacz, jak było z KOR-em. Poszliśmy na proces tych robotników z Ursusa. To była połowa lipca 1976. Nie wiedzieliśmy, co będzie. Na salę nas nie wpuścili, bo

tam już siedzieli esbecy, wszystkie miejsca były zajęte. Sąd rozkłada ręce: miejsc nie ma. Tak samo teraz będzie, to są stare metody. I jesteś na korytarzu. Tam są rodziny tych robotników. Patrzysz na nich i widzisz, jaka tam jest nędza, to przecież gołym okiem widać: przerażenie, strach. Nie możesz nie zareagować w tej sytuacji. Wtedy błysnęła iskra, w tym momencie powstał KOR, tam, na korytarzu. Poczuliśmy, wiedzieliśmy, że trzeba im pomóc. A potem, jak się zaczęło z nimi rozmawiać, oni mówią: no dobrze, nam pomożecie, ale przecież jest mnóstwo ludzi takich jak my. Każdy tak reagował. Przychodzili z KIK-u, z harcerskiej Czarnej Jedyndki młodzi ludzie. Nie zastanawiali się.

Twoje życie pokazuje, że nawet od drobnej rzeczy lawina może zmienić swój bieg.

Tak. Ja bym powiedział, że dobro się składa. Tu ktoś zrobi kawałek dobra, tam ktoś coś zrobi i z tego buduje się coś większego.

Mnie się zdaje, że Ty cały czas nie chcesz zobaczyć, że jednak nie wszyscy tak mają jak Ty.

Ja naprawdę nie robię nic wyjątkowego. Ludzi się bardzo pozyskuje, jeśli się z nimi rozmawia. Cierpliwie, pozwoli. Uważam, że trzeba próbować. Rzadko myślę, że ktoś już nie nadaje się do zmiany, do naprawy. Trzeba rozmawiać. Inaczej nic się nie zmieni.

A za przyszłe pokolenia czujesz się odpowiedzialny?

Nie, nie za bardzo.

Za to, w jakim stanie im zostawimy naszą planetę?

Z zainteresowaniem obserwuję protest przeciwko wycinaniu Puszczy Białowiejskiej, ale do końca nie wiem, jak to jest z tą ochroną. Może po drugiej stronie też są jakieś racje?

Raczej pieniądze.

Myślę, że Ziemia przeszła przez tak straszne katastrofy, że i z tym sobie poradzi. Natomiast boję się globalnego ocieplenia. Wszystko wskazuje na to, że następuje zwiększenie łącznej temperatury, a skutki są bardzo groźne. Teraz np. stąd są te straszne huragany. Masz wyższą temperaturę, to masz więcej energii, a ta energia musi się gdzieś rozładować. ➔

→ Wszystko wskazuje na to, że to jest efekt działań człowieka.

I za to czujesz się odpowiedzialny?

Tak. Jestem za zieloną energią, choć na co dzień nie mam poczucia, żeby moje działanie miało jakiś wpływ. Rzeczywiście tu jestem niezbyt przekonany.

Niefrasobliwy?

Może to wymówka, ale tłumaczę to tym moim wiejskim wychowaniem. Na wsi człowiek ostrożnie podchodzi do wszystkiego.

Ja każę domownikom gasić światło, bo śniegi na Kilimandżaro topnieją.

Ja gaszę przede wszystkim dlatego, żeby mniej wydawać. Staram się segregować śmieci, choć nie za bardzo mi to wychodzi. Na wsi jest tak, że człowiek żyje z naturą, ale nie traktuje jej za dobrze. Np. masz krowę i nawet ją lubisz, a potem musisz ją zabić. Na mięso, na zimę, na wesele. Trzeba zabić, to się zabija, tylko możliwie szybko, żeby zwierzę nie cierpiało.

A za przeszłość się czujesz odpowiedzialny?

Na pewno bardziej za przeszłość niż za przyszłość.

Jako polska wspólnota mamy w historii różne chwalebne karty, walczyliśmy o wolność naszą i waszą, ale też uciskaliśmy innych. Zmuszaliśmy ich do niewolniczej pracy. Jakąś odpowiedzialność za to ponosimy.

I Ty to mówisz, potomek chłopów.

Bo to dotknęło moich dalekich przodków, oni musieli przez to przejść. To było niesprawiedliwe.

A Ty się czujesz odpowiedzialny.

W tym sensie, że nie można tego pominąć. I tak się tego naprawić nie da, ale dla prawdy należy powiedzieć, jak było. Że byli tacy, którzy ten rodzaj wyzysku stosowali. Jestem po stronie pokazywania prawdy.

A zdarza Ci się, że się czujesz winny za coś, co Polacy w przeszłości komuś zrobili?

Tak. Jeśli chodzi o relacje polsko-ukraińskie, to jakąś odpowiedzialność ponoszę. Akcja „Wisła”, wypędzenie Ukraińców z Bieszczad, wypędzenie Łemków, Bojków... Uważam, że trzeba czuć za to odpowiedzialność, bo zrobiono krzywdę tym ludziom wypędzonym, bo bardzo wielu z nich niczym sobie nie zasłużyło na to, żeby tak ich potraktować. Oni czują tę krzywdę, i należy to uznać, powiedzieć: tak, zostaliście skrzywdzeni. My, dzieci tych, którzy wtedy tego dokonywali, czujemy za to odpowiedzialność. Mówimy to po to, żeby te nasze relacje naprawić. Żeby nie było dalszej nienawiści, niechęci, trzeba próbować budować jakiś rodzaj pojednania, porozumienia.

Jak już byliśmy w Sejmie, uważałem, że należy potępić akcję „Wisła” i ona została potępiona. To był ładny gest tej nowej Polski, która powiedziała, że to było zło i że potępia to zło. Tak samo uważam, że wielkim osiągnięciem Kościoła było, że w 1965 r., w 20 lat po wojnie, powiedział sławne: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Dla mnie to było coś olśniewającego, że ktoś zdolny jest coś takiego powiedzieć. Część ludzi pytała wtedy: za co my mamy przepraszać? A ja uważam, że to było wielkie. Jeśli czuję, że jestem częścią tej wspólnoty, to biorę na siebie i dobro, i zło tej wspólnoty. Dobro zostało zrobione, ale, niestety, że złem też musimy sobie poradzić, bo ono skutkuje nadal.

Czyli trzeba wziąć odpowiedzialność za to, co zrobiliśmy złego, nazwać to, powiedzieć o tym głośno, powiedzieć, że próbuje się to jakoś naprawić, bo inaczej to zło się będzie reprodukcować.

Ono się powtarza i ono nas zatruwa. I podobnie jest z Jedwabnem. Dobrze, że ktoś wreszcie tam pojechał, że to zbadał, że to pokazał. To ludzie zrobili ludziom. To był wybuch nienawiści. To jest ludzkie, bo człowiek nie jest święty, w czasie wojny ta złość nagle z człowieka wyłazi nader łatwo.

Tylko nie lubimy tego widzieć.

Potem opowiadamy, że to nie my, za przecząmy. Ja dziś słyszę, że pogrom kielecki to była „provokacja NKWD”. Pro-

wokacja provokacją, ale ludzie dali się sprowokować. Gdyby ludzie powiedzieli: no tak, tak było, tak samo boleję nad tym, co się stało – to oni sami doznaliby pewnego oczyszczenia.

Jak długo się zaprzecza, to nie można się z tym uporać.

Bardziej mnie ta przeszłość niż ta przyszłość boli.

A to ciekawe, bo co do przeszłości, to wiemy na pewno, że nie mamy żadnego na nią wpływu, i nie myśmy w Jedwabnem spalili tę stodołę. A co do przyszłości – można mieć nadzieję, że się ma jakiś wpływ.

To jest tak, że to zło żyje. To zło dokonane kiedyś żyje nadal. Przeszłość żyje w nas. Tego chyba gdzie indziej nie ma. Jedziesz przez Polskę na Wszystkich Świętych i wszystkie cmentarze są zadbane. Wszędzie się świecą światełka. Czy oni kochają tych umarłych, nie wiem, ale jest obowiązek pójścia tam i zadbania. To jest wyraz, że przeszłość w nas żyje, i nam ciąży.

Byłem na odsłonięciu pomnika w Katyniu, mniej więcej 10 lat przed katastrofą smoleńską. Nie wiem, czy wiesz, ale cały tamten las jest grobem. Tam NKWD mordowało masowo ludzi wszelkiej narodowości. I tylko ta polska część jest zadbana, tam każdy ma swoją tabliczkę.

Jesteśmy bardzo połączeni z naszymi zmarłymi. Na razie każdy tu się czuje odpowiedzialny za swój ogródek i groby swoich bliskich na cmentarzu. Może się zreflektujemy i zobaczymy, że pomiędzy domami, pomiędzy cmentarzami jest też przestrzeń wspólna. Oby nie za późno.

Nigdy nie jest za późno. Jakby się powiedziało, że jest już za późno, to znaczy, że człowiek rezygnuje. A tego nam nie wolno zrobić.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

Warszawa, wiosna 2018 r.

Wywiad ukazał się w książce „Rozmowy o odpowiedzialności. Tom 1. Początek”, wyd. Nienieodpowiedzialni.pl.

15 sierpnia 2020 roku Pan powołał do siebie

Ś.†P.

Henryka Wujca

działacza społecznego, polityka, fizyka, uczestnika opozycji demokratycznej w okresie PRL,
współpracownika Komitetu Obrony Robotników, uczestnika głódówki w 1977 roku w kościele św. Marcina,
członka władz NSZZ „Solidarność”, w stanie wojennym internowanego,
uczestnika obrad Okrągłego Stołu, w III RP posła, ministra i doradcę prezydenta RP,
odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą tego orderu.

Od 1961 roku członka Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, byłego członka Zarządu
i Członka Honorowego naszego KIK-u, członka Kapituły Nagrody „Pontifici – Budowniczem Mostów”.
Chrześcijanina. Człowieka pogodnego, dobrego, uczciwego, skromnego i prawego.
Przyjaciela wielu, przewodnika i autorytet kolejnych pokoleń.

Łączymy się w żalobie z Żoną Zmarłego, Synem, Rodziną i Przyjaciółmi.

*Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci.
Niech odpoczywa w pokoju.*

ZARZĄD I PRZYJACIELE Z KLUBU INTELIGENCJI KATOLICKIEJ W WARSZAWIE

Z wielkim żalem
żegnamy

Henryka Wujca

Wielkiego Obywatela
i Przyjaciela Europy,
Działacza Solidarności
i wspaniałego Człowieka.

PRZYJACIELE
I KOLEDZY
Z PRZEDSTAWICIELSTWA
KOMISJI EUROPEJSKIEJ
W POLSCE

Z ogromnym smutkiem żegnamy

Henryka Wujca

Ten wnuk pańszczyźnianego chłopca
całe swoje dorosłe życie
poświęcił obronie praw człowieka.
Jego stanowczy głos zawsze był słyszany,
gdy pojawiały się uprzedzenia rasowe,
ksenofobia, antysemityzm.

Nie zapomnimy!

Wyrazy współczucia
dla Żony Ludki i Syna Pawła.

MARIAN TURSKI
PRZEWODNICZĄCY RADY MUZEUM POLIN

ZYGMUNT STĘPIŃSKI
DYREKTOR MUZEUM POLIN

PIOTR WIŚLICKI
PRZEWODNICZĄCY STOWARZYSZENIA
ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Izba Wydawców Prasy
z głębokim żalem żegna

Henryka Wujca

dobrego i szlachetnego człowieka,
będącego wzorem zachowań obywatelskich.

Henryk Wujec był niestrudzony w swoich działaniach
na rzecz demokracji, wolności i praworządności.

Zaangażowany obrońca wolności słowa
i wolności mediów, człowiek światły,
życzliwy i zawsze chętny do pomocy.

Wartości, które mu przyświecały, stały się filarami polskiej
demokracji i społeczeństwa obywatelskiego.

Henryk Wujec na zawsze zostanie w naszej pamięci
jako symbol wolności i uczciwości. Jego niezłomna
gotowość i odwaga stawania w obronie prawdy i godności
każdego człowieka powinny być zawsze wzorem
dla wszystkich wydawców i dziennikarzy, dla wszystkich
obywateli Rzeczypospolitej. Dla nas wszystkich...

Rodzinie Henryka Wujca składamy wyrazy
głębokiego współczucia.

IZBA WYDAWCÓW PRASY

Z wielkim żalem
żegnamy

Henryka Wujca

Człowieka będącego
symbolem odwagi
i niezłomnego sprzeciwu
wobec reżimu PRL.

Swą zaangażowaną
postawą obywatelską
inspirował naszą Fundację
jako członek jej Rady
w latach 2011–2016.

FUNDACJA
SOLIDARNOŚCI
MIĘDZYNARODOWEJ

Z najgłębszym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość
o śmierci

Ś.†P.

Henryka Wujca

opozycjonisty i więźnia w PRL,
parlamentarzysty i społecznika

w wolnej Polsce,
człowieka odważnej,
zarliwej, cichej,
wytrwałej i skutecznej
służby krajowi, społeczeństwu,
bliźnim.

PRZYJACIELE
z WYDAWNICTWA ZNAK

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o odejściu

Henryka Wujca

działacza opozycji demokratycznej,
uczestnika obrad Okrągłego Stołu,
pośła, sekretarza stanu
i doradcy prezydenta RP,
odznaczonego Krzyżem Kawalerskim
Orderu Odrodzenia Polski
oraz Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą.
Niepowetowana to strata dla nas
i dla polskiej demokracji.

Wyrazy współczucia Rodzinie i Przyjaciółom
składają

Aleksandra Dulciewicz
prezydent Gdańska
oraz

Agnieszka Owczarczak
przewodnicząca Rady Miasta Gdańska

Fundacja Służby Rzeczypospolitej z głębokim żalem żegna

ś.†P.

Henryka Wujca

jednego z Ojców Niepodległości, bohatera walki z komunizmem,
w ostatnich latach głęboko zaangażowanego w realizację celów Fundacji, jej współzałożyciela i członka Rady.

Wyrażamy wdzięczność za dzieło całego życia Henryka Wujca, za trwającą niemal do śmierci aktywność społeczną dla dobra wspólnego, za postawę obywatelskiej służby dla Polski, za uczenie odwagi cywilnej, tolerancji i poszanowania godności każdego człowieka.

Henryk Wujec był gorącym zwolennikiem wzajemnego zrozumienia i pojednania z sąsiadami, głęboko zaangażowanym w integrację Polski z Unią Europejską. Szczególną wagę przykładał do kształtowania pomyślnych relacji polsko-żydowskich.

Wydarzenia, które współtworzył, weszły do historii Polski, począwszy od działalności opozycyjnej w latach 70. i 80. XX wieku, w Komitecie Obrony Robotników, przez udział w protestacyjnych i głodowych strajkach, po budowanie NSZZ „Solidarność”, wreszcie udział w obradach Okrągłego Stołu oraz w tworzeniu niepodległej III Rzeczypospolitej.

Służąc Polsce zapisał się jako ten, który prawdę, prawość, rzetelność i sprawiedliwość stawiał ponad wszystko.

Pogrążeni w smutku z powodu odejścia Człowieka głębokiej wiary, wielkiej skromności i nieposzlakowanej uczciwości, ciepłego i serdecznego w relacjach z ludźmi składamy kondolencje Małżonce, Synowi, Rodzinie i Przyjaciołom.

RADA FUNDACJI: Maciej Zięba – przewodniczący oraz członkowie: Jerzy Buzek, Mirosław Chojecki, Maciej Heydel, Jacek Jezierski, Irena Lipowicz, Adam D. Rotfeld, Marek Safjan, ks. Aleksander Seniuk, Hanna Suchocka, Jacek Taylor, Jakub Wygnański, Andrzej Zoll oraz Zarząd: Piotr Sendeki – prezes, Paweł Gieryński – skarbnik

RADA PROGRAMOWA: Zygmunt Berdychowski, Jacek Cichocki, Borys Czyżak, Zbigniew Derdziuk, Aniela Dylus, Zofia Dzik, Maciej Formanowicz, Andrzej Friszke, Aleksander Hall, Jerzy Hausner, Paweł Horodecki, Jan Jabłkowski, Michał Komar, Jan Malicki, Krzysztof Meissner, Andrzej Porawski, Andrzej Rychard, Piotr Sendeki, ks. Andrzej Szostek, Wojciech Soczewica, Anna Trzeciakowska, Łukasz Turski, ks. Alfred M. Wierzbicki, Jan Zabierzewski, Krzysztof Zanussi, Karol Życzkowski

Żegnamy

Henryka Wujca

Działacza opozycji demokratycznej,
członka Komitetu Obrony Robotników
i NSZZ „Solidarność”, więźnia politycznego,
uczestnika obrad Okrągłego Stołu,
posła na Sejm RP czterech kadencji.

Przyjaciela twórców,
rzecznika i orędownika kultury.
Był człowiekiem wyrozumiałym i cierpliwym,
wrażliwym i serdecznym.
Zawsze dostrzegał drugą osobę,
nigdy się od niej nie odwracał.

Jego Rodzinie i Bliskim
składamy wyrazy współczucia.

PREZES, ZARZĄD I RADA
STOWARZYSZENIA AUTORÓW ZAiKS

Z ogromnym żalem
żegnamy

Henryka Wujca

Ikone „Solidarności”,
praktyka solidarności, człowieka niezłomnego.

Kilka pokoleń Polaków
straciło nauczyciela dialogu,
godności i życzliwej nieustępliwości.

Nie zapomnimy o Nim.

Cześć Jego pamięci!

BORYS BUDKA
PRZEWODNICZĄCY
PLATFORMY OBYWATELSKIEJ
oraz

PARLAMENTARZYŚCI
KOALICJI OBYWATELSKIEJ



WIARA

OBRAŹNICY I OBRAŹNICZKI

Bywa, że przychodzi ktoś nowy, ale tylko na jedną pielgrzymkę czy sezon.
Za każdym razem układu trzeba uczyć się od nowa, tłumaczyć savoir-vivre,
wdrażać w technikę pokłonu feretronów.

KRYSZYNA WEIHER-SITKIEWICZ

„Taniec feretronów” podczas odpustu
Trójcy Świętej w Kalwarii Wejherowskiej,
31 maja 2015 r.



LUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

O co tyle hałasu

Oto kaszubski pokłon feretronów. Obrzęd praktykowany podczas lokalnych pielgrzymek, polegający na tym, że cztery panny lub czterej kawalerowie (rzadziej żonaci mężczyźni) wykonują w ramach powitania lub pożegnania wymachy dwustronnym obrazem lub figurą z wizerunkami świętych. Wymach jest podporządkowany konkretnemu układowi w rytm tuszu granego przez orkiestrę.

Obrażnicy lub obraźniczki – tak nazywa się osoby kultywujące obrzęd – sami układają sekwencję gestów. Najczęściej jest to ukłon w układzie krzyża, pokłon do tyłu i przodu lub ruchy na planie koła. Można potrząsać obrazem lub delikatnie bujać. Podobno niektórzy feretron podrzucają – to imponujący wyczyn, bo obrazy ważą od 30 do nawet 110 kilogramów.

W najstarszym regulaminie z XVIII w. znajduje się zastrzeżenie, że noszenie obrazu jest przeznaczone tylko dla mężczyzn. Regulamin sobie, a życie sobie. Na Kaszubach kobiety noszą feretrony „od zawsze”. Jest jedno „ale”: muszą być niezamężne (w domyśle: być dziewicami), co symbolizować ma wianek z zielonej mirty na głowie. Obrażniczkami są i dziewczynki, i dorosłe kobiety. W zależności od wagi obrazu.

Czasem pokłony ogląda na żywo kilkutysięczna publiczność.

Jak zostać obraźnikiem

– Gdy byłam mała, bardzo chciałam być obraźniczką. Mój pradiadek nim był. Babcia też chciała, ale niestety, nigdy nie nadeszła jej kolej. Zawsze obsada obrazu była pełna – mówi Natalia Kleina z Szemudu k. Wejherowa, obraźniczka od 9 lat. – Dorastając w kulcie obraźnictwa, ćwiczyłam noszenie w domu. Feretron zastępowało mi krzesło. Brałam je na ramiona i chodziłam z nim po mieszkaniu. Wykonywałam pokłony w rytm tuszu, który nuciła mi babcia.

Na pielgrzymce obraźnictwo to wyróżnienie. Bywa, że księża zachęcają do aktywnego uczestnictwa albo robią to osoby, które z konieczności muszą zna-

leźć zastępstwo – bo wychodzą za mąż, żenią się lub wyprowadzają do innej miejscowości.

Dorota Kwidzińska ze Swarzewa k. Pucka była obraźniczką przez kilkanaście lat. – Same regulowałyśmy, kto zajmuje się feretronem, nie było oficjalnych zrzeczeń, kół – mówi. To ksiądz proboszcz zapytał ją, czy chce nosić feretron. – Był to dla mnie wielki zaszczyt.

Barłomiej Muński, rzecznik Kalwarii Wejherowskiej, podkreśla, że obecnie nie ma kryteriów wyboru obraźników, wystarczyć chęć i bycie panną lub kawalerem.

Dawniej było inaczej. Teresa Kaim z Łebcza, która była obraźniczką 50 lat temu, opowiada, że wtedy tylko ksiądz decydował, kto może być obraźnikiem. Wszystko zależało od tego, jak się dana osoba prowadziła i z jakiej rodziny pochodziła. Ksiądz Leszek Jażdżewski z Gdańska-Oliwy przypomina, że w latach 60. XX w. trzeba się było wkupić w bractwo obraźników, a za członkostwo się płaciło. To był zaszczyt, dotyczył przede wszystkim mieszczan z majątkiem.

Na korkach z chleba

Ci mniej lub w ogóle niedoświadczeni powinni trzymać się z tyłu. To ci z przodu nadają tempo i rytm. Obrażniczki ze Swarzewa opowiadają o ustalonej, przestrzeganej hierarchii. Musiało być sześć osób: dwie chorągwie i feretron. Najniższa stopniem nosła błękitną chorągiew, następnie czerwoną. Gdy awansowała, nosła feretron z przodu z lewej strony, potem z prawej, potem z tyłu z lewej, a na końcu – z prawej strony z tyłu.

Mając 14 lat Teresa Kaim z Łebcza była niższa niż inne obraźniczki, więc, aby im dorównać, musiała na pierwszej pielgrzymce iść w butach z obcasem. – Zrobiłam sobie takie specjalne korki ze świeżo upieczonego chleba i wsadziłam je do butów, aby dorównać innym wzrostem i aby się lepiej nosło – wspomina.

Przed pokazem obraźnicy spotykają się kilka razy, aby poćwiczyć. Próby odbywają się bez orkiestry, podkład włączają w telefonie, ewentualnie ktoś im zanuci, rzadziej przygrywa parafialny organista. Przygotowania trwają dłużej, gdy większość zespołu stanowią nowe osoby. Wówczas – o ile nie są skonfliktowani – pomagają im poprzednicy. W przeciwnym razie ćwiczą na podstawie filmów z pokłonami z poprzednich lat.

FILM POJAWIA SIĘ PRZYNAJMNIEJ RAZ w roku. Na „śmiesznych stronach” w internecie. Wywołał furorę na instagramowym profilu „Vogule Poland”. W tym roku satyryczny duet Make Life Harder zaktualizował go o „hymn pandemii”, piosenkę „Coffin Dance”. Pod filmem komentarze: „żenujące, coś takiego tylko w Polsce!”, „WTF?!” „normalnie Afryka”, „patola”. Mieszą się ze sobą: oburzenie, rasizm i wstyd za „dzikich”.

Na Facebooku też lament – wyższościowy („Tak wygląda polski katolicyzm!”) albo świątobliwy („Jak im nie wstyd tak płasnąć ze świętym obrazem? Kto im na to pozwolił?”).

→ Podczas prób przyszywają do ramion poduszki, które będą amortyzowały ciężar feretronu albo robią dodatkowe rączki, które ułatwiają trzymanie obrazu podczas pokłonu. Feretronem opiekuje się wyznaczona osoba: pierze tekstylne ozdoby, dba o kwiaty – zrywa polne lub odkurza sztuczne.

Układ „Wow”

Obrażnikom trudno utrzymać stały skład. Bywa, że przychodzi ktoś nowy, ale tylko na jedną pielgrzymkę czy sezon. Za każdym razem trzeba uczyć się od nowa układu, wdrażać w technikę, tłumaczyć pielgrzymkowy *savoir-vivre*.

– Przychodziła na próby dziewczyna, której chyba nie zależało – mówi Natalia. – Nosiła krótkie spodenki, głany, miała duży dekolt. Powiedziałam jej, że tak nie wypada do obrazu. Należy się szacunek Matce Bożej. Miała do wyboru: przebrać się albo zrezygnować. Zrezygnowała. To dobrze. Przynajmniej znaleźliśmy godną następczynię.

Gdy podczas pielgrzymki jest się na widoku, łatwiej znaleźć chłopaka lub dziewczynę. Większość obraźników stanowią panny i kawalerowie. Decydując się potem na ślub, muszą pożegnać się z feretronem – przekazują go kolejnej zaufanej i godnej pannie lub kawalerowi. Towarzyszą temu: przekazanie szarfy, ucałowanie obrazu, złożenie przed nim kwiatów. Bywa, że feretron żegna się ze swym obraźnikiem pokłonem wykonanym z pomocą innych obraźników. Bo feretron nie ma kolegów i koleżanek. Bywało, że pokłon żegnał zmarłego obraźnika.

Natalia, planując ślub, obmyśla, jak najlepiej rozstać się z obrazem. W jej parafii są dwa feretrony. – Długo zastanawiałam się, dopytywałam byłych obraźników, i na tę chwilę zdecydowałam, że pożegna mnie niebieski obraz. Pierwszy, z którym szłam – mówi. – Widzę to tak, że odprowadzi mnie do ołtarza. Najpierw pójdzie obraz, potem ja z moim ojcem. Po mszy zaniemiemy z mężem do niego bukiet

Pomorskie odpusty

W WEJHEROWIE co roku jest pięć odpustów: uroczystości odbywają się w pierwszą niedzielę po święcie Wniebowstąpienia Pańskiego, Trójcy Przenajświętszej, Uzdrawienia Chorych, Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i Podwyższenia Krzyża Świętego.

W SWARZEWIE odpusty odbywają się w pierwszą niedzielę po święcie Matki Boskiej Szkaplerznej (16 lipca) i święcie Narodzenia Najświętszej Maryi Panny (8 września). Podobne odpusty organizuje się też

W WIELU I STANOWIE, RUMI I LUZINIE. Pielgrzymki zmierzają do sanktuariów w tych miejscowościach. Kulminacyjnym punktem uroczystości jest zakończenie mszy odpustowej i następujący po niej ceremoniał pożegnania pielgrzymów – uroczyste pokłony feretronów. ©

– patronem obrazu jest Matka Boża, którą poprosimy o łaski na nowej drodze życia.

Maria Ceynowa ze Swarzewa wspomina, że kiedyś obraźniczka zaszła w nieślubną ciążę. Wtedy jej feretron miał załobę: zawieszano na nim czarną wstęgę.

To, co widać na prześmiewczych filmach w internecie, i co jest wykonywane przy ołtarzach podczas odpustów – to pokłony feretronów. Ale na pielgrzymkach jest też taniec feretronów. Nie jest on wykonywany do oficjalnego tuszu, ale do każdej piosenki, którą zagra orkiestra. Obrażnicy i obraźniczki wykonują wówczas ruchy feretronem tak, by pasowały do rytmu. Tańczą się w przerwach albo w drodze powrotnej do domu.

Natalia wymyśliła układ „Wow”. Gdy wykonały go po raz pierwszy w Wejherowie trzy lata temu, zrobił piorunujące wrażenie na pielgrzymach. Dziewczyny pokazały energię i świeżość! Ruszały nim do góry, robiły obroty, podrzucały na boki. By zapamiętać choreografię, Natalia zapisała kolejność ruchów na kartce i kazała dziewczynom nauczyć się ich na pamięć.

„Nowoczesne”, „prowokujące”

Popularność na Instagramie spowodowała nie tylko niewybredne komentarze internautów. Dzięki nim kaszubskie pokłony trafiły do popkultury – a nawet sztuki wysokiej. Pojawiły się na wystawie „Późna polskość. Formy narodowej tożsamości po 1989 roku”, której kuratorami byli Ewa Gorzadek i Stach Szablowski, a także w filmach „Opera o Polsce” (2017) w reż. Piotra Stasika oraz „Wieża. Jasny dzień” (2017) Jagody Szelc.

Kuba Woyнарowski, współautor części wystawy, mówi, że z tą tradycją zetknął się po raz pierwszy kilka lat temu na Facebooku. Dostrzegł w nich performatywny potencjał. – Zaintrygował mnie dysonans występujący między głębokim zakorzenieniem tego obyczaju w katolickiej tradycji a jego zaskakująco „nowoczesną”, prowokującą formą, przez część konserwatywnie usposobionych odbiorców uznawaną wręcz za obrazoburczą – tłumaczy.

Wraz z artystą Jakubem Skoczkiem i Pawłem Rojkiem przygotował instalację „Epoka Błękitu” – alegorię „awangardowego konserwatyzmu”, na którą złożyło się m.in. nagranie wideo przedstawiające studyjną rejestrację pokłonu feretronu z udziałem czterech obraźniczek w strojach regionalnych, z wykorzystaniem oryginalnego feretronu.

Obrażniczki, ksiądz i cała parafia byli dumni z udziału w wystawie. Natalia wspomina, że wernisaż był dla nich doniosłym wydarzeniem, a instalacja przypadła wszystkim do gustu.

„Desperackie”, „jarmarczne”

Piotr Stasik, gdy zobaczył w internecie nagranie z obrazem, wiedział, że przyda mu się to do filmu. Jego „Opera o Polsce”, tłumaczy, to gorzki portret Polski i Polaków: zamiast głębokiej wiary widzimy powierzchowną religijność, opartą na banalnych symbolach. Ukazuje, jak ważną rolę odgrywa w Polsce kult przedmiotu: relikwie, czerwone buty Jana Pawła II. Do jednego worka wrzucone zostały rekonstrukcje bitew, odpusty, festyny i procesja z okazji święta Bożego Ciała.

Ważnym elementem takiego wizerunku Polski katolickiej są pokłony feretronów. Na początku filmu oglądamy Bractwo Krzyża Świętego z Kościerzyny, potem pojawiają się pierwsze pokłony feretronów w Kalwarii Wejherowskiej. Wtórują im pątnicy, którzy żywo re-

agują, nagradzają brawami. Scenę z obrzędem reżyser zestawiał z szaleństwem zakupów i trawaniem się przed wejściem do hipermarketu. Następnie widzimy młode dziewczyny wykonujące pokłony w kościele. Obrazy te mieszają się między innymi z „Błędnym kołem” Jacka Malczewskiego oraz kibolami na meczu.

Stasik mówi, że jego stosunek do zwyczaju jest mieszany: – Z jednej strony podobają mi się, bo jest jednym z niewielu obrzędów w Kościele, który jest radosny, związany z zabawą, z przymrużeniem oka. Z drugiej zaś mam poczucie pomieszczenia porządków i nawet dziwi mnie brak reakcji wiernych czy księży na sposób, w jaki podrzucają się wizerunki Matki Boskiej czy papieża. Szczególnie, gdy dzieje się to w rytm często kiepskiej muzyki. W dodatku jest to ubrane w formę rywalizacji, jakichś pseudozawodów sportowych. To wszystko jest dla mnie kiczowate i świadczące o jakimś zagubieniu. Jakiejś desperackiej, jarmarcznej próbie pozyskania przychylności i pokłasku wiernych.

I dodaje: – Zwyczaj skojarzył mi się z chocholim tańcem, w którym kręcimy się, bo ktoś nam klaszcze, bo to się podoba, ale do końca nie wiemy, co to ma oznaczać.

Prawdopodobnie tak właśnie postrzega pokłony feretronów większość ludzi, która zetknęła się z nimi w internecie.

Rytuał ma boleć

Film Jagody Szcel „Wieża. Jasny dzień” opowiada o dwóch porządkach: natury i kultury. O tym, co pogańskie, bliskie popędowi i przecuciu, i o tym, co wykształcone przez cywilizację, dogmaty Kościoła i chłodne kalkulacje. Dwa porządki reprezentują dwie siostry: Kaja i Mula. Ta, która jest bliższa naturze, zdaje się być szalona, druga z kolei z matematyczną precyzją planuje każdy dzień.

Pokłony feretronów pojawiają się w filmie podczas pierwszej komunii. Córka bohaterki przystępuje do niej siłą rozpędu: „bo tak robią wszyscy”. Nie ma w tym święcie sakralnego namaszczenia, głębokiej wiary. Pokłony feretronów jawią się tu dwojako. Możemy na nie patrzeć jak na obrzęd-wydmuszkę, który świadczy o pustej dewocji. Albo jako na coś pogańskiego, co przenikło do kościelnych obrzędów, co wyrasta z ludowości, żywych potrzeb wspólnoty.

Kiedyś obraźniczka zasłała w nieślubną ciążę.

Wtedy jej feretron miał żałobę: zawieszano na nim czarną wstęgę.

W filmie Szcel nie daje odpowiedzi. Bohaterowie zapowiadają pokłon słowami: „A teraz stary kaszubski zwyczaj”. Resztę widz musi sobie dopowiedzieć sam.

Jagoda Szcel: – Użyłam tańca ze świętym obrazem, ponieważ dla mnie wyglądało to jak szarpanina ze świętym. I dla mnie jest w tym coś bardzo niepokojącego. Nie oznacza to, że dla mnie jest to śmieszne. Uważam, że w rytuałach powinny być elementy transgresyjne, nawet z rejestru walki. Mówiąc krótko: rytuał z założenia ma boleć. Inaczej nie zapewni przebiecia.

W innej sieci

Obrazek z odpustu w Sianowie: jedenaścieletnie dziewczynki z miejscowej parafii, ubrane w czerwone kaszubskie spódnice, białe koszule, z czerwonymi kokardkami pod szyją, z wiankami kwiatów na

głowach, stoją obok feretronu z figurką małego Chrystusa. Opiekują się nim do słowności: jedna z dziewczynek trzyma Chrystusa za rączkę, druga głaszcze go po główce.

To dopiero ich druga pielgrzymka. Są pewne, że za rok też przyjdą. Zgadniają się na pamiątkowe zdjęcie.

W 2020 r. dwie pielgrzymki w Wejherowie odbyły się online. Wiele parafii zrezygnowało z niesienia obrazu do Sianowa. – Przez pandemię zamiast osiem, tylko pięć razy będę niosła obraz. Za dwa lata wychodzę za mąż i to moje ostatnie sezony z pokłonami – mówi Natalia.

Idę z młodymi obraźniczkami już czwartą godzinę w pielgrzymce. Upał nieznośny. Dziewczyny dźwigają trzydziestokilowy feretron. Wesoło śpiewają, plotkują, uśmiewają się do chłopaków. Przez kilka tygodni ćwiczyły swój układ, przygotowywały stroje, dbały o obraz. Po wszystkim wrzucały zdjęcia i filmy na Facebooka. Policzą lajki.

Tu w komentarzach nie będzie mowy o obciachu.

© KRYSZYNA WEIHER-SITKIEWICZ

Autorka jest antropolożką, filmoznawczynią i animatorką kultury. Obecnie adiunktka w Oddziale Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku.

POŻEGNANIA

Ze smutkiem zawiadamiamy, że dnia 18 sierpnia 2020 r. w wieku 90 lat odeszła od nas nasza Mama, Babcia i Prababcia

ś.†P.

Zofia Skwarnicka

Pogrzeb wraz z Mszą św. żałobną odbędzie się dnia 26 sierpnia 2020 r. o godz. 10.00 w opactwie Benedyktynów w Tyńcu

DZIECI Z RODZINAMI

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś.†P.

Zofii Skwarnickiej

Rodzinie i bliskim Zmarłej składamy wyrazy głębokiego współczucia

ZESPÓŁ „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Biskup sobiepan

JÓZEF MAJEWSKI

**Od czasu Soboru
Watykańskiego II dominująca
w teologii interpretacja
władzy biskupiej doprowadziła
w Kościele do chorej sytuacji.**

WYOBRAŹMY SOBIE: OTO BISKUP JEDNEJ diecezji jest świadkiem tego, jak biskup innej diecezji przenosi księdza pedofila z jednej parafii do drugiej, następnie wulgarnie poniża grupę swoich księży, a do tego głosi teologiczne głupstwa, np., że przez święte kapłańskie ręce żaden wirus nie przejdzie na przyjmujących komunie. Sytuacja boli tego pierwszego biskupa, ale nie reaguje. Zapytany, dlaczego, odpowiada: „Jako człowiek, owszem, powinienem prze-

ciwdziać, ale jako biskup... nie mogę... Doktryna o władzy biskupiej w Kościele mi na to nie pozwala”.

Właśnie taka teologia władzy biskupiej zda się dziś całkiem popularna. W obliczu grzechu czy głupoty jakiegoś biskupa związuje ręce nie tylko jednemu bolejącemu hierarsze. Na nic się zda nawet cały bolejący episkopat danego kraju, bo ten z zasady właściwie nie może żadnego biskupa do niczego zobowiązać. Tej konkretnej trudnej sytuacji mógłby zaradzić papież, biskup Rzymu, i tylko on, ale papież jest daleko, a do tego musi mieć na oku, bagatela, blisko 5,4 tys. wszystkich biskupów na całym świecie, grubo ponad 400 tys. księży, 642 tys. zakonnic, 44 tys. diakonów stałych, 51 tys. braci zakonnych, a na dodatek ponad 1,3 mld świeckich katolików.

Problematyczne wyjaśnienia

Czasami można odnieść wrażenie, że biskupi, zamiast tworzyć „kolegium naśpępców apostołów”, czyli wspólnotę osób biorących na siebie brzemie współodpowiedzialności za Kościół, jak postanowił Sobór Watykański II, raczej tworzą coś w rodzaju mgławicy niezależnych od siebie monad bez okien, z których każda

zda się zajęta swoimi sprawami, odpowiedzialna zasadniczo wyłącznie za siebie i praktycznie tylko przed samą sobą.

W miarę regularnie przekonujemy się o tym biskupim monadyzmie w Kościele nad Wisłą, choćby słysząc w mediach bolejących hierarchów, którzy tłumaczą brak swojej reakcji „brakiem tytułu” do zajmowania się innymi biskupami i odsyłają do nuncjusza. Albo mówiących: „Kościół jest tak skonstruowany, że liczy się jeden biskup z jego diecezją i cały Kościół powszechny. Stosunkowo najmniej ważny jest Kościół w jakimś kraju, a zatem także jego episkopat, który stanowi anonimowe gremium, a nie kolegium naśpępców apostołów”.

Z tego rodzaju tłumaczeniami wiąże się przynajmniej dwa problemy. Po pierwsze, zda się z nich wynikać, że Kościół powszechny to coś od nas (bardzo) oddalonego, że nie ma on jakoby styczności z Kościołem w moim kraju, a przecież Kościół w każdym kraju, także w mojej ojczyźnie, każda jego diecezja, jest jednocześnie Kościołem powszechnym. Powszechny to z grecka *katholikos* (katolicki). Być odpowiedzialnym za Kościół powszechny to być odpowiedzialnym także za swoją diecezję i diecezje sąsiednie.

Po drugie, wizja Kościoła przedstawionych biskupich wyjaśnień nie w pełni harmonizuje z koncepcją Franciszka, która wciąż z trudem przebija się do świadomości i życia Kościoła. Obie te koncepcje różni przede wszystkim inne pojmowanie tego, co w języku Kościoła nazywa się kolegialnością biskupią. Kolegialność to kluczowe pojęcie dla pojmowania władzy w Kościele. Wskazuje na sprawę współodpowiedzialności biskupów, na czele z biskupem Rzymu, za kierowanie Kościołem oraz na zagadnienie uprawnionych form realizacji tej odpowiedzialności. Pod tym względem wielu biskupom dzisiaj bliżej do wizji Jana Pawła II czy Benedykta XVI niż Franciszka. Obecny papież idzie w tej materii inną drogą niż poprzednicy, mocniej – jak sądzę – trzymając się ustaleń i intuicji ostatniego Soboru. Aby to lepiej zrozumieć, trzeba cofnąć się w czasie do dwóch ostatnich soborów: Watykańskiego I (1869-70) i Watykańskiego II (1962-65).

Kłeska ortodoksji?

Jednym z najważniejszych zadań Vaticanum II było wzmocnienie roli bisku-

pów, tym samym wzmocnienie Kościołów lokalnych, a ostatecznie dokonanie niejakej decentralizacji Kościoła. W wieku XIX i pierwszej połowie XX cała władza skupiała się praktycznie w papieżu (i Kurii Rzymskiej), czego efektem, ale i źródłem eskalacji okazało się ogłoszenie na Vaticanum I dogmatu o papieskim prymacie i nieomylności w sprawach wiary i moralności. Za dogmatem ruszyła w Kościele istna lawina kultu papieża, nierzadko o znamionach bałwochwalstwa. Biskupom w tamtych czasach przypadła rola wykonawców rozkazów „pana na Watykanie”, przedłużenia ramion tego iście boskiego namiestnika, nieomylnego i wszechwładnego. W obowiązującej wówczas wizji władza biskupów miała pochodzić z nadania papieża, nie zaś być dziełem Boga.

Sobór Watykański II stanął przed wyzwaniem przezwyciężenia tej jednostronnej wizji. Jego zwołanie – jak mówił Paweł VI – było konieczne, aby naprawić, uzupełnić i dopełnić to, czego zabrakło Soborowi Watykańskiemu I, który skoncentrował się na władzy papieża, w cień pozostawiając rolę innych biskupów. Tym samym Vaticanum II musiał zająć się sprawą ich kolegalności, od dłuższego już czasu zarzuconą. Ostatecznie właśnie kolegalność stała się jednym z kluczowych punktów obrad Soboru, jak i jednym z jego największych osiągnięć. Yves Congar, dominikanin i jeden z soborowych ekspertów teologicznych, nie miał co do tego złudzeń: „Sobór wypracował

przede wszystkim naukę o kolegalności”.

Decydujące znaczenie dla doktryny Vaticanum II o kolegalności biskupów miało głosowanie nad nadzwyczaj „kontrowersyjnymi” czterema tezami, nad którymi podczas obrad przetoczył się huraganowy spór między konserwatystami i liberalami:

1. Konsekracja biskupa jest najwyższym stopniem święceń sakramentalnych.

2. Każdy we właściwy sposób wyświęcony biskup w komunii z innymi biskupami i biskupem Rzymu stanowi kolegium biskupów.

3. Kolegium biskupów poprzez swoją działalność ewangelizacyjną, uświęcającą i przewodzącą jest następcą Kolegium apostołów i zawsze w komunii z biskupem Rzymu sprawuje pełną i najwyższą władzę w Kościele powszechnym.

4. Tak rozumiana władza Kolegium Biskupów, w jedności z biskupem Rzymu, pochodzi z prawa Bożego, a nie z nadania papieża.

Głosowanie okazało się pełnym triumfem liberalów. Ojcowie soborowi przyjęli te cztery tezy zdecydowaną większością głosów (pierwszą: 2123 do 34; drugą: 2143 do 104; trzecią: 2148 do 336 oraz czwartą: 2138 do 408). Przegrani konserwatyści, na czele z hierarchami Kurii Rzymskiej, wynik głosowania uznali za nieszczyćście i klęskę katolickiej ortodoksji.

„Zmartwychwstanie” biskupów na Soborze Watykańskim II dobrze widać

w zreformowanym w duchu jego nauczania, a opublikowanym w 1983 r. Kodeksie prawa kanonicznego, regulującym podstawowe prawne ramy życia Kościoła. Sporo na ten temat mówią już same językowe statystyki: wystarczy powiedzieć, że słowo „biskup”, rzeczownikowo i przymiotnikowo, w kanonicznej wersji łacińskiej Kodeksu pojawia się aż 840 razy, a zatem na każdej z wszystkich ponad 283 stronach wydania, z którego korzystam, występuje średnio 3 razy! Nawet „Kościół” pojawia się raptem tylko 759 razy. Ewidentnie widać, że Kościół biskupami stoi.

Posoborowy spór

Tymczasem soborowe głosowanie czterech tez nie zakończyło sporu, który po Vaticanum II skupił się w głównej mierze na pytaniu o formy realizacji kolegalności. Z grubsza spierają się w nim dwie koncepcje: wąska i szeroka.

Według koncepcji wąskiej, spadkobierczyni soborowego stanowiska konserwatystów, ciężącej ku centralizmowi Kościoła, biskupi swoją kolegalną władzę sprawują wyłącznie w dwóch wypadkach: na soborach powszechnych oraz wtedy, gdy papież wyraźnie wzywa wszystkich biskupów do konkretnego aktu pod jego kierownictwem. W obu wypadkach chodzi o jednoczesne, niejako synchroniczne działanie wszystkich biskupów. Częściowe ich działania i zgromadzenia, które angażują tylko część hierarchów, np. synody (nawet z udziałem papieża) →

REKLAMA

Pedagogika Teatru

Studia podyplomowe

Zgłoszenia:
do 18 września 2020

Więcej informacji:
Instytut Kultury Polskiej UW

Rozmowy kwalifikacyjne:
24-25 września 2020

e-mail: podyplomowe.ikp@uw.edu.pl
facebook.com/StudiaPedagogikaTeatru



INSTYTUT
KULTURY
POLSKIEJ



instytutteatralny
im. Zbigniewa Ziembkowskiego

→ czy konferencje biskupów – nie posiadają w tym ujęciu kolegialnej władzy w sensie ścisłym, nie są realizacją autentycznej kolegialności. Koncepcję wąską znajdujemy w nauczaniu Jana Pawła II, a na jej straży stał kard. Joseph Ratzinger, ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary i później szczy papież Benedykt XVI.

Natomiast według koncepcji szerokiej, spadkobierczyni stanowiska soborowych liberałów, zmierzającej do decentralizacji Kościoła, kolegialność można realizować w różnym stopniu. Biskupi w najwyższym stopniu kolegialnie działają w obu wspomnianych wypadkach, ale nie tylko: w mniejszym stopniu mogą ją sprawować w węższych zgromadzeniach, gdy spotykają się i działają w komunii z innymi biskupami, na czele z papieżem – by wypełniać swoje pasterskie zadania. W takiej sytuacji biskupi sprawują kolegialną władzę w sensie właściwym, chociaż nie w jej pełni.

Koncepcja szeroka powołuje się na przykład władzy papieskiej, która również realizowana jest w różnym stopniu. Oczywiście jest, że biskup Rzymu nie angażuje władzy prymatu w takim samym stopniu w każdym czasie i w każdej sytuacji, co nie znaczy, że raz sprawuje władzę, a innym razem ją zawiesza czy z niej rezygnuje. W najwyższym stopniu angażuje prymat, gdy naucza *ex cathedra* (ogłasza dogmat) lub gdy ustanawia prawo dla Kościoła powszechnego, ale w taki sposób działa bardzo rzadko. W innych sytuacjach sprawuje prymat w mniejszym i zróżnicowanym stopniu. Prymat pozostaje prymatem, nawet jeśli papież nie sprawuje go w najwyższym stopniu, w przeciwnym razie codzienne kierowanie Kościołem byłoby niemożliwe.

Analogicznie – według zwolenników koncepcji szerokiej – biskupi sprawują swoją kolegialną władzę w różnym czasie i w różnych sytuacjach w różnym stopniu. Szerokie pojmowanie kolegialności bliskie jest Franciszkowi.

Kolegium czy kolektyw?

W koncepcji wąskiej konferencje biskupów w konkretnych krajach są tworam, którym brakuje uzasadnienia teologicznego, i którym zasadniczo nie przysługują autorytet doktrynalny. Episkopaty w istocie nie są formą realizacji kolegialności. Nie są kolegiami, ale jedynie kolektywami. W takim duchu nauczanie

Kolegialny charakter
episkopatów zakłada,
że biskupi są wzajemnie
**odpowiedzialni za wszystkie
diecezje świata,**
nade wszystko te,
w których źle się dzieje.

Soboru Watykańskiego II interpretował kard. Joseph Ratzinger. Klarownie stanowisko to zaprezentował w 1984 r. w głosnej książce „Raport o stanie wiary”: „Należy pamiętać, że Konferencje Biskupów nie mają teologicznych uzasadnień i nie są częścią nieusuwalną Kościoła, spełniają tylko funkcje praktyczne. (...) Kolektyw nie może więc zastąpić osoby biskupa (...). Żadna konferencja biskupów nie posiada sama z siebie misji nauczania. Także jej dokumenty nie mają jakiegos specjalnego znaczenia, ale takie, jakie nadają im poszczególni biskupi”.

Trudno jednak zgodzić się ze stanowiskiem, że zdecydowana większość ojców soborowych uważała konferencje biskupów za „kolektyw”, twory pozbawione kolegialności. Przecież w Konstytucji dogmatycznej o Kościele przyrównali je do starożytnych „kolegialnych” Kościołów patriarchalnych: Kościoły te „będące niejako macierzami wiary, zrodziły z siebie inne, jakby córki, i aż do naszych czasów pozostały związane z nimi ściślejszymi więzami miłości w życiu sakramentalnym i we wzajemnym poszanowaniu praw i urzędów. (...) W podobny sposób Konferencje biskupów mogą dziś wnieść różnorodny i owocny wkład do konkretnego urzeczywistnienia się pragnienia kolegialności” (nr 23). Z kolei w Konstytucji dogmatycznej o Liturgii Sobór udzielił konferencjom biskupów znaczącego autorytetu w sprawach liturgicznych (por. nr 22, 36, 39).

Stanowisko kard. Ratzingera bliskie było Janowi Pawłowi II, czego świadectwo można znaleźć w takich dokumentach jak „Apostolos suos” (1998) i „Pastores gregis” (2003). W pierwszym z nich papież jasno stwierdził, że najwyższa władza biskupów może być sprawowana kolegialnie tylko na soborach i wtedy, gdy biskup Rzymu wezwie wszystkich biskupów, rozproszonych po świecie, do kole-

gialnego aktu albo wyrazi zgodę na ich kolegialne działanie lub za takie uzna ich nauczanie. „Tego rodzaju działanie kolegialne – czytamy – nie występuje na płaszczyźnie poszczególnych Kościołów partykularnych [diecezja] oraz ich zrzeszeń utworzonych przez ich biskupów” (nr 10). Biskupim zgromadzeniom węższym niż soborowe nie przysługuje kolegialność w sensie właściwym (por. nr 12).

Franciszek nie uznał nauczania Jana Pawła II o konferencjach biskupów za ostatnie słowo Magisterium Kościoła. W swoim programowym dokumencie – adhortacji „*Evangelii gaudium*” (2013) – kolegialność opisał w duchu koncepcji szerokiej: „Sobór Watykański II stwierdził, że w sposób analogiczny do Kościołów patriarchalnych konferencje biskupów mogą »dziś wnieść wieloraki i owocny wkład do konkretnego urzeczywistnienia się poczucia kolegialności« (Konstytucja dogmatyczna o Kościele, nr 23). Jednak to życzenie nie urzeczywistniło się w pełni, ponieważ nie wyjaśniono dostatecznie statusu konferencji biskupów, który by je pojmował jako podmioty o konkretnych kompetencjach, łącznie z pewnym autentycznym autorytetem doktrynalnym” (nr 32). Zwracam uwagę zwłaszcza na ostatnie słowa.

O kolegialnym traktowaniu konferencji biskupów przez Franciszka świadczy, jak sądzę, również fakt, że w swoich dokumentach – inaczej niż Jan Paweł II czy Benedykt XVI – cytuje ich wypowiedzi. Na przykład w „*Evangelii gaudium*” czyni to siedem razy (Konferencja Biskupów Indii, V Konferencja Ogólna Episkopatu Ameryki Łacińskiej i Karaibów, Konferencja Biskupów Francji, Krajowa Konferencja Biskupów Brazylijskich, Konferencja Biskupów Katolickich na Filipinach, Komitet Doktryny Konferencji Biskupów Katolickich Stanów Zjednoczonych, Stały Komitet Krajowej Konferencji Biskupów Konga). W adhortacji „*Amoris laetitia*” dokumenty różnych konferencji biskupów przywołane są dziesięć razy, a w encyklice „*Laudato si*” – aż 21.

Do tego wszystkiego obecny papież jako pierwszy biskup Rzymu w dziejach Kościoła włączył do „*Acta Apostolicae Sedis*”, urzędowego organu Stolicy Apostolskiej, gdzie promulguje się prawo powszechne dla całego Kościoła, dokument autorstwa jednej konferencji biskupów – Argentyny – w sprawie adhortacji „*Amoris laetitia*”.

Franciszek pokazał, że konferencje biskupów traktuje jako ciała kolegialne także w nowelizacji kanonu 838 Kodeksu prawa kanonicznego, który teraz przyznaje konferencjom prawo zatwierdzania i wydawania ksiąg liturgicznych, i to bez aprobaty Stolicy Apostolskiej, co wcześniej było nie do pomyślenia.

W świetle decentralistycznych posunięć Franciszka oraz kolejnych jego gestów i wypowiedzi, które akcentują kolegialny charakter konferencji biskupów, jasne staje się, że biskupi nie mogą być monadami bez okien, zajętymi wyłącznie sprawami swoich własnych Kościołów lokalnych, odpowiedzialnymi tylko za siebie i wyłącznie przed samymi sobą, a tym bardziej czuć się panami na swoich włościach, traktującymi swój Kościół lokalny niczym folwark, z przeświadczeniem, że nikt, żaden inny biskup – prócz (odległego) biskupa Rzymu – nie ma prawa wtrącać się do jego „prywatnego królestwa”.

Kolegialny charakter episkopatów zakłada, że są one i ich członkowie wzajemnie odpowiedzialni za swoje własne diecezje i Kościół powszechny, a zatem za wszystkie diecezje świata, nade wszystko te bliskie, sąsiednie, i przede wszystkim te w potrzebie, którym i w których źle się dzieje, w szczególności sposób zaś za te, w których źle dzieje się z powodu ich własnych biskupów.

Nie jest rozwiązaniem cedowanie przez biskupów kolegialnej odpowiedzialności na biskupa Rzymu. Nie taka jest jego rola i zadanie, jak stwierdził to zresztą sam Franciszek w swoim programowym dokumencie: „Nie uważam (...), że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest stosowne, żeby papież zastępował miejscowe konferencje biskupów w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«. (...) Przesadna centralizacja zamiast pomagać, komplikuje życie Kościoła oraz jego dynamizm misyjny” (nr 32). Konsekracja na biskupa, a zatem także kolegialność – to przywiłój, ale może bardziej trud i brzemień.

© JÓZEF MAJEWSKI

Pastorał z wiosła

MIROSLAW WLEKŁY

**Był dowodem, że można na co dzień żyć ewangelią.
W Brazylii zmarł biskup ubogich Pedro Casaldáliga.**

CHOĆ WIELOKROTNI GROŻONO MU śmiercią, dożył 92 lat. Prześladowany przez wojskową dyktaturę, nękany przez wielkich właścicieli ziemskich, podejrzewany przez Watykan o brak ortodoksji, został doceniony dopiero pod koniec życia – Franciszek konsultował z nim encyklikę „Laudato si”, a niedawny synod poświęcony Amazonii mówił jego głosem.

Pedro Casaldáliga urodził się w 1928 r. w miejscowości Balsareny niedaleko Barcelony w Katalonii. Księdzem postanowił zostać wcześniej – w wieku 17 lat, a już jako dziecko odebrał ważną lekcję. „W czasie wojny w Hiszpanii – opowiadał – nauczyłem się słuchać starszych ludzi, którzy rozmawiali o bardzo poważnych sprawach. Nauczyłem się też milczeć, jak oni. W starym domu ojca nieraz musiałem to robić – wobec upojonych winem milicjantów i ich pytań – o miejsce pobytu siostr zakonnych, kryjówek dezertów albo pojawienie się księdza czy zakonnika o zmienionym nazwisku lub w podejrzanym ubraniu”.

Święcenia otrzymał w 1952 r. Marzył o Kościele ubogim. W 1968 r. wyjechał na misję do Brazylii. Osiedlił w odludnym regionie wielkości połowy Polski – Mato Grosso, nad rzeką Araguaia. Była to opuszczona przez państwo kraina bez szkół i służby zdrowia, gdzie jedynym obowiązującym prawem był „artykuł 38”, pozbawiający ziemi miejscowych na rzecz wielkich latyfundystów.

W 1970 r. został administratorem apostolskim prałatury, którą założył, a rok później biskupem São Félix do Araguaia. Święcenia nie odbyły się w katedrze, tylko na brzegu rzeki Araguaia. Świadkami byli okoliczni mieszkańcy. Zamiast mitry, pastorału i biskupiego pierścienia ksiądz Pedro dostał słomkowy kapelusz, wiosło plemienia Tapirapé i pierścień z orzeszka amazońskiej palmy tucum – symbol solidarności z ubogimi. Usłyszał wtedy: „Twoją mitrą będzie słom-

kowy kapelusz, który ochroni cię przed żarem słońca i deszczem. Dzięki niemu upodobnisz się do ubogich”.

Misja wśród ubogich

Święcenia biskupie stały się początkiem jego walki: tamtego dnia ogłosił dokument zatytułowany „Kościół w Amazonii w konflikcie z wielkimi posiadłościami i marginalizacją społeczną”. W analizie, którą przygotował ze swoimi współpracownikami, opowiadał o przypadkach wyzysku i złego traktowania Indian i chłopów w Mato Grosso. Wskazywał przyczyny i winnych. Dokument do dziś uważany jest za jeden z ważniejszych w historii walki o ziemię w Brazylii, wówczas kraju dyktatury, cenzury, więzień, tortur i niewyjaśnionych śmierci.

W 1972 r. uczestniczył w założeniu Indiańskiej Rady Misyjnej (CIMI). Jej celem była zmiana sposobu ewangelizacji Indian. Kiedy po latach zapytano biskupa, ilu Indian nawrócił, odpowiedział: „Żadnego. Ja po prostu z nimi jestem”.

Jednak Casaldáliga na deklaracjach i dokumentach nie poprzestał. Kiedy wielcy właściciele ziemscy przy pomocy policji wyrzucali chłopów z ich ziem, stawał w ich obronie. Szybko zaczął otrzymywać pogróżki, z groźbami śmierci włącznie. Najpierw od latyfundystów, potem od ludzi władzy. Wojskowa dyktatura nie dawała biskupowi spokoju. Księża z jego prałatury trafiali do więzień. Świeckich przetrzymywano w koszarach. Byli tam torturowani. Jego samego przetrzymywano w areszcie domowym. W końcu władza chciała go wydać z Brazylii. Ale wówczas rwetes podniosła brazylijska i zagraniczna prasa. W jego obronie stanęli niektórzy biskupi (inni domagali się jego wydalenia z diecezji), stanowczy głos zabrał też papież. „Kto dotknął Piotra, ten dotknie też Pawła” – powiedział publicznie Paweł VI.

Casaldáliga został nad Araguaia. Już nigdy jednak nie odwiedził rodzinnej →

→ Hiszpanii. Nawet wtedy, gdy umarła mu matka. Nie chciał zostawić Indian bez ochrony, był też przekonany, że dyktatura nie pozwoli mu wrócić do Brazylii.

List do Jana Pawła II

W czasach, gdy niewielu jeszcze stało w obronie Amazonii, biskup podczas konferencji Episkopatu Brazylii wzywał do dyskusji o problemach tego regionu. Zakładał i promował organizacje broniące ludzi przed zabieraniem im ziemi: Komisję Duszpasterską Ziemi (Comissão Pastoral da Terra), Indiańską Radę Misyjną (Conselho Indigenista Missionário) czy Ruch Pracowników Rolnych bez Ziemi (Movimento dos Trabalhadores Rurais Sem Terra).

Z czasem jego działanie spotykało się z coraz większą opozycją także w episkopacie. Niektórzy biskupi nazywali go komunistą. Następcy Pawła VI także nie byli już mu tak życzliwi.

Aby wyjaśnić nieporozumienia, Casaldáliga w 1986 r. napisał list do Jana Pawła II. „Przez cały ten czas nigdy nie brałem urlopu – pisał. – Od siedemnastu lat nie opuszczałem Brazylii. Mieszkalem i pracowałem w północno-wschodniej części stanu Mato Grosso, jako pierwszy ksiądz, który osiedlił się na stałe w tym regionie. (...) To obszar dużych majątków ziemskich, krajowych i międzynarodowych, z gospodarstwami rolnymi liczącymi setki tysięcy hektarów, z pracownikami żyjącymi w reżimie przemocy i półniewolnictwa. Od dawna towarzyszy tu dramatycznemu życiu rdzennej ludności. (...) Moje życie oraz życie kilku księży i duszpasterzy parafii jest zagrożone. Kilkakrotnie ci księża i ja byliśmy aresztowani; kilku z nich było także torturowanych”.

Dalej objaśniał papieżowi, że na olbrzymich terenach, na których wielcy właściciele zarabiają miliony, chłopci i robotnicy żyją w biedzie i wyzysku. Nie ma dróg i opieki zdrowotnej. Dopiero niedawno pojawiły się telefony. Już pięć razy władze próbowały wydalić go z kraju. Czterokrotnie wojskowi i policjanci brutalnie przeszukiwali siedzibę parafii. Jeden z jego księży trafił do więzienia na dziesięć lat. W 1976 r. na jego oczach policjanci zastrzelili jezuitę João Bosco Penido Burniera, gdy podczas wizyty w więzieniu stanął w obronie torturowanych kobiet. Wspominał też papieżowi o wielu innych zabójstwach: Indian, chłopów,

Niebezpieczeństwo komunizmu nie usprawiedliwia naszych zaniedbań

ani zmowy z kapitalizmem
– przekonywał bp Casaldáliga.

świeckich zaangażowanych w działanie diecezji.

Tłumaczył, że wstawiennictwo za ubogimi wcale nie jest skierowane przeciw bogatym – przecież do zbawienia powołani są wszyscy. Ale należy przeciwstawić się nędzy i wyzyskowi ubogich oraz systemowi akumulacji przywilejów, z których korzystają tylko bogaci, marginalizując olbrzymią część ludzkiej rodziny.

Bp Casaldáliga błagał Jana Pawła II o wysłuchanie i zrozumienie (zapewniając o codziennej modlitwie za niego). Liczył na zrozumienie papieża pochodzącego z tak dotkniętego przez historię kraju: nieustannie najeżdżanego i okupowanego. Polskę nazwał „bliźniaczką Ameryki Środkowej i Karaibów”, ciągle uciskanych z kolei przez Stany Zjednoczone.

Przy okazji zwrócił też uwagę na inne problemy Kościoła: marginalizację i dyskryminację kobiet, celibat, etnocentryzm Europy kosztem Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji. Pozwolił sobie nawet na „braterską krytykę” pod adresem samego papieża: zastanawiał się, czy – bez względu na tradycję i obowiązujące zwyczaje – nie warto zrezygnować z tytułów kościelnych w stylu „Przenajświętszy Ojciec”. Pytał, czy nie są one ekstrawagancje i nieewangeliczne. Wzywał też do bliższego Ewangelii, przystępniejszego dla dzisiejszej wrażliwości, uproszczenia ubiorów hierarchów. Zastanawiał się nawet, czy dalekie i częste podróże papieskie („heroiczne pod wieloma względami”) nie wymagają zbyt wielkich nakładów finansowych ze strony państw i lokalnych Kościołów, co obserwatorom wydawać się może nadmierną arogancją i uprzywilejowaniem Kościoła katolickiego. Zachęcał wreszcie Wojtyłę do głębszej odnowy Kurii Rzymskiej.

Obronca ubogich przyznał ponadto, że rozumie ból, jaki sprawiła papieżowi wizyta w Nikaragui (w 1983 r., kiedy kazanie Jana Pawła II zagłuszone było okrzykami tysięcy zgromadzonych na mszy,

a wizyta doprowadziła do pogłębienia konfliktu w kraju), ale musi wiedzieć, że pielgrzymka ta, zamiast ewangelizować, otwiera rany w sercach wielu Nikaraguańczyków.

Przypominał, że Kościół powinien prowadzić poważny dialog ze świeckim światem. Ale dlaczego papież robi to z Ronaldem Reaganem, a nie chce tego robić z socjalizmem czy sandinizmem? „Niebezpieczeństwo komunizmu nie usprawiedliwia naszych zaniedbań ani zmowy z kapitalizmem” – napisał, przestrzegając, że w przyszłości może się to obrócić w bunt, obojętność religijną, a nawet ateizm kolejnych pokoleń.

Na koniec zapewnił o oddaniu i szczerym trwaniu „w Kościele Jezusa w służbie Królestwu Bożemu”.

Wiara w Kościół

Seria donosów wiążących biskupa Casaldáligę z poglądami marksistowskimi doprowadziła go w 1988 r. przed oblicze prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Hiszpan miał się tłumaczyć ze swojego postępowania, orientacji duszpasterskiej i stanowiska wobec spraw kościelnych i społecznych. Kard. Joseph Ratzinger chciał od razu zadać pytania. Casaldáliga poprosił, aby najpierw się pomodlili (biskup Balduino, z którym się przyjaźnił i współpracował, skomentuje później, że od tamtego dnia w Watykanie modlitwą poprzedza się wszystkie podobne przesłuchania).

„Był buntownikiem i rewolucjonistą. Z powodu niektórych swoich opinii i duszpasterstwa wezwano go do Watykanu. Ale przewyciężając wszelkie nieporozumienia, Casaldáliga potwierdził swoją wierność papieżowi” – powie po jego śmierci znajomy misjonarz ks. Ronaldo Mazula.

Od 1984 r. biskup Pedro żył ze swoim – jak mawiał – bratem Parkinsonem. Nie tracił jednak zapału. W 1994 r. wspierał rdzennych mieszkańców meksykańskiego Chiapas. W 1999 r. opublikował „Deklarację miłości do Rewolucji Kubańskiej”.

W wieku 75 lat, po ośmiu przebytych malariach, z pogłębiającą się chorobą Parkinsona, Casaldáliga złożył rezygnację z funkcji biskupa. Został jednak w diecezji i kontynuował misję, choć Watykan próbował bez rozgłosu wyprowadzić go daleko stąd. W tamtym czasie biskupowi znów grożono śmiercią, tym razem za obronę Indian Szawantów (Xavante).



MENSAJEROS DE LA PAZ

Biskup Pedro Casaldáliga, São Félix do Araguaia, Brazylia, zdjęcie niedatowane.

Mawiał: „Ja, grzesznik i biskup, marząc o Kościele przyodzianym jedynie w Ewangelię i sandały, wyznaję moją wiarę w Kościół, czasami pomimo Kościoła. Wierzę bowiem w Królestwo Boże, które urzeczywistnia się w Kościele i do którego podąża wraz z Kościołem”. Uważał, że konsumpcjonizm konsumuje przede wszystkim ludzką godność.

W 2012 r. prezydent Brazylii Dilma Rousseff odznaczyła Casaldáligę (wraz z biskupem Balduino) za obronę praw człowieka. „Księża biskupi Pedro Casaldáliga i Tomás Balduino są ludźmi, których Brazylia nauczyła się podziwiać i którymi się szczeni. Pragnę poinformować, że państwo nie będzie oszczędzać swoich możliwości, aby zagwarantować im bezpieczeństwo i ochronę” – powiedziała prezydent.

Życiorys na serial

Wieść o biskupie z Mato Grosso niosła się po świecie. Hiszpan Francisco Escibano napisał książkę opartą na jego losach „Descalzo sobre la tierra roja” („Boso na czerwonej ziemi”). Na jej podstawie powstał w 2013 r. serial pod tym samym tytułem. „Kiedy ktoś kradnie ziemię, okrada Jezusa” – mówi główny bohater filmu.

Kościół dopiero niedawno dostrzegł wagę spraw, o które całe życie walczył biskup ubogich. Pytam o to siostrę Rosę Bertoldo, która знаła biskupa i uczest-

niczyła w ubiegłorocznym Synodzie dla Amazonii.

– Przekaz dokumentu końcowego Synodu dla Amazonii i adhortacji papieskiej „Umiłowana Amazonia” mówi o tym wszystkim, o co walczył w swoim życiu Pedro. Był marzycielem i dowodem na to, że warto marzyć.

Tymczasem niedawno w Brazylii zmienił się rząd. Nowym prezydentem został prawicowy piewca dawnej dyktatury wojskowej – Jair Bolsonaro. Jeszcze w ubiegłym miesiącu bp Casaldáliga podpisał list protestacyjny przeciw prezydenckim „zaniedbaniom, apatii i odrzucaniu najbardziej potrzebujących”.

„Pedro chciał sprawiedliwości, dostatku, radości, pełni życia dla wszystkich – twierdzi Adriano Ciocca, obecny biskup São Félix do Araguaia. – Bez względu na rasę, płeć, kulturę i wyznanie”.

„Był człowiekiem wolnym jak wiatr i konsekwentnym” – mówią o nim misjonarze Mari Carmen i Fernando, przyjaciele z Gwatemali. Za życia porównywali go do zamordowanych biskupów Óscara Romero i Enrique Angelellego; nazywali go „żyjącym męczennikiem”.

– Pedro miał wielki wkład w rozwój, obronę poszkodowanej ludzkości i ochronę przyrody – mówi siostra Bertoldo. – Dla mnie dwa elementy jego życia są szczególnie ważne. Pierwszy to jego miłość do wykluczonych, do najbardziej potrzebujących, ludzi ziemi, Indian. Żył z nimi

i nieustannie walczył w ich imieniu, zdecydowanie, ale bez agresji. Drugi to jego wielki przekaz nadziei. Pedro był jej ambasadorem.

Był też poetą. W jednym z wierszy napisał:

*Do odpoczynku
potrzebuję tylko
drewnianego krzyża
deszczu i słońca
kawaleczka ziemi
i zmartwychwstania.*

Zmarł 8 sierpnia. Pochowano go wedle jego życzenia: boso, w prostej trumnie, bez kwiatów i mitry, z drewnianym krzyżem na piersiach, wykonanym przez Szawan-tów. Trumnę do grobu nieśli Indianie.

„Spocznie tak jak żył: wśród biednych, wśród maluczkich” – powiedział podczas uroczystości pogrzebowych bp Ciocca.

Zgodnie ze swoim życzeniem: na dawnym cmentarzu Karajów, pomiędzy grobami chłopca, prostytutki i bezimiennych Indian.

O. Kasper Kaproń, pracujący w Boliwii polski franciszkanin, napisał, że złożono go w najpiękniejszej katedrze świata: w cieniu drzewa, nad brzegiem Araguaia, pod sklepieniem tysięcy gwiazd.

© MIROSŁAW WLEKŁY

*Za pomoc dziękuję o. Kasperowi
Kaprońowi OFM.*

PO PIERWSZE: WIETRZYĆ

W Niemczech już kilka dni po rozpoczęciu nauki pierwsze szkoły trzeba było zamknąć z powodu koronawirusa. Potrzeba kształcenia wygrywa tu jednak ze strachem.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA



KLASA LICZY 24 UCZNIÓW. JEDEN, w środkowym rzędzie, kaszle. Z jego ust wylatują mikroskopijne aerozole. Formują się w chmurę, która rozprzestrzenia się po całym pomieszczeniu. Po dwóch minutach niewidoczna gołym okiem zawiesina unosi się już w całej klasie, na wysokości głów siedzących w ławkach uczniów... Animacja, przygotowana przez naukowców z Uniwersytetu Technicznego w Berlinie, wygląda jak koszmar każdego rodzica, który posłał swoje dzieci do szkoły podczas epidemii.

Maseczki w klasie

Tymczasem w sierpniu nowy rok szkolny zainaugurowało już dziewięć z szesnastu niemieckich landów. Terminy ferii letnich są w Niemczech zróżnicowane regionalnie, aby nieco rozproszyć tłumy urlopowiczów. Uczniowie z Bawarii

skończą wakacje dopiero 7 września, a w Badenii-Wirtembergii 13 września. Natomiast w Berlinie szkoły otwarto już 10 sierpnia, w Nadrenii Północnej-Westfalii zaś 12 sierpnia.

Ten ostatni land, najludniejszy ze wszystkich, jest teraz bacznie obserwowany przez te kraje związkowe, w których nauczanie dopiero się rozpocznie. W przeciwieństwie do innych, miejscowe władze zdecydowały, że uczniowie i nauczyciele muszą nosić maseczki także podczas lekcji. W Nadrenii Północnej-Westfalii jest 2,5 mln uczniów i 5,5 tys. szkół.

Politycy podkreślają, że maseczki są niezbędne zwłaszcza w pierwszych tygodniach, wiele dzieci wraca do klas prosto z wakacyjnych podróży. To urlopowicze w dużej mierze odpowiadają za wzrost nowych infekcji, rejestrowanych codziennie w Niemczech – w miniony czwartek, 20 sierpnia, było ich już ponad 1700.

Decyzja ma też polityczne tło. W połowie września w Nadrenii Północnej-Westfalii są wybory samorządowe, a premier tego landu Armin Laschet chciałby zostać następcą Angeli Merkel – jako przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) i jako kanclerz. Laschet i CDU jak ognia boją się medialnych doniesień o masowych infekcjach i zamykanych szkołach.

Paury z dezynfekcją

Prof. Martin Kriegel z berlińskiego Uniwersytetu Technicznego, którego zespół bada możliwość rozprzestrzeniania się koronawirusa w aerozoluach – i przygotował przemawiającą do wyobraźni animację – ma do dyrektorów szkół jedno główne przesłanie: klasy trzeba wietrzyć i to nieustannie. Jego zdaniem jest to ważniejsze od noszenia maseczek.

Przekaz poszedł już w kraj, o czym zaświadcza uczeń. Minou Timm ma 12 lat, mieszka w Berlinie i 10 sierpnia pierwszy raz poszła do nowej szkoły, Gimnazjum im. Heinricha Dathego. To duży kompleks we wschodniej części stolicy. W tych pierwszych tygodniach Minou musi poznać plan zajęć, rozkład sal, nowych nauczycieli i co najważniejsze w tym wieku: zawiązać nowe przyjaźnie.

Teraz dochodzą nowe reguły. – Musimy nosić maski na korytarzach, ale w klasach już nie – opowiada mi Minou. Gdy nauczyciel w klasie jest sam przy tablicy, nie musi nosić maski. Ale gdy do odpowiedzi podchodzi uczeń, nauczyciel zakłada maskę.

Minou nie słyszała o zaleceniach profesora Kriegela, ale wygląda na to, że dyrektora jej szkoły już tak. – W klasach wszystkie okna i drzwi są cały czas otwarte – opowiada. Nie jest to rozwiązanie idealne. Przeszkadza hałas, bo słychać, co dzieje się na korytarzu czy nawet w innych klasach. Na koniec zajęć nauczyciele zachęcają uczniów do mycia rąk. Na korytarzach rozstawiono płyny do dezynfekcji. Wiele więcej zrobić się nie da.

Na pytanie, czy udaje utrzymać się półtorametrowy odstęp, Minou odpowiada śmiechem. Jej nowa klasa liczy aż 32 uczniów. Bardzo dużo jak na Niemcy. Ale w gęsto zaludnionych metropoliach, takich jak Berlin, jest to często norma.

Są infekcje, wszystko gra

Dla Minou koronawirus nie wydaje się ważnym tematem. Z o wiele większym zaangażowaniem opowiada o poznanych rówieśnikach. Sierpień jest upalny, więc nastolatka spędza z nimi każdą przerwę na jednym z dwóch gimnazjalnych podwórek. Tam noszenie maseczek nie jest obowiązkowe. Podczas przerw nic nie zdradza napiętej sytuacji epidemiologicznej. Jest tłoczno i głośno.

Ten normalny rytm szkolny został już jednak w wielu miejscach zakłócony. W jednym ze stołecznych gimnazjów wstrzymano wszystkie zajęcia już cztery dni po inauguracji: u nauczycielki test potwierdził COVID-19 i dyrektor podjął decyzję o zamknięciu szkoły. Wszystkich 76 pracowników wysłano na testy, podobnie jak 22 uczniów z klasy, z którą zakażona prowadziła zajęcia. Pracownicy laboratoriów spisali się i już na następny dzień przekazali dyrekcji dobrą wiadomość: wszystkie wyniki testów okazały się negatywne. Jeszcze w tym samym dniu część dzieci mogła wrócić do klas.

To dotychczas jedyne zamknięcie szkoły w Berlinie. W pozostałych, gdzie wykryto przypadki koronawirusa, a było ich w minionym tygodniu już ponad 20, na kwarantannę wysłano tylko zainfekowanych i osoby, które miały z nimi kontakt. Taką taktykę dyktują zresztą polityczni decydenci. Minister edukacji →



FABRIZIO BENSCH / REUTERS / FORUM

Pierwsza lekcja po przerwie wakacyjnej w protestanckim liceum w Berlinie, 10 sierpnia 2020 r.

→ berlińskiego senatu (rządu lokalnego) Sandra Scheeres jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego stwierdziła, że infekcje będą się zdarzały, a regułą powinna być w takich sytuacjach szybka izolacja chorych.

Podobnie uważają władze innych landów. W Nadrenii Północnej-Westfalii w ciągu pierwszych dwóch tygodni infekcje odnotowano w 35 szkołach, z których zamknięto tylko cztery. W sumie na kwadrantną wysłano 351 nauczycieli i blisko 6 tys. uczniów. Pomimo to landowy minister szkolnictwa ogłosiła, że start roku szkolnego „wypadł dobrze”.

W podobnym duchu mówił federalny minister zdrowia Jens Spahn: zapowiedział, że nawet jeśli w kraju konieczne będą nowe obostrzenia, to szkoły, przedszkola i żłobki będą ostatnimi miejscami, które dotknie ponowny *lockdown*. Większość klasy politycznej w Niemczech uznaje, że skutki społeczne dalszego wstrzymywania edukacji mogłyby być groźniejsze niż ryzyko epidemiologiczne, wynikające z przywrócenia zwykłego rytmu szkolnego.

Gdy zamarł system

Dla Floriana Timma zajęcie się córką Minou, gdy w połowie marca zamknięto szkoły, okazało się wyjątkowo trudne. Z zawodu psycholog szkolny, niewiele wcześniej sam zachorował na COVID-19. Brał udział w seminarium. Jeden z uczestników przyjechał z objawami choroby, ale przyznał się dopiero po jakimś czasie – i w efekcie kilkanaście osób wróciło do domów z chorobą. Zamiast pomagać córce przy lekcjach, Timm leżał w łóżku. – Na szczęście Minou to dobra uczennica, więc zadania zlecane przez nauczycielkę rozwiązywała samodzielnie – wspomina.

Mniejszym zaangażowaniem od Minou wykazała się nauczycielka: jej aktywność ograniczała się do wysyłania raz na tydzień zadań, których później i tak nie sprawdzała. – Niestety zabrakło systemu, w czasie lockdownu wszystko zależało od konkretnego nauczyciela – mówi Timm. Jako wzór stawia swojego brata, nauczyciela w gimnazjum: w czasie lockdownu znajdował czas nie tylko na przygotowywanie zajęć, ale też na obdzwanianie wszystkich uczniów, wyznaczanie terminów oddania prac i ich sprawdzanie. W jeszcze innej szkole, gdzie uczą się dzieci znanych rodziny Timmów, nauczycielka rowerem rozwoziła dzieciom zajęcia.

Większość niemieckich polityków uznaje, że skutki społeczne wstrzymywania edukacji byłyby groźniejsze niż ryzyko epidemiologiczne, wynikające z powrotu do szkół.

Gdy uczniowie siedzieli w domach, na światło dzienne wyszło wiele problemów trawiących niemiecką edukację. Szkolnictwo to kompetencja krajów związkowych i ich rządów. Niektóre landy, te bogatsze, radzą sobie lepiej niż inne. Federalizm, z którego na co dzień Niemcy są dumni, sprawia dziś problemy w koordynowaniu działań anty kryzysowych. Rząd federalny nie ma wpływu na to, że w Północnej Nadrenii-Westfalii uczniowie muszą nosić maseczki w klasie, a w Berlinie już nie.

Nic nie zastąpi szkoły

W Niemczech, jak w rzadko którym europejskim kraju, system edukacji sprzyja od wczesnych lat segregacji dzieci ze względu na ich status społeczny. Te z rodzin bogatszych w kapitał finansowy i ludzki wybierają po podstawówce gimnazja (odpowiednik polskich liceów), a w czasie ich zamknięcia mogły liczyć na pomoc rodziców. Te z rodzin biedniejszych, także imigranckich, często już po pierwszych latach podstawówki trafiają do szkół nastawionych na kształcenie zawodowe.

– Moim uczniom nic nie zastąpi spotkania twarzą w twarz – twierdzi Irena Angelovski, nauczycielka w szkole zawodowej w Hildesheim w Dolnej Saksonii, gdzie kształcą się przyszli opiekunowie medycy. – W czasie zamknięcia nie mogłam moim uczniom wysłać zadań pocztą elektroniczną, bo większość nie potrafi odebrać maila, a w domu nie ma komputera – tłumaczy.

W klasie, którą prowadzi, na 27 uczniów tylko czworo pochodzi z Niemiec. Pozostali to obcokrajowcy, także uchodźcy, którzy po 2015 r. przybyli do Niemiec z Syrii i innych państw Bliskiego Wschodu. Oni nie mogą liczyć na pomoc przy rozwiązywaniu zadań w domu, bo ich rodzice często nie mówią po niemiecku.

Irena Angelovski cieszy się, że w klasie i ona, i jej uczniowie nie będą musieli nosić maseczek: – One utrudniają zrozumienie, a część moich uczniów wciąż ma problemy z niemieckim.

Nauczycielka uważa, że o szkolnych regułach w trakcie epidemii powinni decydować nie tylko wirusolodzy, lecz także psycholodzy.

W czasie zarządzanego w marcu zamknięcia szkoły czworo uczniów z jej klasy zniknęło i już nie wróciło po wznowieniu zajęć. Dlatego gdy od czwartku 27 sierpnia w jej szkole zaczną się lekcje – jak w całej Dolnej Saksonii – prócz standardowych przedmiotów, uczniowie zostaną przeszkoleni z umiejętności potrzebnych na wypadek kolejnego zamknięcia. Młodzież nauczy się, jak ściągać załączniki w poczcie elektronicznej, a ci, którzy nie mają w domu komputerów, będą mogli wypożyczyć sprzęt ze szkoły. Z funduszy, które na ten cel przeznaczył rząd federalny, placówka kupiła 30 laptopów.

Ciągła improwizacja

We wrześniu liczba nowych infekcji zapewne będzie rosła – zacznie się okres jesiennych przeziębień. Dla rodziców będzie to też oznaczać konieczność podejmowania decyzji: czy dziecko, które zaczyna kaszleć, zostawić w domu, wysłać do szkoły, a może od razu skierować na test?

Im zimniej będzie za oknem, tym trudniej będzie się trzymać zasady ciągłego wietrzenia. Senat Berlina prowadzi już konsultacje z ekspertami, jak zadbać o przepływ świeżego powietrza w klasach jesienią i zimą.

Pomimo piętrzących się pytań, Florian Timm uważa, że otwarcie szkół to słuszne posunięcie. – Dzieci tego potrzebują – przekonuje. Choć jednocześnie boi się nowych infekcji w rodzinie. Sam do dziś odczuwa skutki choroby. Jest nadal słaby, kolejny miesiąc z rzędu przebywa na zwolnieniu lekarskim. Razem z żoną biorą pod uwagę wariant, że gdy sytuacja się pogorszy, Minou znów będzie musiała zostać w domu.

Z kolei Irena Angelovski twierdzi, że szkoły są dobrze przygotowane, także na radzenie sobie z pojedynczymi przypadkami infekcji. – O wiele bardziej niepokoję się o to, co moi uczniowie będą robić po szkole i w weekendach – dodaje.

W końcu na imprezach łatwiej się zarażać niż w klasie, pod czujnym okiem nauczyciela.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



PETER SUMMERS / GETTY IMAGES

Imigranci zatrzymani na wodach kanału La Manche. Dover, Wielka Brytania, 12 sierpnia 2020 r.

Sierpniowe łodzie

PATRYCJA BUKALSKA

Już ponad 4 tysiące nielegalnych imigrantów przedostało się w tym roku do Wielkiej Brytanii przez kanał La Manche. To znacznie więcej niż rok wcześniej.

NA PLAŻĘ SANGATTE KOŁO FRANCUSKIEGO Calais morze wyrzuciło w minioną środę zwłoki. Ustalono, że to młody Sudańczyk, który próbował dostać się do Wielkiej Brytanii wraz z innym sudańskim nastolatkiem, uratowanym wcześniej tego dnia.

Ocalony powiedział, że jego kolega zniknął w falach, gdy ich prowizoryczna łódka się wywróciła. Nie umiał pływać.

To pierwsza taka śmierć w tym roku. Kilka dni wcześniej na wodach kanału La Manche uratowano małżeństwo z 18-miesięcznym dzieckiem, gdy płynęło kajakiem.

Podczas kilku wcześniejszych tygodni w podobny sposób przepłynęły z Francji do Anglii setki imigrantów: młodzi mężczyźni, kobiety w ciąży i dużo dzieci, także bardzo małych. W przepełnionych i niestabilnych pontonach, czasem z łopatami zamiast wiosł.

Pogoda sprawia, że świadomość ryzyka maleje. Przełom lipca i sierpnia był słoneczny, morze spokojne. Z Calais do białych klifów Dover jest tylko 50 km, a w niektórych miejscach Cieśniny Kaletańskiej nawet mniej. Blisko dla kogoś, kto pokonał już tysiące kilometrów w drodze do lepszego życia. W sierpniu niemal codziennie w brytyjskich mediach pojawiały się wiadomości o kolejnej grupie imigrantów, dobijającej do brzegu Wysp albo przejmowanej przez łodzie patrolowe.

Jest też inny powód zwiększonego ruchu na tych wodach: pandemia ograniczyła ruch ciężarówek, wykorzystywanych wcześniej przez przemytników ludzi i imigrantów. Jesienią 2019 r. Brytyjczykami wstrząsnęła historia trzdzie-

stu kilku Wietnamczyków, których ciała znaleziono w ciężarówce-chłodni. Teraz samochodów jest mniej, za to więcej kontroli. Zostają łodzie.

Torysi: „to inwazja”

Sprawa łodzi dzieli Brytyjczyków, wywołała też napięcie w relacjach z Paryżem („Ile tragedii jeszcze trzeba, aby Brytyjczycy odzyskali choć uncję człowieczeństwa?” – pytał po śmierci Sudańczyka francuski parlamentarzysta Pierre-Henri Dumont). Brytyjskie władze nie pozostawiają jednak wątpliwości, że nie zmieniają swej polityki. Premier Boris Johnson określił próby przepłynięcia kanału La Manche jako „głupie, niebezpieczne i przestępcze”. Szefowa MSW Priti Patel zapowiedziała wysłanie okrętów marynarki wojennej. W tę atmosferę wpisał się list grupy posłów Partii Konserwatywnej, gdzie mowa o „inwazji” imigrantów.

Opozycja uważa, że rządowi brakuje i kompetencji, i współczucia. Z kontrą przyszli też przedstawiciele organizacji wspierających uchodźców: podkreślają, że próba uzyskania azylu nie jest przestępstwem, a język używany przez polityków z rządu jest antagonizujący i kreśli fałszywy obraz sytuacji.



⇒ W tym roku drogą morską przedostało się do Wielkiej Brytanii ponad 4300 osób. To istotnie duży wzrost: ponad dwa razy więcej niż w całym roku 2019. Ponad 400 z nich to samotne dzieci i nastolatki (wiadomo to z danych hrabstwa Kent, rząd nie podaje takich statystyk). W tym czasie do Włoch przybiło 14 tys. imigrantów, do Hiszpanii 10 tys., a do Grecji ponad 8 tys.

Jeśli chodzi o liczbę złożonych wniosków azylowych, Wielka Brytania też nie jest w europejskiej czołówce. W 2019 r. wpłynęło tu 36 tys. wniosków (a więc głównie od osób, które dotarły inaczej niż pontonem), gdy w Niemczech było to 165 tys., we Francji 151 tys., w Hiszpanii 117 tys., a w Grecji 77 tys. wniosków.

Zmniejszenie imigracji i lepsza kontrola granicy były jednymi z argumentów, które miały przemawiać za brexitem. Rząd Johnsona, zwolennika wyjścia z Unii, najwyraźniej chce pokazać swoim wyborcom, że potrafi opanować sytuację.

To nie Australia

Brytyjski rząd chciałby, aby przeprawa łodziami przez kanał La Manche stała się niemożliwa i nieopłacalna. Podkreśla, że chce powstrzymać gangi przemytników, którzy organizują nielegalne przeprawy. To z nimi zmierzy się nowa struktura: Dowództwo ds. Zagrożenia na Kanale. Jej komendantem został Dan O'Mahoney, weteran Royal Marines z Kosowa i Iraku.

Walka z przemytnikami brzmi dobrze, ale szczegóły strategii mogą budzić wątpliwości. Wstępnie rozważano m.in., aby brytyjskie okręty mogły zmuszać łodzie imigrantów do zawrócenia lub podejmować ludzi z wody i natychmiast odstawiać z powrotem do Francji, bez możliwości złożenia wniosku o azyl w Wielkiej Brytanii. To przypomina model australijski, oparty na strategii odstraszenia: przekonaniu przybyszów, że nie mają szans na uzyskanie azylu w Australii (ci, którzy jednak próbują, są zamykani w ośrodkach detencyjnych na wyspach Pacyfiku).

Ale Wielka Brytania to nie Australia, która spycha łodzie uchodźców na wody międzynarodowe. Brytyjskie okręty wojenne wpływające na wody terytorialne Francji? No i potrzebna byłaby zgoda Francuzów na przyjęcie imigrantów.

Dziś zadanie Francuzów polega na patrolowaniu wód przybrzeżnych, aby uniemożliwić łodziom wypłynięcie w morze. Londyn narzeka, że francuskie patro-

Nowa brytyjska strategia przypomina model australijski: **odstraszanie imigrantów, że nie mają szans na uzyskanie azylu.**

lowce mogłyby się bardziej do tego przyłożyć. Francuzi oburzają się i podkreślają, że w tym roku udaremnili już pięciokrotnie więcej prób przepłynięcia kanału La Manche niż w całym roku ubiegłym.

Przedstawiciele NGO-sów zajmujących się migracją argumentują też, że po zamknięciu jednego szlaku zawsze powstaje nowy, często bardziej niebezpieczny. Ich zdaniem, aby odwieść imigrantów od desperackich prób, w tym od szukania pomocy u przemytników, potrzebne jest stworzenie legalnych możliwości ubiegania się o azyl na Wyspach (np. w brytyjskich ambasadach; dziś wniosek można złożyć tylko osobiście w Wielkiej Brytanii), programów osiedleńczych, ułatwień w łączeniu rodzin. Argumentują, że wtedy udałoby się i chronić ludzkie życie, i mieć kontrolę nad tym, kto przekracza granicę.

W cieniu brexitu

Obecnie zasady rozpatrywania wniosku azylowego reguluje w Unii Europejskiej tzw. rozporządzenie Dublin III. Zgodnie z nim uciekający przed przemocą i zagrożeniem ludzie powinni prosić o azyl w pierwszym bezpiecznym kraju, a za taki uważane jest każde państwo Unii.

Jednak profesor prawa Steve Peers z Uniwersytetu w Exeter podkreśla, że „powinni” to nie to samo co „muszą”. Peers uważa, że ubiegający się o azyl nie mają obowiązku uczynić tego w konkretnym kraju. Choć z drugiej strony kraj, który zgodnie z rozporządzeniem dublińskim jest za ich wniosek odpowiedzialny, musi ich na swoje terytorium wpuścić.

Wynikałoby stąd, że nie można odmawiać imigrantom prawa do ubiegania się o azyl w Wielkiej Brytanii, a fakt przedostania się do jakiegoś kraju drogą nielegalną nie oznaczałby automatycznie, że ten ktoś nie jest uchodźcą. Czy jednak wniosek zostanie zaakceptowany, albo czy ktoś nie zostanie odesłany do innego kraju unijnego – to inna sprawa.

Tematyka azylowa może stać się jeszcze bardziej skomplikowana za kilka miesięcy, gdy dobiegnie końca okres przejściowy po brexicie. Od stycznia 2021 r. na Wyspach przestaną obowiązywać unijne regulacje, również dotyczące polityki azylowej. Aby kontynuować współpracę z Francją i uzyskać jej zgodę na odsyłanie imigrantów, Londyn musi zawrzeć porozumienie z Unią lub umowę dwustronną.

Na razie pod znakiem zapytania stoi nawet wynegocjowanie ogólnego porozumienia w sprawie przyszłych relacji Londynu z Unią. Może więc skończyć się to tak, że nie będzie żadnej umowy – i choć brexit miał oznaczać „odzyskanie kontroli” (tak brzmiało jedno z haseł) nad granicami, ostatecznie Brytyjczycy mogą tej kontroli mieć mniej.

Wyspy magiczne

Teraz, jak zwykle, więcej mówi się o tym, jak imigrantów powstrzymać – niż o tym, kim są i jak im pomóc. Albo dlaczego tak wielu decyduje się kontynuować swoją drogę, zamiast zostać we Francji.

W tej ostatniej kwestii okazuje się, że powodów jest wiele – od rzekomej brutalności francuskiej policji po przeładowanie systemu azylowego, co sprawia, że na rozpatrzenie wniosku czeka się bardzo długo i w kiepskich warunkach. Wielu śmiałków ma też w Wielkiej Brytanii krewnych lub przyjaciół, zna trochę język.

Wśród imigrantów powszechne jest też przekonanie – w czym umacniają ich często przemytnicy – że życie w Wielkiej Brytanii jest prostsze niż we Francji, że tam łatwiej o pracę i mieszkanie. Wiara w to jest na tyle silna, że – jak informował w połowie sierpnia dziennik „The Guardian” – kilkunastu mężczyzn przebywających w ośrodku detencyjnym koło Gatwick miało podjąć strajk głodowy z obawy przed odesłaniem do Francji.

Jeden z nich, pochodzący z Jemenu, tak opowiadał o swojej podróży: „Mauretanii, Mali, gdzie przemytnicy chcieli mnie sprzedać jako niewolnika, Algieria, Maroko. Przeszedłem pustynię. W marcu pokonanie La Manche w małej łódce zajęło mi dwanaście godzin. Myślałem, że zamarnie”. Jemeńczyk mówił: „Kieruję mój głos do innych ludzi. To ostatnia szansa, aby im opowiedzieć, co nam się przydarzyło podczas podróży i co dzieje się z nami teraz”.

Młodego Sudańczyka z Calais już nikt nie wysłucha. ©© PATRYCJA BUKALSKA



Transmisja internetowa z konwencji Partii Demokratycznej, z lewej Joe Biden. 19 sierpnia 2020 r.

Do trzech razy sztuka

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Joe Biden to już oficjalny kandydat Partii Demokratycznej, który w listopadzie zmierzy się z Donaldem Trumpem. 77-latek musi teraz dowieść, że poprowadzi zwycięską kampanię w ogarniętym epidemią kraju.

W TYM ROKU NIE BYŁO SPADAJĄCYCH spod sufitu balonów, owacji na stojąco i wypełnionych trybun. Joe Biden przyjął partyjną nominację w pustej sali konferencyjnej w rodzinnym Wilmington w stanie Delaware. Patrząc prosto w kamerę, przez prawie 25 minut przekonywał wyborców, że lepiej niż Donald Trump stawi czoło epidemii, która w Stanach zabiła już ponad 170 tys. ludzi, a na bezrobocie wypchnęła ponad 55 mln.

„Jako zjednoczony naród przezwycięzymy ten mroczny okres – mówi Biden. – Jeśli zostanę prezydentem, będę prezy-

dentem wszystkich Amerykanów, a nie jedynie reprezentantem mojego elektoratu i partii politycznej. Te wybory będą referendum nad takimi wartościami jak moralność, przyzwoitość, współczucie, nauka i demokracja. Celem mojej kampanii jest odzyskanie ducha Ameryki”.

Obiecywał też, że w przypadku zwycięstwa tuż po zaprzysiężeniu wprowadzi ogólnokrajowy nakaz noszenia maseczek i zapewni wszystkim darmowe testy na koronawirusa. „Obecny prezydent nie zdołał Ameryki ochronić. On myśli tylko o sobie, nie o was” – przekonywał.

Konwencja na odległość

Wystąpienie Bidena zakończyło czterodniową konwencję Partii Demokratycznej, która niemal w całości odbyła się wirtualnie. Do centrum konferencyjnego w Milwaukee w stanie Wisconsin, gdzie pierwotnie planowano wielkie wydarzenie na 50 tys. osób, zjechała się jedynie garstka organizatorów i dziennikarzy. Reszta została w domach i uczestniczyła w konwencji na odległość.

W minionym tygodniu, od poniedziałku do czwartku, w telewizji lub na ekranie komputerów Amerykanie mogli śledzić codzienny dwugodzinny program, na który składały się przemówienia prominentnych polityków, przeplatane piosenkami i wypowiedziami wyborców deklarujących poparcie dla Bidena.

W konwencji na odległość uczestniczyli też delegaci, którzy w zeszły wtorek formalnie zaakceptowali nominację partyjną. W procesie wirtualnego liczenia głosów, około godziny 22.20 czasu nowojorskiego Biden przekroczył wymagany do tej nominacji próg 1991 głosów. Przyjął wynik w szkolnej bibliotece w Wilmington, w obecności żony Jill. ➔

→ Było konfetti i lecący w tle utwór „Celebration” – przebój amerykańskiego zespołu Kool & the Gang.

Ambitny Joe

Zapewne nie w takiej formie, ale Biden od dawna marzył, aby podczas takiej konwencji grać w końcu pierwsze skrzypce. Choć już wcześniej dwa razy stał tu w blasku jupiterów, zawsze chodziło o przyjęcie nominacji na kandydata na wiceprezydenta. A on miał większe ambicje.

Niewielu dziś pamięta, że zanim został wiceprezydentem u boku Baracka Obamy, rywalizował z nim o nominację Partii Demokratycznej. Wówczas odpadł już na wczesnym etapie prawyborów, tuż po tym, gdy zajął dopiero 5. miejsce w prawyborach w Iowa. Nie powiodło mu się też w 1988 r., gdy musiał zrezygnować z kampanii, bo zarzucano mu plagiat wystąpienia (przekonywał w nim, że jego przodkowie byli górnikami, czerpiąc przy tym z wypowiedzi ówczesnego lidera brytyjskiej Partii Pracy Neila Kinnocka).

W tegorocznych prawyborach również już prawie zegnał się z wyścigiem, gdy pod koniec lutego, nieoczekiwanie, wygrał głosowanie w Karolinie Południowej. Potem zadziałał efekt kuli śnieżnej. Podczas głosowania w tzw. Superwtorek, podczas kumulacji prawyborów w 14 stanach, zmiażdżył swojego rywala Berniego Sandersa i wysunął się na prowadzenie. Zdecydowanie wygrał też na Florydzie, w Illinois i Arizonie. Po prawyborach w Wisconsin na początku kwietnia nie miał już z kim rywalizować – ze względu na epidemię i pod naciskiem partii, Sanders zrezygnował.

Kurs na lewo

Oficjalny już zwycięzca prawyborów Partii Demokratycznej nie jest kandydatem idealnym. Jest wiekowy (77 lat), brakuje mu charyzmy i ma sporo szkieletów w szafie. Jako polityk z 36-letnim stażem, w Senacie USA głosował za interwencją w Iraku, forsowaną przez Republikanina George’a W. Busha, i wspierał projekty ustaw, pod którymi Partia Demokratyczna dziś by się nie podpisała. Kamala Harris – nominowana przez Bidena na przyszłą wiceprezydentkę – jeszcze jako jego rywalka w prawyborach zarzucała mu, że w latach 70. XX w. sprzeciwiał się segregacji rasowej, polegającej na dowożeniu uczniów czarnoskórych i laty-

Biden musi poprowadzić
sprawną kampanię,
bo jego sondażowa przewaga
nad Trumpem się zmniejsza:

**w kluczowych stanach
wynosi już tylko
jeden procent.**

noskich do szkół dla białych [patrz tekst o Harris w tym numerze – red.].

Biden obrywa też za współtworzenie ustawy o przestępczości, która w latach 90. uderzyła nieproporcjonalnie mocno w Afroamerykanów. W 1996 r. głosował za ustawą umożliwiającą stanom zakazywanie małżeństw homoseksualnych, a do niedawna był zwolennikiem tzw. poprawki Hyde’a: prawo to, kontrowersyjne w liberalnych kręgach, zezwala na opłacanie aborcji ze środków federalnych tylko wtedy, gdy życie matki jest zagrożone, ciąża pochodzi z gwałtu lub kazirodztwa. Gdy w tegorocznych prawyborach wytknięto mu, że jest jedynym kandydatem popierającym te przepisy, zmienił zdanie o 180 stopni.

Umiarkowany Demokrat, ma jednak dużą zaletę. Dzięki centrowym poglądom może przyciągnąć konserwatywnych wyborców, którzy cztery lata głosowali na Trumpa, a dziś są nim rozczarowani. Z drugiej strony, jako posłuszny członek partii idzie na ustępstwa i wyciąga rękę do progresywnych wyborców.

Widać to w jego programie gospodarczym, zatytułowanym „Build Back Better” (Odbudować lepiej), który ma wyciągnąć Stany z kryzysu wywołanego przez epidemię. Oprócz postulatów polegających na popieraniu tego, co amerykańskie – jak stawianie na produkty z USA i inwestycje w badania (m.in. w zakresie sztucznej inteligencji i technologii 5G) – Biden idzie w stronę socjalnego rozdawnictwa. Obiecuje darmowe uczelnie dla Amerykanów z niezamożnych rodzin, inwestycje w czarnych i brązowych dzielnicach, bezpłatne przedszkola dla 3- i 4-latków, a także dotacje na opiekę nad młodszymi dziećmi.

Uklonem w stronę lewego skrzydła Partii Demokratycznej jest plan budowy gospodarki opartej na czystej energii, warty 2 biliony dolarów. Biden chce inwestować w elektrownie wiatrowe, pojazdy elektryczne i ekologiczne domy, co pozwoliłoby ograniczyć emisję gazów cieplarnianych.

O tym, jak progresywny stał się Biden, przekonywał podczas wirtualnej konwencji Bernie Sanders. Chwalił byłego rywala za obietnice dotyczące podwyższenia federalnej płacy minimalnej, cięć kosztów ubezpieczeń zdrowotnych i wprowadzenia płatnych urlopów na opiekę nad dzieckiem. Przekonywał też, że Biden lepiej niż Trump pokieruje krajem w dobie kryzysu spowodowanego przez epidemię.

Mąż stanu

Biden od dawna krytykuje Trumpa, że zlekceważył zagrożenie związane z epidemią, a potem spieszył się z odmrażaniem gospodarki i ignorował ostrzeżenia naukowców. W przeciwieństwie do prezydenta, pokazuje się w miejscach publicznych w maseczce i stara się budować wizerunek odpowiedzialnego lidera. Znajduje to odbicie w sondażach. Według badania dla telewizji PBS 53 proc. respondentów uważa, że Biden lepiej stawia czoło epidemi (za Trumpem opowiada się 37 proc.).

Wizerunek Bidena jako męża stanu podczas konwencji eksponowała Michelle Obama, była pierwsza dama. W emocjonalnym wystąpieniu przekonywała, że jest on „bardzo przyzwoitym człowiekiem”, który w dobie pandemii potrafi zrozumieć ból po śmierci bliskich. Bo życie Bidena nie oszczędzało. Jako świeżo wybrany senator w 1972 r. stracił w wypadku samochodowym żonę Neilę i roczną córeczkę Naomi. Kilka dekad później, gdy rozważał start w wyborach prezydenckich w 2016 r., na raka zmarł jego najstarszy syn Beau.

Sporą część swojego wystąpienia Michelle Obama poświęciła atakom na Trumpa. Wytknęła mu, że nie ma za grosz empatii, a sprawowanie funkcji prezydenta „już dawno go przerosło”. Przekonywała, że jedynym sposobem na opanowanie chaosu w kraju jest poparcie Bidena. „Zagłosujcie na niego, tak jakby od tego zależało wasze życie” – mówiła. Według ekspertów Michelle Obama nie tylko zagrzewała wyborców do gło-

sowania, ale puszczała też oko do białych matek z przedmieść. To właśnie ta grupa – tradycyjnie konserwatywna, ale rozczarowana Trumpem – w 2018 r. pomogła Demokratom odzyskać większość w Izbie Reprezentantów.

Niechęć do prezydenta sprawia, że w wirtualnej konwencji wzięło udział także kilku członków Partii Republikańskiej, m.in. była kongresmenka ze stanu Nowy Jork Susan Molinari i Christine Todd Whitman, była gubernatorka New Jersey, która – jak donosi dziennik „USA Today” – na kampanię Bidena wpłaciła 500 tys. dolarów. Republikańską gwiazdą konwencji był John Kasich, niegdyś gubernator Ohio i rywal Trumpa w prawyborach Partii Republikańskiej w 2016 r. „Jestem Republikaninem, ale moja przynależność partyjna ma mniejsze znaczenie niż odpowiedzialność wobec kraju” – mówił Kasich, apelując do konserwatywnych wyborców, aby głosowali na Demokrate.

Oczywiście poparcia Bidenowi udzielił jego były szef i prezydent Barack Obama. W przemówieniu transmitowanym z Muzeum Rewolucji Amerykańskiej w Filadelfii podkreślał, że to wiceprezydent Biden stał u jego boku, gdy Stany wychodziły z kryzysu gospodarczego sprzed dekady. Nazwał Bidena „przyjacielem” i podkreślił, że w przeciwieństwie do Trumpa, „będącego zagrożeniem dla amerykańskiej demokracji”, ma on kompetencje do rządzenia.

Przewaga się zmniejsza

Także inni przedstawiciele partyjnej śmietanki – jak Hillary Clinton, senatorka Elizabeth Warren i kandydatka na wiceprezydenta Kamala Harris – przedstawiali Bidena jako empatycznego i opawanego lidera, który wyciągnie Stany z kryzysu i wzmocni ich pozycję na świecie.

Konwencja, oglądana przez ok. 20 mln Amerykanów, stała się niepowtarzalną okazją, aby podkreślić mało porywającą dotąd kampanię Bidena. Jeszcze zanim przyjął on partyjną nominację, o głosy wyborców zabiegał głównie zdalnie – ze swojego domu w Wilmington. Uczestniczył w wirtualnych spotkaniach wyborczych i udzielał wywiadów. Zapytany na początku lipca, czy zamierza organizować wiece, odpowiedział, że będzie przestrzegał zaleceń epidemiologów i zrezygnuje z dużych zgromadzeń.

Niektórzy złośliwi mówią, że to dla niego wygodne, bo Biden słynie z popelniania gaf i nie jest najlepszym mówcą (choć akurat mowa podczas konwencji mu się udała). Jeśli już organizuje teraz kameralne spotkanie z wyborcami (wszyscy noszą maski i zachowują odpowiednią odległość), to zazwyczaj jest to graniczka z Delaware Pensylwania.

Na dwa i pół miesiąca przed wyborami – i po dołączeniu do tandemu młodszej o 22 lata Kamali Harris – jest jasne, że to musi się zmienić. Jak donosi „Washington Post”, to właśnie Harris znacznie objadówkę po kluczowych stanach, gdzie będzie wzmacniała poparcie wśród czarnoskórych, kobiet z przedmieść i młodych Amerykanów.

Harris i Biden muszą działać sprawnie, bo zmniejsza się ich sondażowa przewaga nad duetem, który tworzą Donald Trump i wiceprezydent Mike Pence. Z sondażu CNN opublikowanego tuż przed konwencją Partii Demokratycznej wynika, że na jej kandydatów chce głosować 50 proc. zarejestrowanych wyborców, a na tandem Republikanów – 46 proc. Na-

tomiast w zestawieniu dotyczącym stanów, które uważane są za kluczowe dla tego wyścigu, przewaga Bidena i Harris wynosi mniej, bo zaledwie jeden procent (49 do 48).

Wyjść z cienia

Gdy Demokraci podczas konwencji nie szczędzili gorzkich słów Trumpowi, ten mnożył ataki na Twitterze i spotykał się z wyborcami w Wisconsin, Arizonie, Pensylwanii i Minnesocie. Kilka godzin przed uroczystym zakończeniem konwencji Demokratów prezydent odwiedził fabrykę w pobliżu miasta Scranton w Pensylwanii, gdzie urodził się Biden. Atakował rywala w takich kwestiach jak podatki, dostęp do broni palnej, polityka migracyjna i reforma policji.

I choć walczący o reelekcję prezydent jest być może swoim największym wrogiem w tym wyścigu, to Biden musi w końcu wyjść z cienia. Tym bardziej że pod koniec września czeka go pierwsza telewizyjna debata z Trumpem. Nikt z partii mu wtedy nie pomoże.

© MARTA ZDZIEBORSKA

W sobotę 15 sierpnia
zmarł

Ś.†P.

Henryk Wujec

wspaniały, wielkiego serca Człowiek.
Współzałożyciel KOR, opozycjonista, polityk,
a przede wszystkim społecznik z powołania.

Człowiek wrażliwego serca.
Przyjaciół Polskiej Akcji Humanitarnej,
wielokrotnie wspierał nasze akcje pomocy,
był wieloletnim członkiem Komisji Rewizyjnej.

Składamy szczerze kondolencje
Jego żonie Ludwice i Jego Rodzinie.

PRZYJACIELE
Z POLSKIEJ AKCJI HUMANITARNEJ



Inna retoryka, te same cele

ROBERT S. ROSS, POLITOLOG:

W razie zwycięstwa Bidena USA będą nadal rozwijać stosunki z Polską, bo to kraj kluczowy dla przeciwdziałania wpływom Rosji. Ale relacje będą bardziej złożone niż dzisiaj.

MARTA ZDZIEBORSKA: Dyplomacja Trumpa to ataki na Twitterze, wojny handlowe i nieufność wobec organizacji międzynarodowych. Czego możemy spodziewać się po polityce zagranicznej Joego Bidena?

ROBERT S. ROSS: Biden zapewne wróci do tradycyjnej dyplomacji kształtowanej po zimnej wojnie. On lepiej niż Donald Trump rozumie politykę międzynarodową, słucha ekspertów i wierzy

ROBERT S. ROSS jest profesorem nauk politycznych w Boston College, specjalistą od stosunków amerykańsko-chińskich. Związany też z John King Fairbank Center for Chinese Studies na Uniwersytecie Harvarda.

w naukę. Nie będzie podważał dyplomacji wielostronnej i organizacji takich jak NATO czy Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Już zapowiedział, że w razie wygranej odwróci decyzję Trumpa o wycofaniu Stanów z WHO i porozumienia klimatycznego [nakłada ono obowiązek ograniczenia emisji gazów cieplarnianych – red.]. Biden krytykuje też wojnę handlową z Chinami. To, że współzawodniczymy z Pekinem, nie oznacza, że zawsze trzeba iść na noże.

Trump zarzuca Bidenowi, że jako prezydent będzie zbyt łagodny i nie stawi czoła rosnącej potęgze militarnej i gospodarczej Chin.

Ale co do meritum, to gdyby wygrał Biden, obecna polityka USA wobec Chin się nie zmieni. Będziemy dalej rywalizować z Pekinem. Biden będzie umacniał obecność naszej marynarki w Azji Wschodniej, gdzie Chiny rozwijają swoją strefę wpływów. Z niepokojem patrzymy na rozbudowę chińskiej marynarki, lotnictwa i arsenału pocisków balistycznych. Stany będą też walczyły ze szpiegostwem, kradzieżą amerykańskiej własności intelektualnej i ekspansją technologiczną Chin. Tylko sposób realizacji może być mniej konfrontacyjny. Pora odejść od zimnowojennej retoryki, jaką stosuje sekretarz stanu Mike Pompeo.

W lipcu Pompeo zamknął konsulat Chin w Houston, określając go jako „ośrodek szpiegostwa”. Nałożono

też sankcje na chińskich urzędników w związku z represjami wobec muzułmańskich Ujgurów. Czy to przypadek, że administracja Trumpa zaostreza kurs przed wyborami?

To oczywiście element kampanii. Obwiniając Pekin o tuszowanie skali epidemii w Chinach, prezydent stara się odciągnąć uwagę od tego, że sam nie radzi sobie z kryzysem w USA. W jego administracji nie brakuje też „jastrzębi”, którzy dążą do zimnej wojny z Chinami.

Skupmy się na relacjach z Europą. Administracja Trumpa chce wycofać z Niemiec część wojsk USA. Czy Biden, który zapewnia o odbudowie relacji atlantyckich, wycofa się z tej decyzji? W 2012 r. Obama też wycofał część wojsk z Europy.

Nie sądzę, żeby Biden poszedł w innym kierunku niż poprzednicy. Ameryka musi się skupić na obecności wojskowej w Azji. Europa nie jest już priorytetem. Skończyły się czasy, gdy Stany są głównym gwarantem bezpieczeństwa w Europie. Wielka Brytania, Niemcy czy Francja są silne gospodarczo i mogą inwestować w swoje armie. Z punktu widzenia USA brakuje tutaj logiki. Bo skoro Europa chce, abyśmy bronili jej przed Rosją, to czemu stawia na współpracę energetyczną z Putinem? Administracja Trumpa ma rację, krytykując Niemcy za Gazociąg Północny. Biden będzie robić to samo, ale stosując mniej agresywną retorykę.

A jakie miejsce w transatlantyckiej układance zajmuje Polska? Trump pielęgnował relacje z Warszawą, bo było mu z rządem PiS po drodze.

To prawda. Trump chciał rozwijać współpracę z Polską po części dlatego, że wasz rząd wspierał jego prezydenturę. A w przypadku Trumpa to kluczowe: jeśli mnie lubisz i szanujesz, to ja też okażę ci respekt. W przypadku zwycięstwa Bidena relacje z Polską będą bardziej złożone. Oczywiście Ameryka nadal będzie rozwijała stosunki dwustronne. Polska to kraj wschodniej flanki NATO, kluczowy dla przeciwdziałania wpływom Rosji. Nie oznacza to jednak, że Biden nie będzie krytykował polskiego rządu, jeśli ten będzie łamał prawa człowieka. Polityka zagraniczna prezydenta Bidena nie będzie czarno-biała, jak za Trumpa.

© Rozmawiała w USA
MARTA ZDZIEBORSKA

18 sierpnia 2020 r. zmarł w Paryżu

Wojciech Karpiński

pisarz związany z „Kulturą” paryską i „Zeszytami Literackimi”, współzałożyciel „Res Publiki”, autor „Tygodnika Powszechnego”

Rodzinie i Przyjaciółom składamy wyrazy głębokiego współczucia

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Duet przeciw Trumpowi

PIOTR TARCZYŃSKI

Kamala Harris to dla Joego Bidena idealna kandydatka na zastępczynię. A jeśli wspólnie pokonają Trumpa, za kolejne cztery lata może zostać pierwszą prezydentką USA.

NIE MA ZASKOCZENIA – CO DO TEGO, po oświadczeniu Bidena, że na swoją przyszłą wiceprezydentkę wybrał Kamalę Harris, zgodni byli wszyscy. Sena- torka z Kalifornii była faworytką bukmacherów i opinii publicznej. Mimo to do samego końca jej wybór był niepewny. Najważniejszy rywal Donalda Trumpa w listopadowych wyborach zwlekał i decyzję ogłosił w ostatniej chwili, na tydzień przed konwencją Partii Demokratycznej, na której oficjalnie (choć *online*) odebrał nominację swojej partii.

Dylemat Bidena

Gdy w 2008 r. przegrywający w sondażach Republikanin John McCain wybrał na swoją wice Sarę Palin, nieznaną szerzej gubernatorkę Alaski, liczył, że w ten sposób wywróci prezydencki wyścig do góry nogami. Barack Obama, polityczny nowicjusz, potrzebował z kolei kogoś doświadczonego w sprawach zagranicznych i obeznanego z Waszyngtonem, więc jego wybór padł na Bidena, zasiadającego w Senacie od 35 lat.

Dziś ten sam Biden – już jako kandydat na prezydenta – stał przed dokładnie przeciwnym zadaniem: prowadzi w sondażach (choć jego dystans do Trumpa ostatnio maleje), więc żadna kontrowersja nie jest mu na rękę. Nie potrzebował też nikogo z większym od siebie doświadczeniem, lecz osoby na tyle kompetentnej, że byłaby w stanie od razu zasiąść w Gabinetcie Ovalnym, gdyby zaszła taka potrzeba. Jeśli Biden wygra w listopadzie, będzie najstarszym prezy-



SCOTT STRAZZANTE

Kamala Harris zaczyna swoją kampanię w prawyborach Partii Demokratycznej – kilka przecznic od miejsca, gdzie się urodziła. Oakland w Kalifornii, 27 stycznia 2019 r.

dentem USA w historii – i choć cieszy się dobrym zdrowiem, to nie sposób udawać, że w tej kampanii jego wiek nie odgrywa roli.

Potrzebował też kogoś, kto wzbudzi entuzjazm wyborców Partii Demokratycznej, a przynajmniej ich części. Biden zwyciężył w prawyborach, ale jest kandydatem rozumu, nie serca – nawet wśród centrowo nastawionych Demokratów nie budzi ekscytacji. W przeciwieństwie do Trumpa, przez swój elektorat uwielbianego wręcz bałwochwalczo.

Ów deficyt entuzjazmu zgubił cztery lata temu Hillary Clinton, której na pewno nie pomogło dobranie sobie na zastępcę senatora Tima Kaine'a, człowieka wielkiej poczciwości, lecz zupełnie bez-

barwnego. Amerykański system elektor- ski faworyzuje Republikanów, więc do zwycięstwa Demokraci potrzebują zdecydowanej przewagi – muszą zmobilizować do głosowania kobiety i mniejszości, nie zrazić lewego skrzydła swej partii, ale też przyciągnąć rozzaczarowanych Trumpem wyborców niezależnych.

Szukając zastępczyni

Gdy w ostatniej prawyborczej debacie z Bernieem Sandersem Biden zapowiedział, że na swojego wiceprezydenta weźmie kobietę, za jednym zamachem wyeliminował większość wschodzących gwiazd Partii Demokratycznej: Pete'a Buttigiegę, Cory'ego Bookera czy Juliana Castro. Liderkami wiceprezydenckiego →

→ wyścigu zostały trzy pokonane rywalki do nominacji, senatorki Elizabeth Warren, Amy Klobuchar i Kamala Harris.

Bidenowi, który podkreśla znaczenie wspólnoty poglądów między prezydentem i jego wice, najbliższa była centrowa Klobuchar. Lewicowa Warren dawała z kolei szansę na porwanie rozczarowanych przegraną Sandersa progresistów. Kamala lokowała się gdzieś między nimi. Pewne było jedno: po Demokratce Geraldine Ferraro (w 1984 r.) i Republikance Sarze Palin (w 2008 r.) zastępczyni Bidena miała być dopiero trzecią kobietą nominowaną przez którąś z głównych partii na to stanowisko.

Protesty, które wybuchły po śmierci George'a Floyda, wywarły decydujący wpływ na poszukiwania zastępczyni. Ruch Black Lives Matter zmienił sposób postrzegania systemowego rasizmu w Stanach, zwrócił uwagę na to, że policja i wymiar sprawiedliwości traktują Afroamerykanów gorzej niż pozostałe grupy etniczne. Klobuchar, która jako prokurator w Minneapolis częściej stawiała po stronie policji niż ofiar policyjnej brutalności, sama wycofała się z wyścigu. Zmalały też szanse Warren, w dodatku niewiele młodszej od Bidena, a zatem nieoferującej pokoleniowej zmiany.

Rosła presja na Bidena, by wybrał czarnoskórą kobietę. Harry Reid, były przywódca Demokratów w Senacie, powiedział: „Afroamerykanki to nasz najlojalniejszy elektorat i zasługują wreszcie na czarną wiceprezydentkę”. Co więcej, to czarni Amerykanie zapewnił Bidenowi wygraną w prawyborach, miał więc wobec nich dług wdzięczności. Gdyby mimo wszystko zdecydował się na białą wiceprezydentkę, padłoby – słuszne – pytanie: czegoż takiego brakowało wszystkim niebiałym kandydatkom, że nie zdecydował się na żadną z nich?

Lista potencjalnych zastępczyń zaczęła się wydłużać. Mówiło się o Susan Rice, byłej doradczyni Obamy ds. bezpieczeństwa narodowego, o Karen Bass, szefowej Koła Czarnych w Kongresie. Za Rice mieli lubować Obamowie, za Bass progresywne skrzydło partii. Pod uwagę brano też kongresmenkę Val Demings, burmistrzynie Atlanty Keishę Lance Bottoms i niedoszlą senatorkę Stacey Abrams. Brakowało im jednak ogólnokrajowej rozpoznawalności – wybór któregoś z nich oznaczałby, że sporo czasu trzeba będzie poświęcić na przedstawienie kandydatki Ame-

rykanom, ryzykując, że jej wizerunek w oczach wyborców ukształtuje czarna propaganda Republikanów.

Zalety i zarzuty

Kamala Harris, która zasłynęła w Senacie z merytorycznej krytyki Trumpa – i sama ubiegała się o prezydenturę – jest dobrze znana. W Senacie zasiada dopiero pierwszą kadencję, ale ma wieloletnie doświadczenie prokuratorskie, w tym sześć lat w fotelu prokurator generalnej stanu Kalifornia. Precyzyjna, w Senacie bezkompromisowo przesłuchiwała twórcę Facebooka Marka Zuckerberga i Brettę Kavanaugha (kandydata Trumpa do Sądu Najwyższego, oskarżonego o molestowanie).

Córka Jamajczyka i Induski, dla jednych jest dowodem na sukces imigracji, dla innych ucieleśnieniem mitu Stanów dających szansę każdemu, bez względu na pochodzenie. Gdy w Białym Domu zasiada wrogi imigrantom rasista, wybór Harris to wyraźny sygnał ze strony Demokratów, że reprezentują wielokulturową Amerykę przyszłości. Brak wyrazistych poglądów, który wcześniej pogryzł Harris w prawyborach, teraz zadziałał na jej korzyść – była do zaakceptowania dla każdego skrzydła Partii Demokratycznej.

Skąd więc tak silna opozycja wobec jej kandydatury w sztabie Bidena?

Kamala Harris miała być „zbyt ambitna” i „zbyt pewna siebie”, kiepsko radzić sobie w kampanii, nie budzić entuzjazmu Afroamerykanów, wreszcie niewystarczająco przeproszać za jej atak na Bidena w jednej z debat w 2019 r., gdy wspomniła mu pochwalne słowa wobec republikańskich senatorów wspierających segregację rasową.

Zarzucanie nadmiernej ambicji komuś, kto ubiega się o urząd prezydenta, musi dziwić – choć to od lat częsta pretensja wobec kobiet w polityce. Mężczyzna jest po prostu ambitny – kobieta „zbyt” ambitna (warto dodać, że w staraniach o prezydenturę Harris poradziła sobie i tak lepiej niż Biden, który nominację zdobył dopiero przy trzecim podejściu; taki upór to niewątpliwie oznaka ambicji).

Co do starcia w 2019 r.: Biden nie jest pamiętliwy (zresztą Obama, biorąc go na wice, też puścił w niepamięć jego krytyczne uwagi na swój temat). Swoją służbę u boku Obamy – bycie jego zaufanym doradcą, wręcz przyjacielem – Biden uważa

za idealny model relacji prezydenta z jego zastępcą, więc wybierając Harris musiał dojść do wniosku, że może jej ufać.

Właściwie jedyny sensowny zarzut dotyczy skomplikowanej relacji Harris z czarnymi wyborcami. Nikt nie kwestionuje, że jej wybór byłby historyczny, ale pamięta się jej, że jako prokuratorka często wchodziła w rolę „złej policjantki”: sprzeciwiała się obniżaniu kar, bezwzględnie ściagała za posiadanie marihuany (choć dziś z uśmiechem rzuca, że na studiach paliła trawę „jak wszyscy”). Z drugiej strony, nie sposób zaprzeczyć, że od tamtego czasu przesunęła się politycznie w lewo, a w Senacie – a zwłaszcza, odkąd rozpoczęły się protesty Black Lives Matter – opowiada się za głęboką reformą policji.

Między pokoleniami

Republikanie nie bardzo wiedzą, jak ugryźć Harris. Trump zaczął określać ją jako „agresywną”, „niemiłą”, „paskudną”. To jego kolejny seksistowski stereotyp: kobieta musi być „miła” i „sympatyczna”, inaczej zachowuje się „niekobieco” (oczywiście jeśli polityczka zachowa się sympatycznie, wtedy można zarzucić jej, że jest „niepoważna”).

Do tego dochodzi karta rasistowska. Na prawicy słychać głosy, że Harris tak naprawdę nie urodziła się w Stanach, a Trump (który karierę polityczną zaczął przecież od kwestionowania pochodzenia Obamy) teraz zaczął „tylko pytać”, czy to przypadkiem prawda. Pojawiają się też absurdałne zarzuty, że z racji mieszanego pochodzenia Harris nie jest „wystarczająco” czarna. Republikanie jednocześnie próbują zniechęcić do niej Afroamerykanów i lewicę, z drugiej zaś strony przedstawiają ją jako „najbardziej lewicową” osobę w Senacie.

Prawda jest jednak taka, że Harris to dla Bidena idealna kandydatka na zastępczynię: rozpoznawalna, doświadczona, kompetentna, charyzmatyczna, świetnie debatuje, daje szansę na zmobilizowanie części elektoratu, a do tego jest młodsza od niego o ponad 20 lat.

Mówi się o tym, że Biden, widzący się w roli pomostu między pokoleniami, nie będzie ubiegać się o reelekcję, więc wybierając Kamalę Harris świadomie postawił na osobę, która może zostać jego następczynią, a zarazem pierwszą prezydentką w historii USA.

Oczywiście pod warunkiem, że razem pokonają Trumpa. © PIOTR TARCZYŃSKI

W Sądzie Rejonowym w Ostrowie Wielkopolskim, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 800/16, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii vel Mariannie Michałowskiej, z domu Namysł, córce Jakuba i Wiktorii z domu Bojda, ur. 22 stycznia 1872 r. w Odolanowie, zm. 21 sierpnia 1949 r. w Odolanowie, to jest w miejscu swojego ostatniego zamieszkania. Z przeprowadzonego postępowania dowodowego nie wynika, by spadkodawczyni sporządziła testamenty. W chwili śmierci była wdową. Pozostawiła pięcioro dzieci: Annę Kurosińską, zm. 28 sierpnia 1994 r., Tadeusza Michałowskiego, zm. 29 stycznia 1979 r., Antoninę Rudnicką, zm. 20 lipca 1977 r., Marię vel Marianę Małuszek, zm. 18 marca 1967 r. i Stanisława Postaremczak, zm. 15 października 1973 r. W treści wniosku wskazano, że w skład spadku wchodzi udział w nieruchomości położonej w Poznaniu, przy ul. Kolejowej 46.

Sąd wzywa, by spadkobiercy Marii (vel Marianny) Michałowskiej lub ich następcy, w szczególności zstępni wyżej wymienionych dzieci spadkodawczyni (to jest ich dzieci, a jeżeli osoby te nie żyją – ich wnuki, a jeżeli osoby te także nie żyją – ich prawnuki itd.), w ciągu 3 (trzech) miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się w tutejszym sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 692/19 ze skargi Renaty Reinfeld toczy się postępowanie o wznowienie postępowania w sprawie I Ns 155/16, w którym Sąd stwierdził, że Skarb Państwa nabył przez zasiedzenie własność nieruchomości położonej w Chełmie przy ul. Bojowników o Demokrację nr 4 (obecnie ul. Dreszera 4), posiadającą księgę wieczystą nr hip. 52/56, stanowiącą uprzednio własność Josela Kupfera.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż mogą być pominięci w postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie, sygn. akt I Ns 999/19, o stwierdzenie nabycia spadku po Krzysztofie Jacku Oziębło zmarłym dnia 15 maja 2019 roku w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



KRÓL WYMYKA SIĘ TYLNYMI DRZWIAMI

Hiszpańska monarchia znalazła się na zakręcie. Urzędujący władca dwoi się i troi, aby przekonać rodaków o swej użyteczności.

KATARZYNA MOŁONIEWICZ

LIST BYŁ LAPIDARNY, ZAJMOWAŁ NIE WIĘCEJ NIŻ PÓŁ STRONY. „Wasza Wysokość, kochany Filipie (...) Wobec publicznych reperkusji wywołanych przez pewne wydarzenia z przeszłości dotyczące mojego życia prywatnego (...) pragnę ci zakomunikować moją przemyślaną decyzję opuszczenia Hiszpanii. (...) Zawsze cię kochający twój ojciec”.

W ten sposób emerytowany król Juan Carlos zamknął długi rozdział swego życia – oraz jakże ważny rozdział w historii Hiszpanii – pozostawiając swoim rodakom, przynajmniej na pewien czas, liczne znaki zapytania. Czy ma zamiar wyjechać, czy też już wyjechał? Chwilowo czy na zawsze? Sam czy też z bliską osobą? Czy zrobił to z własnej woli, czy na prośbę syna Filipa, obecnie panującego monarchy? Czy może uległ presji rządu w Madrycie? A jeśli wyjechał, to dokąd? Do Portugalii, Dominikany, Abu Dabi, Nowej Zelandii?

Żeglujące miliony

Odpowiedzi na te pytania mogłaby udzielić całkiem spora grupa osób, ale wszyscy milczeli przez długie dwa tygodnie. Milczał król Filip, milczała była królowa Zofia, żona Juana Carlosa, która pozostała w Hiszpanii. Milczał premier-socjalista i politycy opozycji. Wyjazd 82-letniego eksmonarchy, nad którego bezpieczeństwem czuwa czterech uzbrojonych policjantów opłacanych z budżetu państwa, musiał wymagać rozwiniętej logistyki.

Ale żaden z wtajemniczonych długo nie puszczał pary z ust. Dopiero w połowie sierpnia dwór królewski poinformował, że Juan Carlos przebywa w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Enigmatyczne „wydarzenia z przeszłości”, o których mowa jest w pożegnaldnym liście, mają związek z informacjami o prowizji (nazwijmy to prowizją; można też inaczej), którą król miał zainkasować za uzyskanie dla hiszpańskich firm kontraktu na budowę szybkiego pociągu w Arabii Saudyjskiej, z Medyny do Mekki. Dotyczą też możliwych prześpięstw podatkowych i prania brudnych pieniędzy za pośrednictwem figurantów.

Potok informacji o nieprzejrzystych finansach byłego dziś króla zapoczątkowały wyznania Corinny Larsen, dawniej przyjaciółki Juana Carlosa, nagrane przez emerytowanego komisarza policji Joségo Manuela Villarejo, specjalizującego się w zbieraniu haków na ważne osobistości. Media, łącznie z publiczną telewizją, mówiły o milionach euro, które miały żeglować między Arabią Saudyjską, Liechtensteinem i Panamą, aby dobić do bezpiecznej przystani szwajcarskich banków.

Sam Juan Carlos skarżył się z goryczą przyjacielowi: „Młodzi przed czterdziestką zapamiętają mnie tylko jako tego od Corinny, od słonia i od walizki pieniędzy”.

Rzeczywiście: powodów do tego, aby pamiętać o Juanie Carlosie, jest znacznie więcej.

Od pionka do króla

Juan Carlos, rocznik 1938, po raz pierwszy ogląda Hiszpanię z okien pociągu wiozącego go z Lizbony do Madrytu. Jego ojciec Juan Burbon, przebywający na wygnaniu w Portugalii, postanowił oddać 10-letniego syna na wychowanie dyktatorowi Francisco Franco, który dekadę wcześniej wygrał wojnę domową i teraz niepodzielnie włada krajem.

Mały zakładnik jest pionkiem w grze o przywrócenie monarchii w Hiszpanii. Poważny blondynek z kręconymi włosami wysiada na dworcu w Madrycie w otoczeniu smutnych panów w kapeluszach. Nie ma wśród nich żadnej kobiety. Juanito, urodzony w Rzymie i wychowany w katolickim internacie w Szwajcarii, mówi po hiszpańsku słabo i z francuskim akcentem. „Byłem wtedy niezłe wystraszony” – skomentuje po latach Juan Carlos, już jako król.

Franco dba o wychowanie chłopca w duchu bogoojczyźnianym. Traktuje go serdecznie, jak syna, którego nie miał, ale niczego nie obiecuje ani księciu, ani jego ambitnemu ojcu, prawowitemu następcy ostatniego króla Hiszpanii.

„Czułem się jak piłeczka pingpongowa, odbijana raz przez Franco, a raz przez ojca” – wspominał Juan Carlos.

Hiszpania jest wciąż monarchią bez króla. Młody człowiek posłusznie towarzyszy dyktatorowi w oficjalnych ceremoniach i firmuje swoją obecnością jego decyzje. Milczy, nie skarży się, czeka.



Juan Carlos – już jako były król Hiszpanii – przed katedrą w Palma de Mallorca, kwiecień 2018 r.

„W naszej rodzinie narzekanie było źle widziane. Nikogo nie interesowały twoje problemy. Bolała cię głowa, to siedziałeś cicho i kropka” – wspominała w telewizyjnym wywiadzie siostra Juana Carlosa, infantka Pilar.

W 1969 r., po 21 latach od przyjazdu na madrycki dworzec, Juan Carlos zostaje mianowany przez dyktatora na jego następcę – jako głowa państwa. Książę nałoży koronę w 1975 r., już po śmierci generalissimusa. W krążących wówczas dowcipach mówi się o nim Juan Carlos Krótki. Nikt nie wróży mu długich rządów ani nie wierzy w jego inteligencję.

Pilot zmiany

Po 36 latach krwawej dyktatury droga do demokracji jest w Hiszpanii trudna jak lawirowanie wśród podwodnych raf. Tymczasem kapitanem statku, ma-

jącym w rękę rzeczywistą władzę otrzymaną z rąk generalissimusa, zostaje właśnie on – niedoświadczony i pozbawiony politycznego wykształcenia Juan Carlos.

Na początek wygłasza znamienne zdanie, że chce być królem wszystkich Hiszpanów. W ówczesnej rzeczywistości, w kraju wciąż podzielonym na zwycięzców i zwyciężonych, na ludzi lepszego i gorszego sortu, ugoda jest postrzegana jako synonim zdrady.

Pierwszym mistrzowskim manewrem Juana Carlosa jest mianowanie premierem młodego Adolfa Suáreza, którego falangistowska przeszłość nie budzi obaw zwolenników reżimu. Hiszpański pisarz Javier Cercas stwierdzi potem w książce „Anatomia chwili”, że we współpracy z Juanem Carlosem „Suárez zbudował fundamenty demokracji z materiałów

dyktatury, przeprowadzając z powodzeniem niezwykle operacje, z których ta najbardziej niezwykła (...) zakładała likwidację frankizmu rękami samych frankistów. (...) To była wprost czarodziejska sztuczka. (...) Kortezy [parlament – red.] mianowane przez dyktatora pogrzebały frankizm” (przeł. Ewa Zaleska).

Dzięki zaangażowaniu Juana Carlosa do Hiszpanii powraca przywódca partii komunistycznej Santiago Carrillo, „czerwony diabeł”. Komuniści, których nikt nie posądziłby o sympatie monarchistyczne – a także socjaliści, tradycyjnie republikańscy – akceptują monarchię parlamentarną. W 1978 r. Hiszpanie zatwierdzają masowo w referendum demokratyczną konstytucję. Juan Carlos zostaje ochrzczony mianem pilota zmiany.

„Kraj był mu za to wdzięczny. Hiszpania nie stała się nagle monarchistyczna, ➔

→ ale stała się juancarlistyczna. Zaczęła ufać człowiekowi, który wśród politycznego zaciętrzewienia łagodził konfrontacje, którego przemówienia były pełne pozytywnych odniesień. Był przykładem rozważi, dojrzałości. Wykazał użyteczność monarchii na statku, który wydawał się pozbawiony kompasu” – napisał historyk José Álvarez Junco.

Alfonso Guerra, były socjalistyczny wicepremier, entuzjastycznie ocenia rolę króla w sukcesie hiszpańskiej transformacji: „Gdybym był wierzący, powiedziałbym, że to cud”.

Długa lutowa noc

23 lutego 1981 r. hiszpańska demokracja i wraz z nią monarchia przechodzą najcięższą próbę: do Kongresu (izby niższej parlamentu) wdzierają się grupa uzbrojonych członków paramilitarnej Guardii Civil; na ich czele stoi podpułkownik Antonio Tejero.

Wąsaty oficer w charakterystycznej trójkątnastej czapce krzyczy do osłupiałych posłów: „Wszyscy na ziemię, kurwa!”. Rozlegają się serie z pistoletów maszynowych. Posłowie oraz rząd w pełnym składzie stają się zakładnikami puczystów, którzy ogłaszają, że działają za wiedzą i zgodą króla. Zajęta przez spiskowców telewizja nadaje muzykę wojkową.

Cała Hiszpania czeka, co zrobi Juan Carlos.

We wspomnianej „Anatomii chwili” Javier Cercas odtwarza wydarzenia tamtej długiej nocy: „Stanowisko dowodzenia kontrzamachem znajdowało się w pałacu Zarzuela, w królewskim gabinecie, gdzie

Tradycyjne formacje
polityczne – konserwatyści
i socjaliści – boją się, że zmiana
systemu konstytucyjnego
Hiszpanii może być
zapalnikiem ekstremizmów
i separatyzmów,
**zagrożających
jedności kraju.**

król pozostawał całą noc w towarzystwie swego sekretarza, królowej, swego syna Filipa, wówczas trzynastoletniego chłopca. (...) Jakkolwiek zgodnie z konstytucją król był jedynie symbolicznym zwierzchnikiem sił zbrojnych, a rzeczywista kontrola nad wojskiem należała do premiera i ministra obrony, w tej wyjątkowej sytuacji król podjął działania jako dowódca sił zbrojnych i od pierwszej chwili zaczął wydawać wojsku rozkazy podporządkowania się prawu”.

I dalej: „Po przemówieniu telewizyjnym, w którym król potępił atak na Kongres i zażądał przestrzegania konstytucji, wiele ludzi w całym kraju, aż do tej pory czekających przy radiu i przed telewizorem na rozwój wydarzeń, poszło spać i niemal wszyscy poczuli, że wystąpienie monarchy sygnalizuje koniec zamachu”.

Tak się faktycznie stało: rankiem Tejero skapitulował.

Murem za władcą

W 1984 r. para królewska odwiedza po raz pierwszy Związek Sowiecki. Wydają przyjęcie dla kolonii hiszpańskiej w Moskwie, wśród której największą grupę stanowią uchodźcy republikańscy.

– Byłem na tym przyjęciu jako młody stypendysta – opowiada mi uczestnik tamtego wydarzenia. – Ci twarde komuniści byli oczarowani królem. Juan Carlos podchodził do wszystkich po kolei, rozmawiał, żartował. Ujmował bezpośredniością i serdecznością. Zjednał ich sobie co do jednego, choć, jak mówili, nie zachwiał ich republikańskich przekonań.

W istocie, Juan Carlos przez lata jednoczył Hiszpanów. Do tej pory wielu ma łzy w oczach na wspomnienie inauguracji letniej olimpiady w Barcelonie w 1992 r. i uśmiechniętego chorążego reprezentacji, księcia Filipa, machającego hiszpańską flagą. Królewska para pozostała w Barcelonie przez całe igrzyska. Jako szczęśliwy talizman reprezentacji, która zdobyła wówczas rekordową liczbę 22 medali.

Trudno to sobie wyobrazić dzisiaj. Pojawienie się członka rodziny królewskiej w stolicy Katalonii teraz powitano by zapewne symfonią gwizdów, a hiszpańska flaga utonąłaby w morzu symboli katalońskiego separatyzmu.

Gorzkie trofeum

Gdy Hiszpania pokonała z sukcesem ostry zakręt historii, nastąpiły czasy przewidywalnej demokracji. Król, tak ostrożny i rozważny w trudnych chwilach, stracił czujność. Dyskretne romanse stawały się coraz bardziej publiczne. Królewskie rozrywki raziły anachronicznym luksusem. Pojawiały się wiadomości o nieprzejrzystych interesach – prowadzonych nie tylko przez królewskiego zięcia Iñakiego Urdangarína, koniec końców skazanego za przestępstwa finansowe na osiem lat więzienia, ale także przez samego monarchę. Zrodziły się podejrzenia, że Urdangarín wykorzystywał swoją pozycję dla osobistych korzyści zachęcony przykładem teścia.

– O tym, że król ma romanse, wiadano od zawsze. Nie wymawiali mu tego ani politycy, ani zwykli obywatele, ani dziennikarze – mówi mi Andrés Armas, były szef Unii Telewizji Prywatnych. – Już w latach 80. XX w. szefowie największych mediów zawarli niepisana umowę, nazywaną „paktem rozporkowym”, na

Ś.†P.

Maria Gumińska

Ukochana Żona

przeżywszy lat 87, opatrzona Św. Sakramentami,
zmarła dnia 9 sierpnia 2020 r.

Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w poniedziałek,
17 sierpnia 2020 r. o godzinie 12.20 w kaplicy na cmentarzu Batowickim
ul. Powstańców, po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku,
o czym zawiadamia pogrążony w głębokim smutku

Mąż



Książe Juan Carlos i jego żona księżniczka Zofia w ogrodach Pałacu Zarzuela. Madryt, początek lat 70. XX wieku.

mocy którego prasa nie mieszała się do życia intymnego króla. Juan Carlos miał szczęście, bo kobiety, z którymi się spotykał, były dyskretne.

– Przez dekady media milczały też o innych sprawach, które mogłyby króla zdyskredytować – dodaje Armas. – Uważano, że złamanie „paktu rozporkowego” może zagrozić paktowi konstytucyjnemu, czyli podstawie hiszpańskiej demokracji.

W 2012 r. Hiszpania walczyła z najgorszym od lat kryzysem gospodarczym, którego skutkiem było 26-procentowe bezrobocie. Nie najlepszy moment, aby głowa państwa wybrała się na safari do Afryki.

Wyprawa pozostałaby tajemnicą, gdyby 74-letni monarcha nie złamał biodra. Wyszło też na jaw, że Juan Carlos pojechał do Afryki w towarzystwie znacznie młodszej od siebie kobiety, przyszywanej arystokratki Corinny Larsen.

Zdjęcie hiszpańskiego króla w triumfalnej pozie na tle upolowanego słonia obiegło cały świat. Pod społecznym i politycznym naciskiem monarcha – nieskłony do wyjaśnień – musiał się publicznie pokajać. Pogromca afrykańskich słoni, rumuńskich niedźwiedzi i biało-

wieskich żubrów tłumaczył się przed kamerami jak przylapany na psocie chłopiec: „Bardzo przepraszam. Popęliłem błąd. To się więcej nie powtórzy”.

Król emeryt

Starzejący się Juan Carlos przechodził też kolejne operacje. W sumie będzie ich siedemnaście. Chodzi o lasce. Myli się, czytając przemówienia. Nie daje już rady utrzymać wizerunku dziarskiego i wysportowanego mężczyzny o dumnej postawie. Nie może też powstrzymać kolejnych przecieków na temat swych finansów.

W 2014 r. wypowiada słowa: „Kierując się pragnieniem najlepszego służenia Hiszpanom (...) postanowiłem zakończyć swe panowanie i abdykować jako król Hiszpanii”.

Po ceremonii abdykacyjnej Juan Carlos, żegnany gromką owacją, przywołuje swe śliczne jak z obrazka wnuczki, Leonor i Zofię. Pochyla się, aby je uściskać, po czym traci na chwilę równowagę i upada na krzesło.

Sześć lat później, w środku szalejącej pandemii, jego syn król Filip VI pozbawił go w publicznym komunikacie asygnowy z budżetu korony, wynoszącej 200 tys. euro rocznie, a także zrezygnuje ze

spadku po ojcu. Jednak te drastyczne posunięcia nie wystarczą, aby wybielić wizerunek monarchii. Nie wobec dokumentów ze szwajcarskich banków, podpisanych przez ich klienta Juana Carlosa de Borbón y Borbón, który jako swój adres zamieszkania podaje królewski Pałac Zarzuela w Madrycie.

Republika na horyzoncie?

– Oczywiście, że jestem zwolennikiem republiki – mówi mi Andrés, prawnik z Madrytu. – Ale nie teraz, nie w obecnej Hiszpanii. Korona daje stabilność, której naszemu krajowi bardzo dziś potrzeba. Gdybyśmy mieli prezydenta, należałoby on pewnie do jakiejś partii i mógłby być bardzo skrajny, gdyby takie były partyjne priorytety. Zresztą tobie, Polce, nie muszę tego tłumaczyć – kontynuuje mój rozmówca. – U nas król jako głowa państwa nie włącza się obcesowo w walkę polityczną.

Tradycyjne formacje polityczne, będące gwarantami obecnego systemu konstytucyjnego – czyli zarówno konserwatywna Partia Ludowa, jak też Partia Socjalistyczna – jak ognia boją się zmieniać porządek, który ustaliła konstytucja z 1978 r. Uważają, że zmiany mogłyby stać się zapalnikiem ekstremizmów i separatyzmów, zagrażających jedności Hiszpanii. Ale lewicowa partia Unidas Podemos – o antysystemowym rodowodzie, współtworząca dziś wraz z socjalistami koalicję rządową – zaczyna mówić o „republice na horyzoncie”.

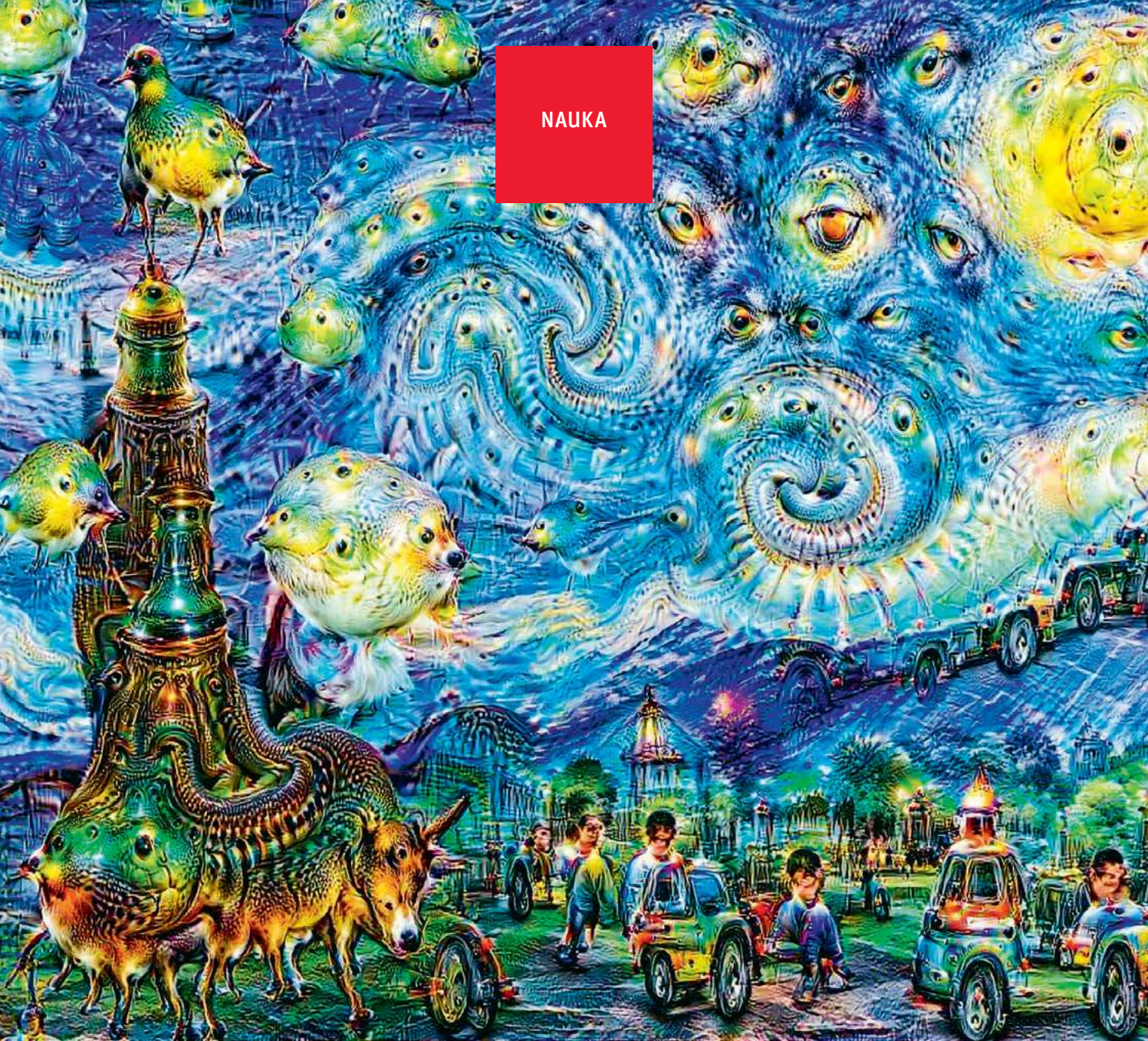
Reakcje na opuszczenie Hiszpanii przez Juana Carlosa są tak różne, jak zróżnicowane jest hiszpańskie społeczeństwo. Jedni nazywają jego wyjazd ucieczką i skandalem. Inni mówią o niegodnej nagonce na człowieka, któremu Hiszpania tak wiele zawdzięcza. Ale zdanie, które chyba najlepiej ilustruje nastroje w tym udręczonym przez koronawirus kraju, brzmi: „Tylko tego nam jeszcze brakowało”.

Filip VI dwoi się i troi, aby przekonać rodaków o użyteczności monarchii. Nawet podczas sierpniowych wakacji, spędzanych tradycyjnie na Majorce, królewski terminarz pełen jest spotkań i wizyt.

W trakcie jednej z nich do księżniczki Leonor, następczyni tronu, podchodzi dziewczynka. „A ty, kim chcesz być, jak dorosniesz?” – pyta niefrasobliwie.

Oto jest pytanie.

© KATARZYNA MOŁONIEWICZ



NAUKA

Tak mógłby dziś malować van Gogh. Ale ten obraz stworzyła sztuczna inteligencja, w ramach projektu Magenta firmy Google.

CO SIĘ DZIEJE W CZARNYCH SKRZYNKACH

Systemy automatycznego podejmowania decyzji
odgrywają coraz ważniejszą rolę w naszym życiu. Nie rozumiemy ich działania.
Ale możemy się do nich przyzwyczaić.

JAREK GRYZ

PRAWIE KAŻDE NASZE DZIAŁANIE ZOSTA-
wia dziś jakiś cyfrowy ślad. Aplikacje mobilne, takie jak Uber czy Google Maps, znają nasze położenie, wyszukiwarka Google wie, co nas interesuje, a media społecznościowe znają nasze poglądy polityczne. Ktoś te dane zbiera, analizuje i wykorzystuje, większość z nas nie widzi zaś w tym nic groźnego (albo uznaje, że zalety tych aplikacji i tak przeważają nad ich wadami).

Jednak w ostatnich latach systemy sztucznej inteligencji zaczęły być wykorzystywane w dziedzinach, które mają bezpośredni i ważki wpływ na nasze życie. Coraz częściej algorytmy podejmują decyzje o zatrudnieniu, przyznaniu pożyczki bankowej, a nawet wspomagają sędziów w wydawaniu wyroków. Ma to oczywiście swoje zalety. Decyzje ludzkie obciążone są zawsze pewną dozą arbitralności: podanie o pracę od najbardziej nawet wykwalifikowanego kandydata może być odrzucone przez potencjalnego szefa tylko dlatego, że ten źle spał poprzedniej nocy. Patrzymy z nadzieją na automatyzację takich decyzji, bo algorytmy – w przeciwieństwie do ludzi – orzekają spójnie i bezstronnie.

Mimo to czujemy się nieswojo, kiedy algorytmy zastępują ludzi, zwłaszcza że wiele z nich to tzw. czarne skrzynki – ich mechanizm działania jest przed nami ukryty.

Prawo do wyjaśnienia

Pojawiają się wręcz teorie spiskowe. Frank Pasquale w wydanej w zeszłym roku głośnej książce pod znamienym tytułem „The Black Box Society” pisze, że wielki biznes i agencje rządowe ukrywają w ten sposób swoje machinacje. Niezależnie od wiarygodności tego rodzaju oskarżeń pytanie o to, w jaki sposób algorytm podejmuje decyzje, jest uzasadnione. Chcemy wyjaśnienia jego działania. W sukurs użytkownikom przyszli ostatnio prawnicy, argumentując, że skoro obywatel ma prawo podważać wyroki ferowane przez automatyczne systemy (rzeczywiście ma), musi mieć też wgląd w mechanizm ich działania. W 2018 r. przywilej ten został wręcz usankcjonowany w unijnym rozporządzeniu o ochronie danych osobowych (słynnym RODO) pod nazwą „prawa do wyjaśnienia”.

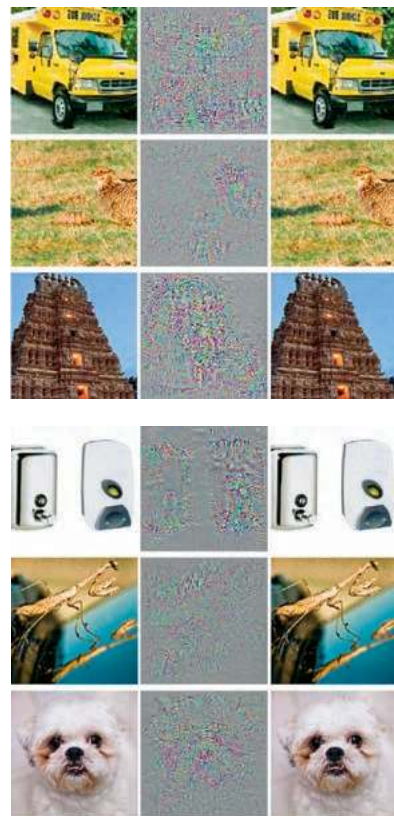
Ale co dokładnie miałyby być wyjaśniane? Wbrew pozorom nie chodzi

wcale o algorytm zbudowany przez informatyka. Budowa i działanie automatycznego systemu podejmowania decyzji przebiega bowiem w dwóch fazach. W fazie pierwszej stworzony przez informatyków algorytm do klasyfikacji danych samodzielnie uczy się na podstawie dostarczonych mu danych (np. mówiących o tym, że dana ilustracja przedstawia słonia, a inna żyrafę; albo że w jednym konkretnym przypadku przyznano pożyczkę, w innym konkretnym – nie przyznano) i buduje model działania. I to właśnie ten model, a nie algorytm użyty do jego budowy, jest istotą systemu automatycznego podejmowania decyzji. Albowiem w fazie drugiej użytkownik systemu, np. klient banku starający się o pożyczkę, wprowadza do niego swoje dane (wiek, wysokość wynagrodzenia itd.), a system na podstawie już skonstruowanego modelu – a nie pierwotnego algorytmu – podejmuje decyzję o wielkości pożyczki. A zatem to nie algorytm – którego struktura jest od początku klarowna i ustalona przez programistów – lecz model, którego struktura wyłania się dopiero w toku uczenia się, wymaga wyjaśnienia.

Tyle tylko, że projektant systemu ma bardzo niewielki wpływ na to, jak taki model działa (w końcu to algorytm samodzielnie go konstruuje) i nie interesuje go to dopóty, dopóki decyzje podejmowane na jego podstawie są „poprawne” (np. człowiek mając identyczne dane zdecydowałby tak samo). Dla projektanta ten model to po prostu czarna skrzynka, do której my nagle chcemy zajrzeć i wyjaśnić jej działanie. Otóż nie warto. Jest to niemożliwe, nieuzasadnione i nieskuteczne.

Gdzie jest struś

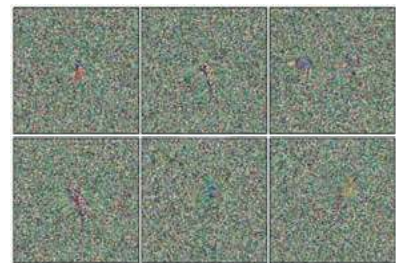
Znakomita większość algorytmów klasyfikacyjnych, o których tu mowa, działa na bazie sieci neuronowych lub drzew decyzyjnych. Nie da się, nawet w skrócie, opisać bez technicznego żargonu sposobu działania sieci neuronowych. Posłużę się więc dwoma przykładami, by pokazać, że modele budowane przy ich użyciu są zupełnie niezrozumiałe dla człowieka. AlexNet to system oparty na sieciach neuronowych, który kilka lat temu odnosił ogromne sukcesy w dziedzinie rozpoznawania obrazów. Ale okazało się, że jest niezwykle łatwo wprowadzić ten system w błąd. Spójrzmy na poniższe pary obrazków.



CHRISTIAN SZEGEDY ET AL. 92

Fotografie po lewej stronie są poprawnie rozpoznawane przez AlexNet jako autobus, świątynia, pies itp. Wszystkie te fotografie poddane zostały obróbce przez zmianę niektórych pikseli (pokazanych na środkowych zdjęciach). Fotografie po prawej stronie to wynik tych zmian. Dla ludzkiego oka fotografie z każdej pary wyglądają identycznie, dla AlexNet wszystkie zdjęcia po prawej stronie przedstawiają... strusia.

Oto drugi przykład przedstawiający – no właśnie, co?



ANH NGUYEN ET AL.

Dla nas wszystkie te obrazki są losowo rozrzuconymi pikselami. Tymczasem AlexNet z 99-procentową pewnością rozpoznaje na nich konkretne organizmy (drozd, gepard, pancernik, stonoga, paw, owoc chlebowca). Spróbujmy zatem wyjaśnić, dlaczego AlexNet widzi strusia tam, gdzie my widzimy autobus, albo →

⇒ pawia tam, gdzie my nic nie widzimy. I pamiętajmy, że oczekujemy odpowiedzi zrozumiałej dla przeciętnego człowieka, bez wspomniania pikseli, struktur danych czy algorytmów. Oczywiście jest to zupełnie nierealne. Znamienna jest tu wypowiedź guru w dziedzinie sieci neuronowych, Alego Rahimiego, na konferencji Neural Information Processing Systems (NIPS) sprzed trzech lat: „Uczenie maszynowe stało się alchemią (...) wielu projektantów sieci neuronowych używa technologii, której tak naprawdę nie rozumie”. Jeśli projektanci tych systemów nie rozumieją, jak one działają, to dlaczego oczekiwać tego od laików?

Muzyka dla ciebie

Drzewa decyzyjne mają nieco bardziej zrozumiałą strukturę niż sieci neuronowe, ale budowane na ich podstawie modele również są bardzo skomplikowane. Z grubsza biorąc, drzewa decyzyjne reprezentują zestawy warunków, których spełnienie prowadzi do odpowiedniej klasyfikacji. I tak np. zestaw warunków: wiek poniżej 50 lat, dochód ponad 5 tys. zł miesięcznie, zadłużenie poniżej 10 tys., klasyfikuje pozytywnie do przyznania pożyczki. Wydawać by się mogło, że przynajmniej w tym przypadku możemy podać proste wyjaśnienie decyzji algorytmu przez zwykłe wyliczenie powyższych warunków. Rzecz w tym, że w praktyce drzewa decyzyjne są dużo bardziej skomplikowane.

Oto przykład z mojego podwórka. Dwa lata temu jeden z moich doktorantów zaprojektował dobrze sprawdzający się system rekomendacji piosenek dla jednego z największych azjatyckich serwisów muzycznych. Wygenerowany model zawierał miliardy zestawów warunków. Co gorsza, 90 proc. z tych warunków nie odnosiło się do żadnych cech piosenek czy słuchaczy, bo zostało wygenerowane maszynowo bez żadnej intuicyjnej interpretacji. Żeby wyjaśnić, dlaczego system rekomenduje jakąś piosenkę, należałoby zatem wyliczyć dziesiątki zestawów warunków, z których większość nie miałaby dla nas żadnego sensu. Jaka byłaby wartość takiego wyjaśnienia?

Nawet gdyby wyjaśnienia podane prostym językiem były w jakiś sposób osiągalne, to mogłyby one wyrządzić więcej szkody niż pożytku. Dlaczego? Otóż algorytmy są ślepe na poprawność polityczną

Algorytmy są ślepe

na poprawność polityczną i bezwzględnie powielają nasze własne uprzedzenia i stereotypy.

i mimo braku dostępu do danych na temat płci czy rasy, bezwzględnie powielają stereotypy. Wyobraźmy sobie, że kobieta i mężczyzna składają identyczne podania o pożyczkę bankową i dostają odpowiednio negatywną i pozytywną decyzję. Jako wyjaśnienie kobieta otrzymuje następującą odpowiedź: „Twoje imię kończy się na »a«, a z moich danych wynika, że takie osoby często biorą zwolnienia i urlopy wychowawcze, nie awansują i w rezultacie ich pensja po 10 latach jest dużo niższa niż osób o innych końcówkach imion”. Nietrudno sobie wyobrazić konsekwencje prawne dla firmy udzielającej tego rodzaju „wyjaśnień”.

Pociągnijmy dalej ten przykład. Przyjmijmy, że kobieta poinformowała też w podaniu, że ma 50 lat i rodzinę. Po decyzji odmownej chciałaby dostać nie tyle wyjaśnienie, ile sugestię, co powinna zmienić w swojej sytuacji, żeby się do pożyczki kwalifikować. W tym celu algorytm powinien znaleźć taki profil wnioskodawcy, który w minimalny sposób różniłby się od profilu naszej bohaterki, ale zapewniałby pozytywną decyzję w sprawie pożyczki. Oczywiście algorytm zaproponuje, aby nasza wnioskodawczyni zmieniła imię, a może nawet pozbyła się rodziny albo obniżyła swój wiek. Nie jest to bynajmniej wydumany przykład: jeśli chcemy, by algorytmy brały pod uwagę psychologiczny i społeczny kontekst w swoich wyjaśnieniach, to musimy ich tego kontekstu nauczyć. Badacze sztucznej inteligencji próbują to robić od kilkadziesiąt lat. Jak dotąd bezowocnie.

Oczywiście algorytmy nie są seksistowskie same z siebie – w końcu to my dostarczamy im danych treningowych. One po prostu powielają nasze własne uprzedzenia.

Poznawcza niekonsekwencja

Zastanówmy się, dlaczego tak bardzo zależy nam, by zrozumieć decyzje podejmowane przez automatyczne systemy. Przytacza się zazwyczaj trzy powody.

Po pierwsze, do niedawna decyzje takie podejmowane były przez człowieka, który zawsze mógł je uzasadnić – chcielibyśmy, aby nadal tak było. Po drugie, w wielu przypadkach są to decyzje nietrywialne, wpływające na nasze życie (przyjęcie do pracy, wyrok sądowy etc.) i nie możemy ich przyjmować „na wiarę”. Po trzecie wreszcie, dlaczego mielibyśmy tak bardzo ufać maszynom?

Żaden z tych argumentów nie wytrzymuje krytyki, ponieważ pokazują one naszą niekonsekwencję w podejściu do różnych technologii. Wyobraźmy sobie, że wykryto u mnie nowotwór i lekarz proponuje chemioterapię jako najlepszą według niego metodę leczenia. Żądam od niego wyjaśnień. Lekarz podaje alternatywne terapie, ale powołując się na – nieznane mi – badania, upiera się przy chemioterapii. Jeśli mam lepszą niż przeciętna wiedzę medyczną, mogę jeszcze przez chwilę negocjować z lekarzem, ale przyjdzie taki moment, że się poddam, nie uzyskawszy w rzeczywistości żadnego wyjaśnienia. Co więcej, decyzja lekarza to nie jest decyzja tylko człowieka, ale także wynik testów diagnostycznych (badania farmakologiczne, prześwietlenia itp.) opartych na technologii dla większości z nas niezrozumiałej. Dlaczego zatem nie żądamy za każdym razem, by wyjaśniono nam działanie tej technologii? Wydaje się, że istnieje dość proste wyjaśnienie tego fenomenu: przyzwyczajenie i wynikające z niego przekonanie, że skoro to działa, to nie ma sensu żądać za każdym razem wyjaśnień. Spodziewam się, że wkrótce będzie tak z automatycznymi systemami podejmowania decyzji, które przecież w większości sytuacji już teraz świetnie działają.

Co nam więc pozostaje? To samo, co robimy wobec innych technologii: ufamy procedurom i ekspertom na tyle, że nie musimy wertować podręcznika aerodynamiki przed wejściem do samolotu. Możemy wiarygodnie i bez trudu oceniać algorytmy ze względu na ich poprawność i bezstronność z zewnątrz, bez konieczności zagłębienia się do środka. Mamy również usankcjonowaną prawnie możliwość odwoływania się od decyzji algorytmu – do rozprawy sądowej włącznie.

Myślę, że jest tylko kwestią czasu, byśmy traktowali algorytmy tak samo, jak dziś traktujemy wszystkie inne niezrozumiałe dla nas współczesne technologie.

Jak pisać testament

KATARZYNA DZIADOWICZ

Koncepcje życia wiecznego mogły wziąć się nie tylko z lęku przed śmiercią. Także stąd, że martwi czasem wyglądają jak żywi.

O „PROBLEMIE ŚMIERCI” I TRZECH MOŻLIWOŚCIACH jego rozwiązania antropolog Ernest Becker pisał prawie 50 lat temu. Dzisiaj psychologowie donoszą o czwartym sposobie: umieraniu z otwartymi oczami.

Kiedy – biorąc pod uwagę podstawową wiedzę o systemach biologicznych – analizujemy logicznie swoje położenie, nieubłagane dochodzimy do wniosku, że któregoś dnia umrzemy. Nie jest to przekonanie, z którym łatwo się oswoić. Być może stąd popularność religii obiecujących wiernym życie po śmierci. Inni mogą pocieszać się, że przecież „człowiek żyje tak długo, dopóki nie zginie po nim pamięć”, albo próbować uwiecznić swoje nazwisko dokonaniem. Wszyscy jednak zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy śmiertelni.

Ale, co ciekawe – nie tak do końca.

Bardziej i mniej martwi

Już pięcioletnie dzieci są w stanie ocenić, że zjedzone zwierzę nie będzie dłużej przejawiało żadnych funkcji biologicznych, ale mimo to zdarzało im się wyznaczyć eksperymentatorowi, że ta sama martwa myszka nadal będzie chciała pić czy jeść. Także dorośli niechętnie odmawiają zmarłym wszystkich stanów mentalnych – może nie powiedzą, że martwa mysz słucha śpiewu ptaków albo że jest głodna, ale niektórzy uznają, że nadal może być smutna z powodu zgubienia drogi lub chcieć wrócić do domu. W naszych myślach zachowanie ciągłości procesów psychicznych zmarłych jest raczej regułą niż wyjątkiem.

Sądźmy także, że niektórzy umierają bardziej niż inni. Świadczą o tym

wyniki badań Cameron Doyle i Kurta Graya z Uniwersytetu Karoliny Północnej. Najpierw badanym pokazano zdjęcie z dwóch kategorii – osób z zamkniętymi lub z otwartymi oczami, leżących na szpitalnym łóżku. Każdemu zdjęciu towarzyszył opis przyczyn hospitalizacji oraz adnotacja, że pacjent zmarł tuż po wykonaniu zdjęcia. Następnie badani oceniali percepcję umysłu osoby zmarłej, określając w odniesieniu do niej prawdziwość takich twierdzeń jak: „w pewien sposób nadal ma osobowość”, „w pewien sposób nadal żyje”, „w pewien sposób nadal ma emocje i uczucia”. Okazało się, że osobom, które zmarły z otwartymi oczami, przypisywano więcej pośmiertnych procesów psychicznych. Bardziej skłonni byli to robić ci badani, którzy wierzyli w dualizm duszy i ciała.

Ból większy niż strach

Dalsze badania pozwoliły potwierdzić hipotezę, że tym, co wpływa na ocenę kontynuacji władz umysłowych po śmierci, jest świadomość umierającego. Po raz kolejny osoby badane poproszono o określenie percepcji umysłu zmarłych – tym razem wyłącznie na podstawie opisu zawierającego informacje o przyczynach hospita-

dobnie dlatego, że ból może być interpretowany jako przejaw jasności umysłu. Co ciekawe, na ocenę ciągłości stanów psychicznych nie wpływał za to poziom strachu u umierających. Te osoby umierające, które bardziej bały się śmierci, nie były oceniane jako mniej martwe niż ci, którzy nie wykazywali strachu.

Zachowaj przytomność

W ostatnim eksperymencie badacze wykorzystali roboty. Analogicznie jak w przypadku umierających ludzi, roboty, które były włączone i wykazywały więcej funkcjonalności w momencie ich rozbiórki, oceniano jako „bardziej świadome” po „śmierci” niż np. roboty zniszczone w czasie, gdy ich baterie były rozładowane. Zdaniem autorów ta część badania przekonuje, że nasze intuicje dotyczące zachowania pośmiertnej świadomości nie ograniczają się tylko do ludzi. Pokazuje to także wagę znaczenia zakończenia dla oceny całości – efekt znany z wielu innych badań. Wykazały one np., że wolimy cierpieć dłużej, byle tylko zaznać chwili wytchnienia pod koniec. W przypadku stanu świadomości w momencie śmierci może działać swoisty efekt świeżości – to, co widziane ostatnie, oddziałuje na nas najsilniej.



Późnorenesansowy nagrobek kasztelana przemyskiego Jana Fredry (zm. 1589) w archikatedrze pw. Wniebowzięcia NMP i św. Jana Chrzciciela w Przemysku.

lizacji i zgonu. W każdym z przypadków, niezależnie od tego, czy było to porównanie osób ze stwardnieniem zanikowym bocznym i w stanie wegetatywnym; po spożyciu halucynogenów i po spożyciu środków usypiających; lekko i głęboko śpiących; pogrążonych w śpiączce i świadomych; jasno myślących i z demencją – osoby o większej przytomności tuż przed momentem zgonu były oceniane jako zachowujące więcej stanów mentalnych po śmierci.

Również opis doświadczenia przed śmiercią bólu był gwarantem wyższych ocen pośmiertnego umysłu – prawdopo-

A co z możliwościami zastosowania ciekawostki w praktyce? Jak zauważają autorzy opisanych eksperymentów, jeśli zależy nam na poszanowaniu naszej ostatniej woli i uznaniu jej naruszenia za rażący i niemoralny występki, powinniśmy rozważyć umieranie z zachowaną przytomnością, albo przynajmniej poinformowanie wykonawców spadku, że odeszliśmy w pełni władz umysłowych. Jeżeli to jest aspekt śmierci, którego boimy się najbardziej, to powinno nas to uspokoić.

Jeśli natomiast nie chcemy umierać wcale – to właśnie ukazała się nam nowa, czwarta droga do nieśmiertelności. ©

ZAWSZE DEMARCZYK

Uparta i świadoma siebie indywidualistka
nie odnalazła się w świecie,
który przykrawa wszystkich do modelu
międzynarodowej gwiazdy.
Za wielka na swoje czasy.

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Pamięci mojego brata Krzysztofa

■ **POCZĄTEK MAJA 1976**, sala krakowskiego Teatru Kameralnego przy Starowiślniej (wtedy Bohaterów Stalingradu) zatłoczona po brzegi, zajęto nawet stopnie prowadzące ku scenie. Powoli gaśnie światło, zamiera gwar. Nagle ciszę i ciemność rozrywa budząca dreszcz wokaliza, a reflektor wydobywa postać, która niepostrzeżenie wyszła zza kulis. Szczupła, czarnowłosa kobieta w czarnej połyskującej sukni zaczyna śpiewać jeden z najpiękniejszych późnych wierszy Bolesława Leśmiana – „Jam – nie Osjan!...”.

To wyznanie śpiewaka, który krył się pod cudzym imieniem, „tarczą złudy

obronny”, ale kiedy porażony smutkiem zwrócił się do Boga, usłyszał zdumiewające słowa: „Jam – nie Bóg! Twarzy mojej spragniony zatruty, / Maskę Boga przywdziałem, zdradziecko pokrewną, / I za niego stworzyłem bezrozumne światy, / Tak, jak on by je stworzył...”. Opowieść o maskach, o samotności, o niezrozumieniu, na które jesteśmy skazani.

„Nikt się nigdy nie dowie, czym byłem dla siebie” mówią obaj, Osjan – nie Osjan i Bóg – nie Bóg. Nigdy się nie dowiemy, dlaczego Ewa Demarczyk 20 lat temu ukryła się przed światem, a wcześniej zerwała niemal wszystkie z nim kontakty. To znaczy trochę wiemy, choć nie będę tu przypominał zenującej dla władz mojego

miasta historii końca teatru wielkiej, zapewne największej polskiej pieśniarki. Pozostaje jednak tajemnica żalu, który w sobie nosiła, poczucia krzywdy i zdrady.

– Najbardziej mnie dziś boli ten jej żal do świata, i to, że nie potrafię go zrozumieć – mówi dziś Joanna Olczak-Ronikier, współtwórczyni Piwnicy pod Baranami i pisarka, kiedyś bliska przyjaciółka Ewy. – Pamiętam ją jako młodą, piękną dziewczynę, pełną radości i energii, otwartą wobec innych i uwielbianą przez publiczność, zupełnie jednak pozabawioną manier gwiazdy. Nie była posagowym Czarnym Aniołem! Zobaczyłam ją po raz pierwszy, kiedy pojawiła się w naszym kabarecie...



LESZEK ŁOŻYŃSKI / REPORTER

Ewa Demarczyk w Piwnicy pod Baranami, Kraków, 1963 r.

■ **24 CZERWCA 1962**, tym razem nie piwnica w pałacu Potockich przy Rynku, ale klubowo-stołówkowa sala Domu Literatów przy Krupniczej 22. Kabaret wyrzucony został ze swojej siedziby, przygarbnił go pisarze. Nad salą mieszka Hanna Mortkowicz-Olczakowa, wielbielka Piwnicy. Jej córka Joanna przeniosła się do Warszawy z mężem, niemieckim dziennikarzem Ludwigiem Zimmererem, ale regularnie bywa w Krakowie. Jest i tym razem, gdy w programie „Siedem dziewcząt pod bronią, czyli Boże, zachowaj Franciszka” występuje po raz pierwszy Ewa Demarczyk.

– Nie miała jeszcze swojego repertuaru, piosenki „Kupcie szczeniaka”,

którą śpiewała wcześniej w kabarecie studentów Akademii Medycznej Cyrylik, Piotr Skrzynecki nie chciał. Zaczęła od brawurowo wykonanej „Rebeki”, potem był, o ile pamiętam, inny przedwojenny szlagier: „Puchowy śniegu tren”... Była olśniewająca! – mówi Joanna Olczak-Ronikier.

„Rebekę”, z tekstem Andrzeja Własta (Gustawa Baumrittera) i muzyką Zygmunta Białostockiego – obaj zginęli w getcie warszawskim – usłyszę na żywo kilkakrotnie. Ze starego szlagieru Ewa Demarczyk zrobiła dwuaktowy dramat o młodej Żydówce z małego miasteczka, którą najpierw uskrzydla miłość, a potem pogrąża w rozpacz świadomość, że

to miłość niemożliwa. „Puchowy śniegu tren” (słowa także Własta), zaśpiewany bardziej pastiszowo, to rzecz o bogatym paniczu, który wykorzystał i porzucił na mrozie biedną dziewczynę.

Piosenkę nadawano niegdyś w radio, ale nie ma jej na żadnej płycie. Nigdzie też nie można znaleźć – ten refren będzie się powtarzał! – wspomnianego wcześniej, genialnego „Osjana” z muzyką Zygmunta Koniecznego.

Pojawienie się Ewy Demarczyk w Piwnicy to właśnie początek jej współpracy z Koniecznym. Kompozytor postanawia jej dać „Czarne anioły” ze słowami Wiesława Dymnego; miała tę piosenkę zaśpiewać pierwsza piwniczna ➔

→ gwiazda i partnerka Dymnego, Barbara Nawratowicz. Wedle relacji Koniecznego swojej decyzji o mało nie przypłacił kalectwem: Nawratowicz weszła do sali na Krupniczej podczas próby i próbowała zatrzasnąć wieko fortepianu na jego palcach. Ona – a po wielu latach emigracji wróciła do Krakowa – pamięta tę scenę inaczej, ale *se non è vero...*

No i dwa utwory bodaj najważniejsze, oba do słów Tuwima: „Grande Valse Brillante” (fragment „Kwiatów polskich”) i „Tomaszów”. Skomponowane dla Mieczysława Świąćckiego, bo to przecież monolog mężczyzny.

– To ja – przyznaje Joanna Olczak-Ronikier – dokonałam barbarzyńskiego czynu i przerobiłam oba teksty, by mogła je zaśpiewać kobieta. Wybuchł skandal, protestowała Stefania Tuwimowa, Zygmuntowi chciano wytoczyć proces o naruszenie praw autorskich, oburzał się Jerzy Ficowski. Dziś o tym nikt nie pamięta...

Wtedy też zachwyt przeważał nad zgorszeniem. Sukces na pierwszym festiwalu w Opolu (1963), rok później w Sopocie. „Zachwyciła mnie – pisała 13 sierpnia 1964 r. w dzienniku Maria Dąbrowska po obejrzeniu transmisji z Sopotu, gdzie Demarczyk zaśpiewała właśnie „Grande Valse...”. – I jest przepyszną indywidualnością piosenkarską – z dobrym głosem, pełną ekspresji twarzą, bezbłędną gestykulacją. Słuchało się jej z pasją i z pasją też śpiewała”.

A ja porównuję nagranie z Sopotu z tym, co sam kilkakrotnie słyszałem na żywo. I mam wrażenie, że ta niezwykła piosenka, która najpierw była triumfalnym wyzwaniem rzuconym mężczyźnie przez młodą, świadomą swojej urody kobietę, w późnych latach stawała się coraz bardziej gorzką skargą na przemijanie.

■ **ROK 1967, CZARNY ALBUM**, czyli „Ewa Demarczyk śpiewa piosenki Zygmunta Koniecznego”. „Kto wie, czy nie najważniejsza płyta w dziejach kultury inteligentkiej w PRL. Ewie Demarczyk dała nieśmiertelność za życia, a nam milion wzruszeń. Więc przyjmijmy, którzyśmy na czarnym albumie się wychowali, że nie umarli” – napisał kilka dni temu na Facebooku Piotr Paziński. Kiedy ten album się ukazał, Piotra nie było jeszcze na świecie, a ja miałam 11 lat i słuchałam tej płyty dzięki starszemu o 11 lat bratu.

Podkreślam różnice wieku, bo miłość do Ewy Demarczyk łączyła i łączy poko-

W 1986 r. powstanie Teatr Ewy Demarczyk, który pod koniec lat 90. zakończy definitywnie istnienie.

A rozgoryczona artystka
coraz bardziej wycofywać się będzie ze świata.

lenia. Od Dąbrowskiej, Władysława Tarkiewicza, Stefana Kisielewskiego i Jerzego Turowicza, po dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków. I rzeczywiście stanowi ważny, bo wciąż żywy fragment naszej przeszłości. Kazimierz Wyka, najpierw sceptyczny wobec pomysłu, by śpiewać wiersze Baczyńskiego, po wysłuchaniu „Wierszy wojennych” wysłał do Ewy Demarczyk telegram z jednym słowem: „Przepraszam”.

„Czy piosenkarstwo jest sztuką przez wielkie »S«, tak jak wielki pisarz czy wielkie dyrygentstwo?” – zastanawiał się w 1967 r. Kisiel, zachwycony zarówno Ewą Demarczyk, jak i Koniecznym oraz całym „piwnicznym” klimatem. W tym samym roku na recitalu Demarczyk był Jerzy Zawieyski – pisarz, współpracownik „Tygodnika”, poseł koła Znak, który wkrótce, wiosną ’68, miał dramatycznie zakończyć karierę polityczną. Zawieyski – co należy dodać, również człowiek teatru, przed wojną występujący na scenie – pisze w dzienniku: „Wieczór niezapomniany. Demarczyk recytuje i śpiewa, a właściwie gra poematy, wiersze trudne, piękne, z oryginalną muzyką. Jest to właściwie gra aktorska najwyższej klasy. Wielka sztuka. Edith Piaf to genialna, plebejska, podwórzowa pieśniarka! Demarczyk jest wyrafinowana, lecz równocześnie pełna prostoty, klarowności, zdumiewającej siły dramatycznej. Dawno nie widziałem tak olśniewającego aktorstwa”.

Trzy lata wcześniej Jan Józef Szczepański zaprowadził do Piwnicy pod Baranami swojego kuzyna-emigranta Witolda Kuncewicza, syna pisarki Marii – „co było większą atrakcją dla nas niż dla niego”, komentuje ironicznie. I dalej głosi pochwałę cyganerii, by przenikliwie spuentować: „Kiedyś w przyszłości

to będzie epoka kulturalnej historii – Kraków Koniecznego, Skrzyneckiego, Ewy Demarczyk, jak był Kraków Sichulskiego i Boya. Tylko że ci mają ostrzejszą świadomość przemijania... umieją zadbać o to, żeby wspomnienie po nich, nawet jeśli musi trącić staroświecczyną, nie zabarwiło się rozlazłą rzewnością”.

■ **NOWA EDITH PIAF?** Często się powtarza, że kimś takim miała zostać Ewa Demarczyk dzięki zaproszeniu sławnego francuskiego impresaria Bruno Coquatrixa, właściciela paryskiej Olympii, i że z niejasnych do końca przyczyn tę szansę straciła. Czy to jednak rzeczywiście była szansa i czy – pomijając już kwestie języka – uparta i świadoma siebie indywidualistka odnalazłaby się w świecie, który z pewnością chciałby ją sformatować, przykroić do modelu popularnej międzynarodowej gwiazdy? Rację miał raczej Zawieyski, podkreślając różnice między Demarczyk a Piaf.

Poza tym – trudno mówić o braku sukcesu artystki, która objechała niemal wszystkie kraje Europy, występowała w USA i Brazylii, na Kubie była uwielbiana i jako gość specjalny występowała na wielu zagranicznych festiwalach. Śpiewała nie tylko po niemiecku, ale też po francusku, hiszpańsku i angielsku. Jej rosyjska płyta (1975) miała pierwszy nakład w wysokości 2 milionów egzemplarzy, łącznie zaś sprzedano 17 milionów...

„Koncert w moskiewskim Związku Literatów był jednym z największych przeżyć w moim życiu” – mówiła w 1974 r. Józefowi Opalskiemu. Wcale się temu nie dziwię, słuchając płyty Mielodii. Ewa Demarczyk śpiewa na niej po rosyjsku „Grande Valse...”, „Tomaszów” oraz „Groszki i róże”, a po polsku – świetnie przełożone (przez m.in. Jerzego Pomianowskiego i Wiktora Woroszyńskiego) wiersze dwojga wielkich, prześladowanych i długo wyklętych we własnej ojczyźnie rosyjskich poetów, Osipa Mandelsztama („Cyganka”) i „Skrzypek Hercowicz”) i Mariny Cwietajewej („Imię twe”). W repertuarze miała też Annę Achmatową i kolejne utwory Cwietajewej, w tym śpiewany w oryginale wiersz „Babuni”, poświęcony babce poetki – Polce.

Muzykę do rosyjskich wierszy skomponował Andrzej Żarycki, który z Demarczyk zaczął współpracować w roku 1966 i pracowali razem ponad 20 lat. „Słuchając każdego wykonania tej piosenki

– pisał o „Cygance” Mandelsztama/Pomianowskiego/Zaryckiego Józef Opalski – odnosi się wrażenie, że Ewa chce przekazać całą swą miłość do tego cudownego wiersza. Utwór śpiewany już od kilku lat, z każdym nowym wykonaniem zyskuje na głębi i wyrazie”.

Bo też zarówno poszczególne utwory, jak i całe koncerty były właściwie spektaklami teatralnymi. Ewa Demarczyk ukończyła zresztą krakowską szkołę teatralną, choć zagrała chyba tylko w spektaklu dyplomowym (w filmie Jerzego Skolimowskiego „Bariera” z muzyką Krzysztofa Komedy jest jedynie – i aż! – jej głos). „Nie była bezwolnym narzędziem w rękach kompozytorów i aranżerów – pisze dziś Dorota Kosińska. – Konsekwentnie tworzyła teatr własny i osobny – jednej śpiewającej aktorki. Kiedy straciła tę możliwość, odsunęła się od ludzi... Tuwim, Leśmian i Mandelsztam w kilku wierszach przemawiają już tylko jej głosem. Tylko Demarczyk czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi, kiedy nadchodzi rocznica śmierci Baczyńskiego”. Wspaniałe „theatrum mundi”, jak nazywał to Opalski.

■ **LUDWIG ZIMMERER**, niemiecki dziennikarz, przyjechał do Polski w 1956 r. i został w niej na zawsze. Był korespondentem „Die Welt”, później zachodniemieckiego radia. Stworzył wspaniałą, niestety rozproszoną po jego śmierci w 1987 r. kolekcję polskiej sztuki tzw. „naiwnej”, tłumaczył na niemiecki Mrożka. Przez długi czas był jedynym mieszkającym w Polsce dziennikarzem z Republiki Federalnej Niemiec. Znajdował się pod baczna obserwacją polskich służb, zwłaszcza że układ normalizujący stosunki między obu krajami podpisano dopiero w grudniu 1970 r.

Z Joanną Olczakówną pobrali się w 1959 r. Ich dom na Saskiej Kępie stał się wkrótce ośrodkiem życia nie tylko towarzyskiego. Jerzy Turowicz i Klaus von Bismarck zamykali się w łazience i odkreślali krany, by móc bezpiecznie porozmawiać np. o słynnym Liście biskupów polskich do biskupów niemieckich... Ewa Demarczyk zatrzymywała się u Zimmererów, wyjeżdżając na kolejne zagraniczne występy, a Ludwig wyszukiwał dla niej wiersze, które mogłaby zaśpiewać w Niemczech, potem ćwiczył z nią wymowę. Stąd utwory tak wspaniałe jak „Nähe des Geliebten” ze słowami Go-

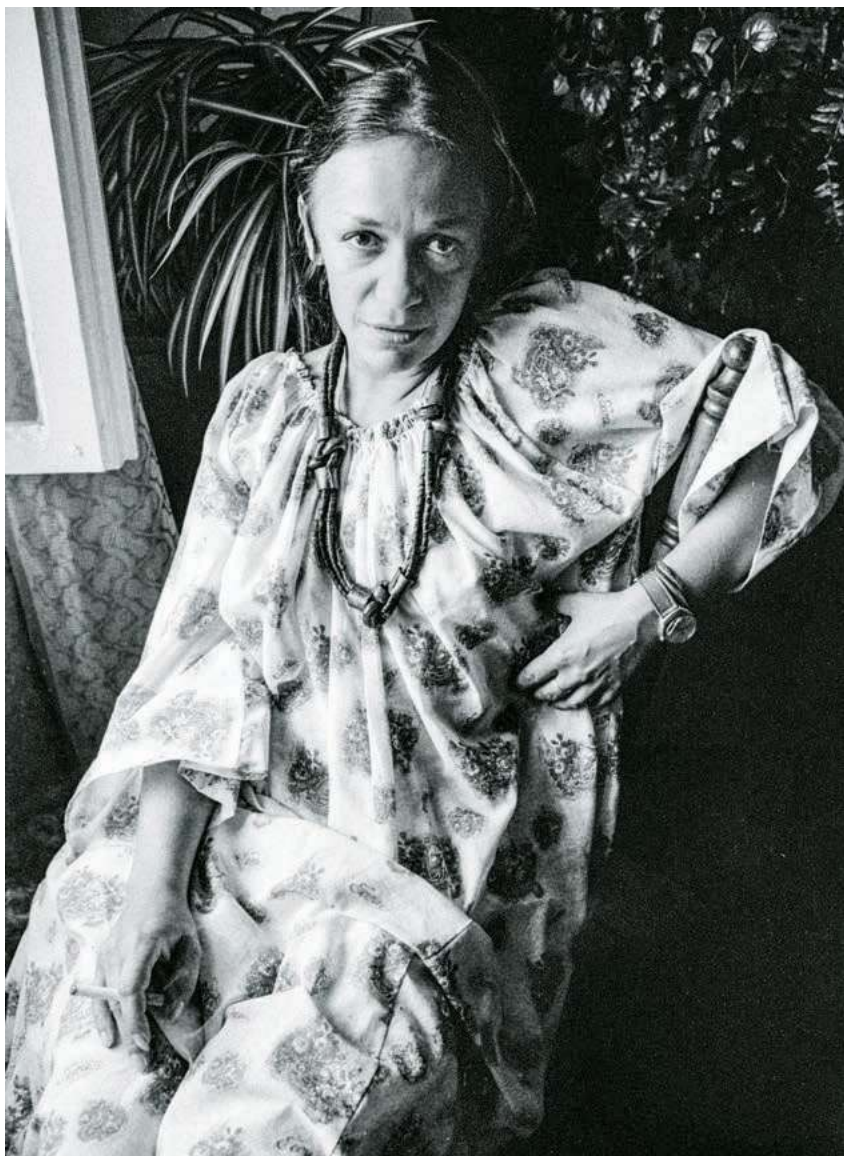
ethego (komponując muzykę Andrzej Zarycki miał niezłych poprzedników, wśród nich Schuberta) czy „Musik in Mirabell” ze słowami Austriaka Georga Trakla.

– Ktoregoś dnia – wspomina Joanna Olczak-Ronikier – Ewa powiedziała mi, że jest jej bardzo przykro, ale nie będzie już u nas mieszkać i ograniczy swoje wizyty. Smutni panowie wezwali ją na rozmowę i zażądali, by zdawała relację z każdego pobytu u Zimmererów: kto ich odwiedza, o czym się rozmawia i tak dalej. Odmówiła, ale w obawie przed utratą paszportu zdecydowała, że woli po prostu unikać pretekstu do szantażu. Co jednak najważniejsze – powiedziała mi o tym wprost. Poza nią nikt tego nie zrobił, a przecież nie ją jedną o nas wypytywano...

Katarzyna Zimmerer, córka Joanny i Ludwiga, pracuje nad książką o ojcu.

Przeglądała teczek, które założyło mu SB – w archiwum IPN w Wieliczce jest ich kilkadziesiąt. Znalazła sprawozdania z trzech rozmów przeprowadzonych z Ewą Demarczyk. Sprawozdanie trzecie jest krótkie: autor proponuje, by zrezygnować z dalszych prób pozyskania jej współpracy, bo konsekwentnie odmawia i „nie rokuje”...

I jeszcze historia z książki Joanny Olczak-Ronikier o Piwnicy, opowiedziana przez Marię Orwid, profesor psychiatrii i wielką przyjaciółkę pieśniarki. „Ewa była zawsze bardzo suwerenna. Pamiętam, jak z okazji jakiegoś późnogomułkowskiego zjazdu zaprosili ją do udziału w uroczystym koncercie, który miał kończyć obrady. Ewa odmówiła. Odbyły się długie narady z mecenasem Karem Buczyńskim [on, jego żona Ruth, →



Ewa Demarczyk, Szwecja, lata 70.

JOANNA HELANDER

→ również adwokatka, i jego córka Maria byli wiernymi przyjaciółmi Piwnicy, jak umotywić odmowę, by nie wynikło zbyt wiele przykrości. Próbowала ją przekonać konformistycznie: Nie chcą przecież od ciebie nic złego. Chcą, żebyś wykonywała swój zawód. A ona na to: Nie mogę dla nich śpiewać. Nie wiem, co oni tam uchwalą”.

■ **KIEDY PRZYSZEDŁ MARZEC 1968**, Ewa Demarczyk śpiewała w Piwnicy „Psalmy Dawidowe” z muzyką Stanisława Radwana. „Pamiętam – wspominała Maria Orwid, Żydówka ocalona z Zagłady – jak różne szuły wołały wtedy, że Ewa, śpiewając Psalmy, ostentacyjnie manifestuje swoją żydowskość. Przyjaciele, chcąc jej oszczędzić przykrości, namawiali: Zdementuj to. A ona odpowiadała: Nie mogę. Nie chcę. To nie ich sprawa, kim jestem, a kim nie jestem, co śpiewam i dlaczego śpiewam”.

Święta księga Żydów i chrześcijan nie była w Marcu i jeszcze długo po nim dobrze widziana. W grudniu 1971 r. Jan Józef Szczepański po wizycie Stanisława Lema notował: „Ewa Demarczyk mówiła mu, że nie pozwalają jej występować w radio i telewizji z »Pieśnią nad pieśniami«”. I znów ten refren – nie ma... Kawałek „Psalmy” można zobaczyć w Polskiej Kronice Filmowej. „Pieśń...” z muzyką Zaryckiego, nagrana w Brukseli, jest na YouTube. Oba utworów nie ma na żadnej płycie

Lata 70. to czas zmian. Ewa Demarczyk odchodzi z Piwnicy pod Baranami. Napisany dla niej „Tryptyk” Zygmunta Koniecznego – ambitne dzieło na kanwie tekstów Pierre’a Louÿsa, Brunona Schulza i Jules’a Micheleta – nie doczeka się wystawienia, pieśniarka uzna, że partytura przekracza jej możliwości wokalne. Nie przyjmie też propozycji, by w inscenizacji „Nocy listopadowej” przygotowanej przez Andrzeja Wajdę, z muzyką Koniecznego, zagrać – a właściwie

zaśpiewać – rolę Pallas Ateny (zrobi to Barbara Bosak).

Zaśpiewa natomiast wspaniałe „Kaiserlied”, hymn c.k. Austrii („Boże, ochroń, Boże, wspieraj”) podczas zorganizowanego przez Piwnicę „Jubileuszu 149-lecia Zawodu Pisarskiego Józefa Ignacego Kraszewskiego”. Ta rekonstrukcja prawdziwego wydarzenia przerodzi się w niezwykle happening z udziałem najsławniejszych postaci Krakowa i stolicy, ale – znów! – z występu Ewy Demarczyk zachował się ledwie urywek

Koncert w warszawskim Teatrze Żydowskim w 1979 r. zostanie nagrany na płytę – i będzie to płyta ostatnia. Potem Piotr Skrzynecki przestanie prowadzić konferansjerkę podczas jej recitali. W 1986 r. powstanie Teatr Ewy Demarczyk, który pod koniec lat 90. zakończy definitywnie istnienie. A rozgoryczona artystka coraz bardziej wycofywać się będzie ze świata.

Wspomina Joanna Olczak-Ronikier: – Kiedy pisałam moją książkę o Piwnicy, wydaną w 1994 roku, bardzo chciałam umieścić tam wspomnienia Ewy. Odbierała wtedy jeszcze telefony, ale zdecydowanie odmówiła – to przeszłość, o której mogłaby mówić tylko źle. W książce zajęła należne miejsce, ale widziana oczami innych. Ostatnia moja z nią rozmowa odbyła się dwa lata później. Przygotowywano koncert w Teatrze Słowackiego na 40-lecie kabaretu, miał się na nim pojawić Piotr Skrzynecki, bardzo już wtedy chory. Wiedzieliśmy, że zależy mu na obecności Ewy. Też odmówiła.

A ja pamiętam ostatni jej recital, na którym byłem: czerwiec 1998, Kraków, Teatr Bagatela, Festiwal Kultury Żydowskiej. Przejmujące doświadczenie – przez pierwszą połowę Ewa Demarczyk miała wyraźne kłopoty z głosem, ze ściśniętym sercem słuchałem okaleczonych piosek, które tak kochałem. W połowie coś się przełamało, wróciła na chwilę tamta artystka. Wychodziliśmy jednak poruszeni i smutni – może nie chcielibyśmy tego słyszeć? I tylko nasz czeski przyjaciel z Ołomuńca, Vaszek Burian, słuchając naszych marudzeń nieśmiało nam prze-rwał: – Ale ja słyszałem ją po raz pierwszy na żywo i mnie się bardzo podobało...

■ **NA KONIEC BEZ DATY**. Nie pamiętam, na ilu koncertach Ewy Demarczyk byłem – sześciu? ośmiu? Pamiętam, owszem, wszystkie piosenki, które śpiewała, pa-

miałam, jak niektóre się zmieniały. Pamiętam, jak „Taki pejzaż” – Kisiel napisał, że to „jedno wielkie, zadziwiające crescendo” – skomponowany przez Koniecznego do wiersza niesłusznie zapomnianego Andrzeja Szmidta, stopniowo się wydłużał (na czarnym albumie trwa 6 minut, potem ten czas niemal się podwajał) i nabierał demonizmu stosownie do słów („Psy kulawe / stroją drogi / diabeł dziewczom / płacze nogi”). Finał sprawiał wrażenie, jakby do teatru wtargnął huragan. Pamiętam wspaniałego „Don Juana” (Zarycki do wiersza Mariny Cwietajewej) – nie ma go, podobnie jak „Osjana”, nigdzie, nie tylko na płytach, ale i na YouTube.

Nie pamiętam też kolejności utworów, wiem tylko, jak zmieniał się klimat spektaklu, jak po fragmentach niesłychanie dramatycznych i po niesamowitych partiach wokalnych następowały kawałki liryczne. Albo zgoła lżejsze, jak pierwsza kompozycja Andrzeja Zaryckiego dla Ewy Demarczyk, „Ballada o cudownych narodzinach Bolesława Krzywoustego” wedle Galla Anonima. To zdumiewające i cudowne połączenie rockowych właściwości rytmów ze średniowiecznymi rytmami (przełożonymi z łaciny przez Romana Grodeckiego) służyło później, gdy już Demarczyk rozstała się z Piotrem Skrzyneckim i konferansjerką podczas jej koncertów w ogóle nie było, bezsłownemu przedstawieniu muzyków. Solistka wskazywała ich kolejno i każdy odgrywał jedną strofę „Ballady” na swoim instrumencie.

Na finał czasem wszyscy śpiewali jeden z piwnicznych hymnów, czyli „Dezyderatę”. Najmocniej jednak zapamiętałam finał inny: muzycy stopniowo schodzą ze sceny, zostaje tylko pieśniarka i bez akompaniamentu – ktoś tylko w tle wystukuje rytm na pudle gitary – wykonuje po hiszpańsku, z muzyką Zaryckiego, wiersz wielkiego poety afrokubańskiego Nicolása Guilléna „Palma sola”. Wiersz o samotnej palmie rosnącej w patio; o samotności.

Niech i tutaj jego zakończenie w przekładzie Jana Zycha będzie finałem: „Palma samotna marząca, / palma samotna, / że wolna idzie z wiatrem, / wolna i samotna, / wyzwolona z korzeni i z ziemi, / wyzwolona i samotna, / łowczyni chmur przelotnych, / palma samotna, / palma samotna, / palma”.

©©© TOMASZ FIAŁKOWSKI

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Stany niepewności

PIOTR KOSIEWSKI

Choć pozornie prace Moniki Sosnowskiej wyglądają jak część architektury, to są od niej odrębne. Zamiast wprowadzać ład, tworzą chaos.

MONIKA SOSNOWSKA JEST JEDNĄ z najbardziej rozpoznawalnych polskich artystek w międzynarodowym obiegu artystycznym. Od dawna obecna w najważniejszych galeriach i muzeach, jej rzeźby są nabywane do prestiżowych kolekcji. Jednak dopiero teraz w warszawskiej Zachęcie możemy zobaczyć w Polsce obszerną prezentację jej dzieł. Chociaż znalazły się na niej tylko prace z lat 2011-20, to wystawa dobrze pokazuje główne wątki twórczości artystki.

Przekształcone

Rzeźb jest zaledwie czternaście, skala wielu z nich imponuje. Znaczną część Sali Matejkowskiej, największej w Zachęcie, zajęła kurtynowa „Fasada” (2016). Jedno z osiągnięć ubiegłowiecznej inżynierii budowlanej, często wykorzystywane w architekturze późnego modernizmu i do dziś popularne. Ta jednak zo-

stała poddana ogromnym naciskom i na-prężeniom. W efekcie tych działań uległa dekonstrukcji: belki, ramy okienne wraz z zawiasami i klamkami biegną teraz w zaskakujące strony lub znajdują się w nieoczywistych miejscach. Powstała forma bardzo odległa od tej, która była punktem wyjścia. Trudno nawet domyślić się pierwotnego przeznaczenia materiałów użytych przez Sosnowską. A jednocześnie rzeźba przypomina o architekturze lat 60. i 70. ubiegłego stulecia.

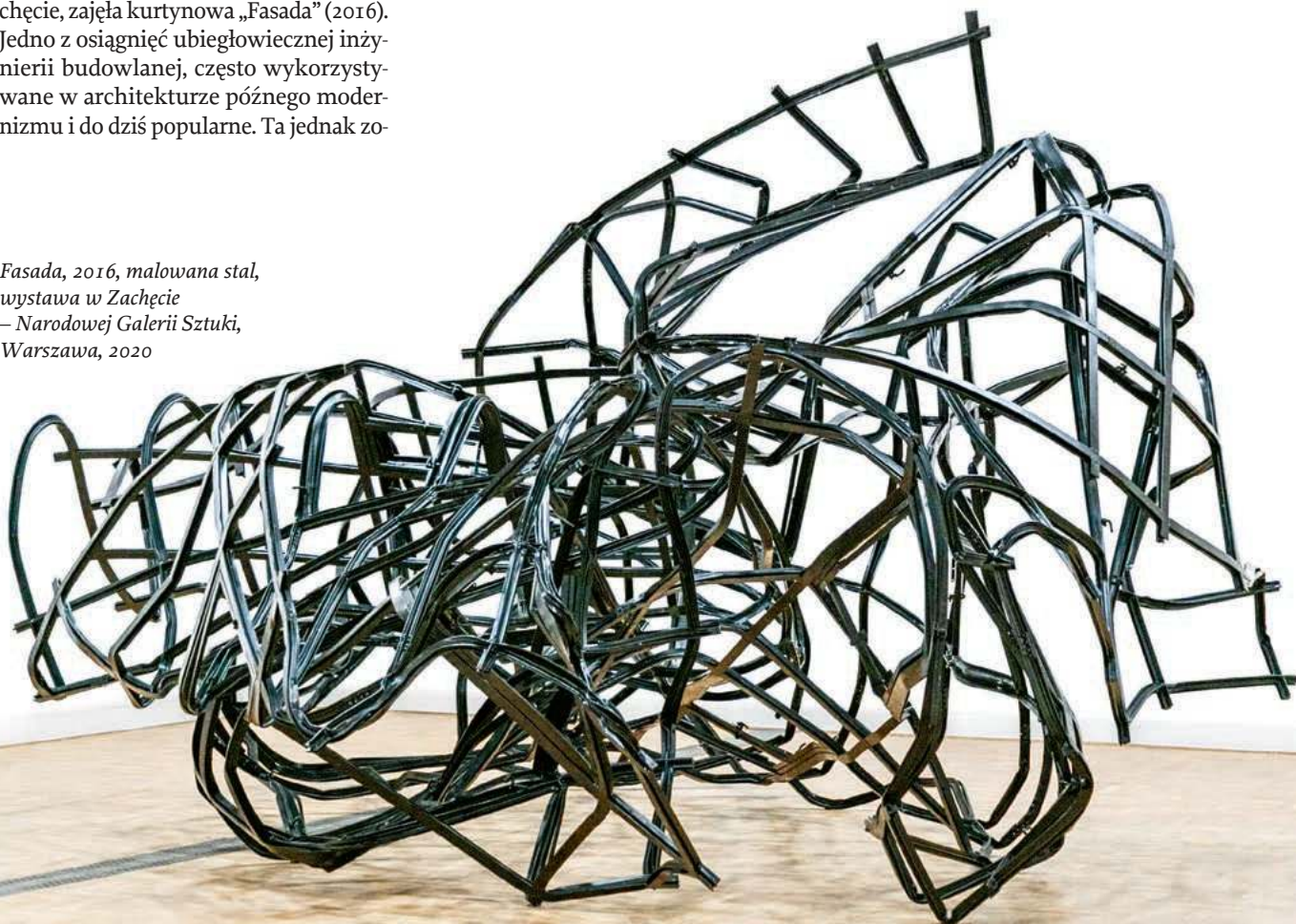
Z sufitu innej z sal zwieszono wielką formę składającą się z dziesiątek zniekształconych elementów: belek czy fragmentów blachy. Rzeźba wydaje się uno-

sić w powietrzu – jakby podważeniu uległy podstawowe prawa fizyki. „Targowisko” (2013) odtwarza konstrukcje straganów ze słynnego Jarmarku Europa, funkcjonującego do 2008 r. bazaru na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, jednego z symboli polskich przemian po 1989 r. (zielona farba, którą pokryto całą konstrukcję, także przypomina ulubioną kolorystykę tych czasów).

Obie prace pokazują istotną zmianę, która zaszła w twórczości Sosnowskiej. W jej wczesnych pracach, stworzonych na początku nowego stulecia, było więcej humoru, wręcz żartu. Konstruowała przestrzenie zagadkowe, wciągające widzów w grę, zabawę. Z czasem coraz częściej zaczęła sięgać po architektoniczne wątki. Prace spoważniały, stały się minimalistyczne. Pozostał jednak istotny dla artystki od samego początku tworzenia rzeźb element angażowania odbiorcy, „wciągania” go w prace. Niektóre wręcz wymuszają skonfrontowanie się z nimi.

Sosnowska już dawno opanowała trudną umiejętność wpisywania w zastaną przestrzeń. Podobnie dzieje się na wystawie w Zachęcie. Monumentalna stalowa „Poręcz” (2016/2020) powleczone

*Fasada, 2016, malowana stal,
wystawa w Zachęcie
– Narodowej Galerii Sztuki,
Warszawa, 2020*





MARTIN GERTEN / DPA / PAP

Monika Sosnowska na tle swojej instalacji w Muzeum K21 w Düsseldorfie, kwiecień 2010 r.

→ czerwonym PCW, spleciona z balustradą schodów biegnących z historycznego holu Zachęty, wprowadza widza na wystawę. Dalej przenika do Sali Matejki, układając się w ozdobny, arabski układ.

Myśląc: architektura

W komentarzach do sztuki Sosnowskiej pisze się o ubiegłowiecznym doświadczeniu miast z naszej części Europy. O pustce w tkance miejskiej, pozostawionej przez zawieruchę II wojny światowej. O wykreśleniu od 1945 r. na nowo ich krajobrazu, układu przestrzennego, siatki ulic. O wznoszeniu budynków mających określić na nowo albo narzucić ich tożsamość, jak warszawski Pałac Kultury i Nauki czy wieża telewizyjna na berlińskim Alexanderplatz, ale też o ruinach wpisanych przez całe dziesięciolecie w pejzaż Warszawy czy Berlina. O pustych przestrzeniach zapełnianych w ostatnich dekadach, ale też ich niszczeniu po upadku poprzedniego systemu architektury z lat 60. i 70., uznawanej za niechciany spadek.

Sosnowska coraz szerzej zakreśla obszar swych zainteresowań. Na jej liście znalazł się m.in. działający w II połowie XX w. w Bangladeszu architekt, urbanista i aktywista społeczny Muzharul Islam czy wybitny rosyjski inżynier Władimir Szuchow, który w ostatnich latach XIX w. opracował konstrukcję wieży stalowej w kształcie hiperboloidy obrotowej, wykorzystywanej we wznoszeniu wież i anten radiowych, słupów linii wysokiego napięcia, wież ciśnieniowych czy latarni morskich, a jego 160-metrowa moskiewska

Schody, 2016, malowana stal, wystawa w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki, Warszawa, 2020



wieża na Szabołowce (1919-22) jest dziś uznawana za jedno z największych osiągnięć budownictwa ubiegłego stulecia.

Kopię jej zwieńczenia w skali 1 do 1 (mierzącą 20 metrów i ważącą 7 ton) artystka wykorzystała do stworzenia monumentalnych „Ćwiczeń z konstrukcji”. Zgnieciona, zdeformowana, znalazła się na niedawno zamkniętej wystawie indywidualnej Moniki Sosnowskiej w Muzeum Sztuki Współczesnej Garaż w Moskwie. Do Władimira Szuchowa odwołała się także w prezentowanej w Zachęcie serii „Krzyżulce” (2019). Wykorzystywane w jej konstrukcji ukośne elementy łączące kratownice, o niezwyklej wytrzymałości, zostały poddane tak silnym naciskom, że utraciły dawne funkcje. Zamieniły się w abstrakcyjne, fantazyjne formy.

Ruiny

Czym są prace artystki – rzeźbą? Obrazami rozpiętymi na trójwymiarową przestrzeń? U początków swej twórczości malowała jednak obrazy. Dodatkowo, jak podkreśla sama artystka: jej rzeźby są wyprodukowane – większości z nich nie robi sama, lecz powstają w wyspecjalizowanych zakładach ślusarskich czy stolarskich. To jeden z paradoksów związanych z jej twórczością, bo dążeniem twórców od czasów renesansu było uniezależnienie rzeźby (i malarstwa) od architektury, nadanie jej autonomicznej funkcji. Twórczość artystki można się zatem wydawać krokiem wstecz.

Ona jednak zwraca uwagę na odrębność swych prac od architektury. Podstawową cechą tej ostatniej jest przecież

Jak podkreśla Sosnowska,
**jej rzeźby
są wyprodukowane.**

Większości z nich
nie robi sama, lecz powstają
w zakładach ślusarskich
czy stolarskich.

utyliitaryzm. Architektura też porządkuje przestrzeń, wprowadza do niej ład, nadaje poczucie pewności. W przypadku prac Sosnowskiej można mówić o wprowadzaniu w stan niepewności, a nawet tworzeniu chaosu. Gdy się patrzy na jej rzeźby, wręcz narzuca się słowo „ruina”. Jednak jest ona bardzo szczególna. Uderza specyficzna dbałość artystki o szczegóły: o użyte materiały i formy. Dokładnie takie same, jak ich pierwowzory. Co więcej, w jej pracach nic niczego nie udaje.

W Zachęcie znalazły się m.in. rzeźby z cyklu „Pręt żebrowany” (2020). Artystka odwołała się w nich do budownictwa Bangladeszu, modernizmu mniej rygorystycznego w formie i w szczegółach wykończenia. W jednej z nich pomalowana stal wije się, nawet wbijając się w ścianę galerii. W przypadku innych pręty zostały zatopione w nieforemnych bryłach betonu. Przypominają konstrukcje wyrwane niedawno z podłoża.

Rzeźby Sosnowskiej wydają się też całkowicie zanurzone w przeszłości, nostalgiczne. Chociaż sama artystka w rozmo-

wie z Sebastianem Cichockim dla portalu sztuka-architektury.pl podkreśla, że „nostalgia odnosi się do narracji, a ja staram się wykreować prace, które są w pewnym sensie afektywnie neutralne, a przede wszystkim niezdradzające moich emocji. Ja sama staram się być niewidoczna. Odnoszę się do pewnych estetyk, które są zaczerpnięte z historii albo współczesnego otoczenia, ale korzystam z nich w sposób minimalny, niezbędny do tego, żeby określić jakiś typ przestrzeni albo przedmiotu. Nie odnoszę się jednak do konkretnych zdarzeń”.

Uwikłania jej prac w przeszłość i teraźniejszość są wtórne. Mimo iż wciąż odwołuje się do konkretnych miejsc oraz ich historii. Może zatem w przypadku jej twórczości nie należy mówić o nostalgii, lecz o pamięci zbiorowej i indywidualnej. Jej rzeźby umożliwiają dyskusję z naszymi wyobrażeniami o minionym czasie, ale też o samym procesie pamiętania, uznawania jednych fragmentów przeszłości za godne nie tylko ocalenia, lecz uznania za część kanonu. Inne zaś zostają wymazane lub zepchnięte na margines.

Nasza przeszłość nieustannie ulega zniekształceniu i deformacji. Po tych wszystkich zabiegach przypomina zmasakrowane przez artystkę elementy użyte do tworzenia niezwykłych prac.

© PIOTR KOSIEWSKI

MONIKA SOSNOWSKA, *Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa, wystawa czynna do 25 października br.* Kuratorka Maria Brewińska.



Brzmienie ruchu

MONIKA OCHĘDOWSKA

On zamawiał pączka z cukrem pudrem, ona droższe o pięć centów oponki. Śmiał się, że ich nie lubi, a kupuje tylko dlatego, że są francuskie. Straciły smak, gdy Patti Smith dowiedziała się, że robią je Holendrzy.

JIM MORRISON BYŁ NIECZUŁYM DUPKIEM – zawyrokował po latach w iście punkowym stylu Danny Fields. Osiemdziesięcioletni dziś dziennikarz to legenda amerykańskiego przemysłu muzycznego, wieloletni „firmowy freak” – jak nazywało się gości, którzy donosili wytwórni, co jest *cool* – a potem jeden z szefów Elektra Records. O artystów można się spierać, co do jednego wszyscy są zgodni: bez Danny’ego Fieldsa punk by się nam nie przydarzył. Dzięki niemu świat usłyszał Iggy’ego Popa, Lou Reeda i Ramones.

To on z nieokrzesanego poety Morrisona zrobił jedną z największych gwiazd rocka. Po jednym z bardziej udanych koncertów w nowojorskim klubie Ondine’s uwierzył w charyzmę frontmana Doorsów i załatwił zespołowi nagranie dla Elektry „jednego niezłego kawałka, coś z ogniem w tytule, chwytliwa melodia”.

Nigdy nie pałali do siebie nadmierną sympatią, może dlatego Fields autorom napisanej w późnych latach 90. punkowej historii punka „Please Kill Me” (dwa lata temu książka ukazała się także po polsku) powiedział, że pisząc „swoje szczeniackie, bełkotliwe bzdury” Morrison umniejszył literacką wartość rock’n’rolla. „Na szczęście rock miał Boba Dylana – dawał pojednawczo Fields. – No i Patti Smith. Myślę, że Patti Smith podniosła rock’n’rolla do rangi literatury”.

Mój chłopak Rimbaud

Nie marzyła o śpiewaniu w zespole rock’n’rollowym, ale o Arthurze Rimbaudzie. To nazwisko, które wywołuje odzew w każdym poecie, pisała przed laty Julia Hartwig. Zadziało także na Patti Smith. „Rimbaud był jak mój chłopak, potajemny kochanek” – notowała w pamiętnikach. Wyglądał jak archanioł, symbolizował obrazoburczą inteligencję, posia-

dał klucze do mistycznego języka i bardzo bezpośredni wpływ na jej życie.

Gdy koleżanki z fabryki, w której pracowała jako szesnastolatka, przyłapały ją na lekturze francuskojęzycznej książki, musiała odierać oskarżenia o komunizm. Zbuntowała się, zaczęła pisać i planować ucieczkę do Nowego Jorku. „Chcę być poetką, nie piosenkarką” – odpowiadała namawiana na występy przed publicznością fotografowi Robertowi Mapplethorpe’owi, jej pierwszej miłości, wieloletniemu towarzysowi twórczych poszukiwań, z którym dzieliła pokój w hotelu Chelsea.

To Mapplethorpe był jej pierwszym słuchaczem. Lubił, gdy przed snem nuciła utwory Édith Piaf i dziecięce ballady ze zbioru Francis’a Jamesa Childa. Ona lubiła mu się przyglądać, gdy spał.

Poeta i wokalista Jim Carroll zdobył jej sympatię nie z powodu wierszy, lecz dlatego, że był miedzianowłosym awanturnikiem jak Rimbaud. Ale jej dzika namiętność do wszystkiego, co francuskie, przejawiała się najpełniej podczas wizyt w całodobowej pączkarni na rogu Ósmej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy, „coś jak Dunkin’ Donuts w wersji Edwarda Hoppera” – mawiał Mapplethorpe. Kawa była tam przypalona, ciastka czerstwe, ale przestrzeń dużo przestronniejsza od hotelowego pokoiku.

Robert zamawiał pączka z cukrem pudrem, a Patti droższe o pięć centów francuskie oponki. Śmiał się, że wcale ich nie lubi, a kupuje wyłącznie dlatego, że są francuskie. Nazwał ciastko „oponką poetki”. Straciło smak, gdy Smith dowiedziała się, że robią je nie Francuzi, tylko Holendrzy.

Mężczyzna o ustach kowboja

Gdy zgodziła się spróbować sił „na jednym z tych okropnych wieczorków po-

etyckich”, a potem zagrała w kilku sztukach teatralnych, wiedziała już, że choć nie będzie dobrą aktorką, ma talent sceniczny. Lubiła kontakt z publicznością. Zyskiwała także rozpoznawalność – na modne spektakle Tony’ego Ingrassii, w których się pojawiała (koniecznie bez makijażu!), przychodzili wszyscy, łącznie z Andym Warholem i Tennessee Williamsem.

Dorabiała jako dziennikarka muzyczna. Ale pisząc recenzje do „Rolling Stone”, wzorowała się na francuskich poetach, głównie Baudelaire, którego uważała wtedy za autora najwspanialszych tekstów krytycznoliterackich. Szukając tematu na tekst, wybrała się na koncert grupy Holy Modal Rounders. W bębny walił gość, który wyglądał na zbiega. Przedstawił się jako Slim Shadow i ucieszył, gdy Smith go protekcyjnie skomplementowała, obiecując wywiad dla „Crawdaddy”. Minęło trochę czasu, zanim dowiedziała się, że perkusista undergroundowego zespołu, który został jej przyjacielem, to popularny dramaturg, aktor i scenarzysta Sam Shepard, późniejszy laureat Pulitzera. Dla niej pozostał mężczyzną o ustach kowboja. Gdy spacerowali po ulicach Nowym Jorku, czuła się przy nim jak na smaganej wiatrem preni.

Ale zaczęło się od tego, że o tekst poprosił ją spotkany w jednym z barów przyjaciel Boba Dylana, muzyk Bob Newirth. To pod jego wpływem Smith zaczęła przerabiać swoje wiersze na piosenki. W lombardzie kupiła na raty pierwszą gitarę, nauczyła się kilku prostych akordów. Wreszcie Mapplethorpe z Carrollem zorganizowali jej występ w ramach słynnego Poetry Project – forum, na którym czytali swoje teksty najbardziej uznani poeci.

Smith nie mogła się po prostu „dobrze zaprezentować”, musiała „nasaczyć słowo frontalnym atakiem rock and rolla”. Spytała zaprzyjaźnionego gitarzystę Lenny’ego Kaye’a, czy potrafi zagrać na swojej gitarze kraksę samochodową. Potrafił. „Publika dosłownie za nią szalała” – opowiadał później autorom „Please Kill Me” poeta i muzyk Richard Hell. A zarazem dziwiono się, że „cały ten tłum wali na występ dziewczyny, która czyta wiersze”. Była „nagręcona i ostra, a jednocześnie słodka i delikatna”. I „totalnie szczerą w tym, co robiła”.



Patti Smith, Sztokholm, wrzesień 2016 r.

NICKLAS THEGERSTRÖM / TT NEWSAGENCY / FORUM

Być parą dla chłopca z gitarą

Pełna sprzeczności i zawsze gdzieś pomiędzy – jak jedna z jej ulubionych postaci literackich, Alicja z Krainy Czarów. Między rockiem a poezją, między piosenką a improwizacją. A także pomiędzy płciami w czasie, gdy wszyscy wokół eksperymentowali ze swoją seksualnością i narkotykami, balansując na granicy życia i śmierci. Miała androgeniczny urok i styl.

„Nikt nie wyglądał tak jak ona. Była prekursorką stylu punk” – twierdzi Penny Arcade, performerka i aktorka, jedna z gwiazd Warhola. Tłumacz Patti Smith Filip Łobodziński przyznaje, że przystępując do przekładu miał wątpliwości, czy nie powinna tego robić kobieta. W podjęciu decyzji pomogły mu wypowiedzi samej artystki, dla której płeć twórczości nie ma wielkiego znaczenia. Smith chciała wręcz, by podmiot liryczny jej utworów był odbierany poza płciowo.

Pierwszy tomik wierszy Patti Smith „Siódme niebo” ukazał się w 1972 r., zaraz po głośnym występie z Lennym Kaye’em. Jej kariera przyspieszyła, zacieśniły się związki ze światem rocka, posypały propozycje odczytów i występów. Całe to za-

mieszanie Smith skomentowała po latach w „Poniedziałkowych dzieciach” – pierwszym z trzech tomów pamiętników – w typowy, nonszalancki sposób: „reakcja otoczenia była bardziej przesadna niż wtedy, gdy obciąłam włosy”. Ale to nie kokieteria, bo Smith odrzuciła w tamtym czasie kontrakt z Blue Sky Records, czując, że nagrywanie płyty byłoby przedwczesne i w jakimś sensie „niestosowne”. Dopiero, gdy z Kaye’em spotkali się ponownie przy projekcie „Rock i Rimbaud”, uwierzyła, że to nie musi być jednorazowy występ. Niebawem dołączył do nich młodzieńki pianista Richard Sohl. Nazwali swoje granie „trzema akordami scalonymi z mocą słowa”.

Rock był drogą, którą przeprowadziła ją przez okres dojrzewania, a pierwsza płyta „Horses” „salwą honorową” na cześć tych, którzy jej towarzyszyli – przedwcześnie zmarłych Morrisona i Hendriksa, francuskich poetów. Wierzyła, że prawdziwi artyści są maksymalistami, dlatego odniosła tak wielki sukces jako rockmanka – komentował jej fenomen Carrol. Potrafiła „spuścić wszystko ze smyczy”. Lenny Kaye mawiał, że słowa Smith oddają brzmienie ruchu. To wła-

śnie z powodu tej dzikiej, wywiedzionej od Rimbauda buńczucznej poetyckiej energii dziennikarz i producent muzyczny Sandy Pearlman zobaczył w niej frontmankę zespołu rock’n’rollowego. Pisana tuż przed 70. urodzinami Smith, wydana właśnie po polsku książka „Rok Małpy”, trzecia i najbardziej oniryczna część dzienników, dedykowana jest właśnie jemu. Oraz zmarłemu trzy lata temu Samowi Shepardowi, mężczyźnie o ustach kowboja.

Problemy ze snieniem

Mniej więcej w tamtym czasie, podczas wizyty we Francji, gdzie odbierała przyznawany przez burmistrza Paryża medal Grand Vermeil, Smith kupiła replikę rodzinnej farmy Rimbauda w Roche, liczącej niespełna stu mieszkańców wiosce położonej blisko granicy z Belgią.

Choć na farmie wciąż istnieje oczko wodne do przepierek, nad którym Rimbaud, podziwiając mgliste krajobrazy Ardenów, pisał „Statek pijany”, z jego rodzinnego gospodarstwa pozostał ledwie mur. W czasie I wojny światowej wieś zbombardowali Niemcy. Budynek został odtworzony po latach przez Jacqueline Kranenvitter i Paula Boensa, stając się prędko miejscem pielgrzymek wielbicieli poety.

Pisząc oniryczny, rozgrywający się w kalifornijskim Hotelu Snów (Dream Inn) w Santa Cruz „Rok Małpy”, Smith pracuje także nad tryptykiem „The Perfect Vision”, dedykowanym – a jakże – trzem francuskim pisarzom. Łączyło ich to, że odczuwali, bliską także artystce, konieczność odbycia podróży do odległych krajów, pozwalającą spojrzeć na swoją sztukę z nowej perspektywy. Pierwszy album „The Peyote Dance”, inspirowany Antoninem Artaudem, ukazał się wiosną zeszłego roku. Patronem drugiego, jesiennego albumu „Mummer Love” był nie kto inny jak Rimbaud.

Towarzyszący Smith muzycy Soundwalk Collective pojechali do Hareru w Etiopii, kolebki afrykańskiego sufizmu, by zbadać zawiłości najbardziej niejasnego okresu życia poety. Spędzili czas z członkami Sufi Group of Sheikh Ibrahim, rejestrując ich pieśni. Później swoje partie dograła Patti Smith – śpiewa i recytuje na płycie wiersze Rimbauda. „Peradam”, trzecia i ostatnia płyta, która ukaże się 4 września, oparta jest na motywach nieukończzonej powieści →

→ „Le Mont Analogue” francuskiego pisarza metafizycznego Reného Daumala. Książka, będąca w latach 70. inspiracją Alejandra Jodorowsky’ego do nakręcenia filmu „Święta góra”, ukazuje życie jako mistyczną podróż w poszukiwaniu instrumentu poznania niedostępnego. To także (w psychodelicznej wersji Jodorowsky’ego) krytyka zanurzonego w konsumpcji społeczeństwa, które mimo dziedzictwa duchowego i artystycznego dopuszcza się dewastacji środowiska, oraz amerykańskich polityków – tematów ważnych dla twórczości Smith, splecionych niegdyś we „Śnie Konstantyna”, które wracają teraz ze zdwojoną siłą w „Roku Małpy”. Część materiału dźwiękowego do „Peradam” została zarejestrowana w Himalajach. Na pierwszych, zamieszczonych w sieci wideoklipach można podziwiać piękne, hipnotyzujące górskie kolaże Jennifer Ruff.

Jeśli debiutanckie „Horses” było salwą honorową na cześć tych, którzy utorowali artystyczną drogę Patti Smith, tryptyk „The Perfect Vision” oraz „Rok Małpy” potwierdzają, że Patti chce pamiętać „o wszystkich z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości”, których nieuchronnie podczas nieustannej wędrówki, niczym himalaiści, „straciliśmy, tracimy i będziemy tracić”.

W jednej z najbardziej znanych piosenek „People Have the Power”, stanowiącej miłosne wyznanie wiary w człowieka, Smith stawiała znak równości między marzeniami, życiem i rewolucją: „Ludzie mają siłę, by śnić – by trwać / by z rąk głupcom wyrwać świat” (przeł. Filip Łobodziński). To czerpana z poezji moc sprawia, że ludzie mają odwagę śpiewać o wolności. Na ostatnich stronach „Roku Małpy”, na których Smith relacjonuje swój długi sen, w którym, wędrując w poszukiwaniu mosiężnego teleskopu pozwalającego spojrzeć w przyszłość spotyka wszystkich, którzy przez ostatnie 50 lat od niej odchodzili, siostra Alicji z Krainy Czarów zanotowała: „problem ze snieniem jest taki, że w końcu się budzimy”. Czy nadal mamy siłę wyrwać świat z rąk głupców? Jedno z ostatnich zdjęć zamieszczonych przez Patti Smith na jej monochromatycznym ostatnio Instagramie to biało-czerwona migawka tłumowi trzymającego ogromną flagę: „This is the people of Minsk”.

© P MONIKA OCHĘDOWSKA

MILLENIUM DOCS AGAINST GRAVITY



Kadr z filmu „Witamy w Czeczenii”

Zmylić pościg

ANITA PIOTROWSKA

Twórcy i bohaterowie „Witamy w Czeczenii” podkreślają zmasowany charakter czystki wymierzonej w mniejszości seksualne. Ktoś nawet sięga po słowo „ludobójstwo”.

NIECH ALLACH MA CIĘ W OPIECIE” – tymi słowami dziewczyna żegna się ze swym współlokatorem, który musi wyemigrować do Kanady. Witamy w Czeczenii – miejscu, gdzie w 2017 r. Władimir Putin postanowił rękami Ramzana Kadyrowa rozwiązać kwestię LGBT+. Nie tylko na Kaukazie.

Któż z nas nie zna tego uczucia ulgi, kiedy bohater filmu, uciekając przed swoim prześladowcą, próbuje zmylić pościg. Kiedy suspens z każdą chwilą narasta, a tu trzeba jeszcze przejść przez jakieś punkty kontrolne i skrupulatne procedury lotniskowe, by wreszcie, po wielu perypetiach, dostać się na pokład samolotu i oderwać się od ziemi. Nagradzany dokument Davida France’a oglądałoby się jak mocny film sensacyjny, gdyby nie świadomość, że Ahmad, Bogdan, Ania czy Grisha, jakkolwiek zakamuflowani, to przecież ludzie prawdziwi. I chodzi tu o ich życie w najbardziej podstawowym sensie.

W poprzednim filmie, nominowanym do Oscara „Jak przetrwać zarazę”

(2012), reżyser zajmował się działalnością amerykańskiego ruchu ACT UP, który walczył o godne traktowanie chorych na AIDS, skazanych na dezinformację i utrudniony dostęp do leków. Tym razem, w dokumencie „Witamy w Czeczenii”, przygląda się codziennemu funkcjonowaniu Russian LGBT Network, organizacji pomocowej umożliwiającej ewakuowanie z kraju osób prześladowanych za swą orientację seksualną.

Podopiecznymi są przede wszystkim młodzi Czeczeńcy i Czeczenki, często ofiary uprowadzeń, tortur, gwałtów i upokorzeń, bo w taki właśnie sposób próbuje się ich zmusić do wydania władzom innych nazwisk osób nieheteronormatywnych. Zwykle przeciwko sobie mają też swoich bliskich, którzy nie tylko odrzucają seksualność synów i córek, ale próbują przeszkodzić im w ucieczce. Tradycyjna kaukaska obyczajowość nie toleruje homoseksualizmu, uważa go za plamę na rodzinnym honorze, którą zmyć może jedynie krew. Bywa również, jak w przy-

padku pewnego Rosjanina luźno związanego z Czeczenią, że ze strachu przed napiętnowaniem muszą emigrować całe rodziny. „U nas gejów nie ma” – mówi z dumą marionetkowy przywódca republiki w rozmowie z zagranicznym dziennikarzem.

Amerykański dokument HBO uwytkukla pewien paradoks. Choć Kadyrow za cichym przyzwoleniem Kremļa byłby gotów wysłać wszystkich gejów na Madagaskar, to logistyka ucieczki z kraju okazuje się bardzo skomplikowana. Wszystko odbywa się w całkowitej konspiracji, podobnie jak kręcenie tego filmu. Najpierw trzeba wywieźć ofiarę z Czeczenii, zmienić jej wygląd i personalia, przetransportować ją po cichu do Moskwy, a tam, do czasu otrzymania wizy, zapewnić jej bezpieczną kryjówkę. Oczekiwanie może trwać wiele miesięcy i pół biedy, jak ma to miejsce w grupie, w tajnym schronisku, bo zdarza się, że uciekinier musi przebywać w czterech ścianach samotnie, bez kontaktu ze światem. Psychicznie trudno to wytrzymać i nawet w sytuacjach najbardziej kryzysowych nie można wezwać pogotowia.

Żebyśmy nie mieli wątpliwości, o jaką stawkę toczy się gra, France udostępnia amatorskie zdjęcia czy filmy, z których wysypują się historie przerażające, surowe zapisy brutalnych zatrzymań, obrazy okaleczonych ciał. Jak to możliwe, że mając w ręku tak twardy materiał dowodowy, zazwyczaj nagrany przez samych oprawców, nie można dojść sprawiedliwości? Odpowiedzią niechaj będzie przypadek Maksima Liapunowa – geja, który jako pierwszy zdecydował się opowiedzieć publicznie o tym, że był przetrzymywany i bity przez czeczeńskich siłowników. Następnie, dzięki wsparciu organizacji pozarządowych, w tym Russian LGBT Network, zaczął dochodzić praw w moskiewskim sądzie. Ujawnił przy tym swoją tożsamość, co znajduje wyraz w materii filmu. Oto spod nałożonej komputerowo obcej fizjonomii (w ten sposób dokument przez cały czas zapewnia anonimowość zagrożonym bohaterom) wyłania się wreszcie prawdziwa twarz. Ciekawostką jest, że w zastosowaniu tej pionierskiej metody dokumentalnej udział wzięli działacze i działaczki queerowi z Nowego Jorku czy Los Angeles. Użyczywszy filmowi własnych „ruchomych twarzy”,

współtworzyli jakże nośną metaforę podwójnego życia.

Twórcy i bohaterowie „Witamy w Czeczenii” podkreślają zmasowany charakter czystki wymierzonej w mniejszości seksualne. Ktoś nawet sięga po słowo „ludobójstwo”. Już na początku mówi się o ściśle politycznym wymiarze całej akcji: odwołując się do tzw. wartości rodzinnych, dla których zagrożeniem miałyby być osoby LGBT+, Putin usiłuje zbić polityczny kapitał. W Dagestanie, Inguszetii, ale i w całej Rosji, bo Kaukaz – co sugeruje przed kamerą aktywista Dawid Istejew – stanowi sprzyjający eksperymentom poligon.

Z filmu wyłania się obraz dyktatury strachu. Jedną z lekcji pokazowych było przed trzema laty tajemnicze zniknięcie Zelima Bakajewa, czeczeńskiej gwiazdy popu, podejrzanego o homoseksualizm. Osobne miejsce zajmują w tej opowieści czeczeńskie lesbijki. Ania była szantażowana przez własnego wujka, który żądał od niej usługi seksualnej w zamian za milczenie na temat jej orientacji. Nie trzeba dodawać, że konserwatywny podział ról panujący w wielu czeczeńskich domach jeszcze bardziej utrudnia dziewczynom podjęcie decyzji o wyjeździe w nieznaną. Alternatywą może być jednak zabójstwo honorowe.

Wielkimi bohaterami tego dokumentu są także działacze i działaczki, jak wspomniany Istejew czy szefowa moskiewskiego centrum LGBT+, Olga Baranowa, którzy dzięki międzynarodowemu wsparciu, lecz i z narażeniem własnego życia, wypełniają swą misję. Liczba osób, które dzięki nim mogły wyjechać na Zachód i otrzymać status uchodźcy, idzie już w setki, jakkolwiek w czasie pandemii izolacja kaukaskiej republiki pogłębiła się.

Na koniec chciałoby się zabłysnąć jakąś puentą, przestrogą, samopocieszeniem lub wyrazistą analogią – tym razem pozostawmy ten suchy opis filmu o dalekiej Czeczenii czy Rosji bez dodatkowych komentarzy. ©

WITAMY W CZECZENII (*Welcome to Chechnya*) – reż. David France. Prod. USA 2020. Film będzie pokazywany w kilku miastach Polski w ramach festiwalu Millenium Docs Against Gravity (4 – 13 września), a następnie w wersji online festiwalu (19 września – 4 października). Szczegóły na www.mdag.pl.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Ave Satan?



Dokumentalny, reż. Panny Lane, USA 2019, Canal+ Dokument, 1 IX, 0.30
Bliżej im do happen-
rów niż do wyznawców

ciemnych sił. Świątynia Szatana to całkiem liczna organizacja z siedzibą w USA, która za pomocą satanistycznej symboliki walczy o prawa człowieka i sprawiedliwość społeczną. Film przedstawia historię grupy, jej głównych działaczy oraz najbardziej spektakularne i tym samym najbardziej kontrowersyjne akcje.

2. Jezioro dzikich gęsi



Sensacyjny, reż. Yi'nan Diao, Chiny / Francja 2019, mojeekino.pl
Współczesne Chiny

zobaczone w obiektywie czarnego kryminału. Ucieczka gangstera, który przypadkiem zastrzelił policjanta, zamienia się w ostrą jazdę po brudnych zakamarkach miasta. Nic tu nie jest tym, czym się wydaje, ale bardziej niż sama intryga przyciąga fotogeniczny klimat osaczenia i zepsucia, będący efektywnym przebraniem dla autentycznych lęków.

3. Fale



Dramat, reż. Trey Edward Shults, USA 2019, CHILLI, Rakuten, iTunes, Player.pl

Jednym ten film kojarzy się z oscarowym „Moonlight”, innym z popularnym serialem „Euforia”. Pod teledyskową konwencją kryje się opowieść o afroamerykańskiej rodzinie z Florydy, o nastoletnich problemach i o tym, jak emocje wspót z tragicznym przypadkiem mogą zmienić wszystko, ale ostatecznie niczego nie przekreślać.

4. Kurt Cobain o synu



Dokumentalny, reż. A.J. Schnack, USA 2006, Ninateka
Był ikoną lat 90. i stał się jednym z członków straceńczego Klubu 27.

Film przedstawia fragmenty 25-godzinnej rozmowy, jaką znany amerykański dziennikarz muzyczny Michael Azerrad, a zarazem autor książki o zespole Nirvana, przeprowadził z jego wokalistą – z dala od zgietku scen, chwilami nawet intymną.

JAN

Klata: *Coś tam będzie*



CZWARTEK 20 SIERPNI 2020. DO ROZPOCZĘCIA „Zapraszamy do Trójki” pozostało 60 minut, aż tu nagle audycja została z anteny zdjeta. Zdjąć z anteny – coś za efektowne wyrażenie, które nam do cna spowszednia. Cała Trójka została zdjeta z anteny, przechodzi na śmietnik historii, historii pisanej przez Polską Zjednoczoną Prawicę. Duda wygrał? Wygrał.

Czy trzy miesiące temu można było się spodziewać, że Polska Zjednoczona Prawica jednak nie zdemoluje Programu Trzeciego polskiego – bądź co bądź – radia? Kto się łudził, ten się łudził, redaktor Strzyczkowski był za, a nawet przeciw, podjął decyzję o grze z szulerami, płacząc nad „nieskasowanym esemesem”. W czwartek 20 sierpnia 2020 roku przyszedł do funkcjonariuszy państwa PiS z programem naprawczym, a wyszedł z dymisją.

Dlaczego? Gdyż mamy mandat suwerena, robimy wszystko, co chcemy, za nic nie ponosząc odpowiedzialności. Bóg i historia ewentualnie nas osądzą do spółki. Bóg i historia... Wszystko pod kontrolą, zero obaw. Po pierwsze: ostatecznie, trochę to potrwa. Po drugie: boscy hierarchowie mają w Polsce generalskie emerytury, a historyków w naszych szeregach nie brakuje, napiszą, co trzeba, po linii i na bazie, się wydrukują za państwowe pieniądze i się wstawi do placówek Poczty Polskiej.

Zdjęty z anteny program „Zapraszamy do Trójki” prowadzić miał redaktor Ernest Zozuń, no ale nie poprowadził, bo go nie było, w sensie: programu, redaktor jak najbardziej był, a program mógł być, ale jednak bardziej była decyzja polityczna, żeby go zdjąć, znaczy: program, bo redaktora Zozunia nie, jeszcze nie teraz, później się zobaczy, kto wie, może jednak tak, jak zajdzie taka potrzeba.

A zatem redaktor miał słynny codzienny program poprowadzić, ale został wezwany do zwierzchników z ramienia Polskiej Zjednoczonej Prawicy, którzy mu oznajmili, że tego programu, co to za 60 minut miał być, nie będzie. W związku z tym redaktor Zozuń zadał szefom proste, choć rozpaczliwe pytanie: „To co będzie?”. Odpowiedź brzmiała propaństwowym echem długiego trwania: „Coś tam będzie”.

To może potrwać.

©

Lektor: *Przekazanie daru*



HENRYK JACKOWSKI / BEW

NIEMAL KAŻDY DZIEŃ przynosi wiadomość o odejściu kogoś, kto współtworzył nasz świat, swoją sztuką, mądrością, odwagą czy dobrocią czynił go łatwiejszym do zniesienia. Śmierć Wojciecha Karpińskiego (1943–2020; na zdjęciu) była chyba najbardziej niespodziewana. Dla mnie był najpierw lekturą: „Sylwetki

polityczne XIX wieku”, które z Marcinem Królem publikowali w latach 70. na łamach „Tygodnika”, eseje w „Twórczości”, książki wydane oficjalnie i w drugim obiegu – lubiłem zwłaszcza „W Central Parku” z rysunkiem Saula Steinberga na okładce. Wiedziałem, że publikuje pod pseudonimem w „Kulturze” paryskiej, że należy do redakcji podziemnej „Res Publik”. Potem przyszła znajomość i przyjaźń, kolejne numery „Zeszytów Literackich” z jego szkicami, wysyp książek – na emigracji, potem już w kraju, o wszystkich zdarzałem się tutaj pisać. Od 1989 r. regularne spotkania,

spacery po Krakowie – naprawdę był, jak napisał Adam Zagajewski, mistrzem konwersacji i jej nauczycielem. Fascynował mnie świat, który zbudował sobie jeszcze w PRL-u, impregnowany na zideologizowaną i zgrzebną rzeczywistość, ale też niezależny od doraźnych inteligenckich mód. Odkrywana na nowo polska tradycja, zachodnia sztuka i myśl polityczna, przede wszystkim zaś wielcy emigranci – Gombrowicz, Miłosz, Herling, Czapski, Stempowski, Jeleński – twórcy, jak to Karpiński nazwał, „czwartej polszczyzny”. Kiedy zaczęła się pandemia, zrealizował wymarzony projekt: korzystając z faktu, że wszystkie roczniki „Kultury” dostępne są już w sieci, z najważniejszych dla siebie tekstów półwiecza ułożył komentowane wypisy.

Jest ich 120, umieszczane były codziennie po jednym na stronie Instytutu Literackiego i na prywatnej stronie autora. Nadzwyczajna podróż w przeszłość, nie mniej żywa, a ciekawsza niż codzienność naszego podwójnego kryzysu. Nie ma jeszcze tej książki w papierze, można ją pobrać w wersji elektronicznej. Słowa autorskiego wstępu stały się niespodziewanie testamentem: „Chciałbym, aby te teksty stały się dla innych tym, czym były dla mnie w młodości i czym pozostają w późnych latach. Gdy młody d’Artagnan wyruszał z rodzinnego domu w świat, dostał na drogę balsam leczniczy i list polecający. Chciałbym, aby te strony były takim darem na drogę, balsamem na rany zadawane przez życie i listem polecającym do wybitnych pisarzy”. ©&

PAWEŁ

Bravo:

Z klasztornej kuchni



MOŻE TO NIE JEST NAJLEPSZY MOMENT, by rozważać, jak bardzo wypraliśmy życie z przypadku i zaskoczenia – na tydzień przed pierwszym dzwonkiem nie jest jasne, jak w praktyce będzie wyglądać nauka w szkole. Ale faktem jest, że kluczowe zmiany w codzienności ostatnich lat poszły w tym kierunku. Gdziekolwiek zagnieździł się telefon z aplikacjami mielącymi nieustannie potoki danych z dowolnej dziedziny, tam udział czynnika nieprzewidywalności maleje i dąży do zera.

Główną selekcję i ranking możliwości dokonuje za nas algorytm, uczący się na naszych przeszłych zachowaniach. Kliknięcie w pierwszy z góry punkt krótkiej listy „proponowanych dla ciebie” nie jest w istocie żadnym wolnym wyborem.

Jedną z najważniejszych inspiracji muzycznych w życiu – niszowego pianistę grającego w latach 80. i 90. dla małej niezależnej wytwórni – odkryłem przypadkiem, słuchając jednym uchem radia w dzień pogrzebu Breżniewa, kiedy całą ramówkę przestawiono na dostojne klimaty i przy Myśliwieckiej ktoś powyciągał wszystkie spokojne nagrania, jakie zalegały w szafach. Wcale nie było łatwo się dowiedzieć, co to za cudowny, zupełnie inny od znanych mi dotąd kawałek, a tym bardziej zdobyć do przegrania pierwszą i następne płyty. Dziś na Spotify mam pod palcem całą dyskografię tego pianisty, ale płacę za to przewidywalnością tego, co mi jeszcze zostanie podsunięte.

Przypadek i zaskoczenie wracają jednak jako forma perswazji. Furorę na YouTube robią filmiki z gatunku *first time hearing*, na których ludzie wrzucają nagrania siebie samych słuchających po raz pierwszy kawałków obcych im dotąd gatunków i nazwisk. Przeważnie to młodzi, przeżywający szok w kontakcie z nieznaną klasyką. Wrzućcie do wyszukiwarki „Williams Twins” i „Phil Collins” i zobaczycie, jak wielce spontaniczni bliźniacy biorą na klatę „In the Air Tonight”.

Nawet w życiu „fizycznym” poruszamy się, jakby naszą percepcją rządził algorytm. Choćby książki kucharskie stojące na poczcie. Ignorujemy je, jako część patriotyczno-dewocyjnego badziewia wypełniającego przestrzeń między okienkami. A do tego jeszcze zakonnica na okładce, fotografowana, jakby ktoś się urwał w wczesnych lat 90. To na pewno nie dla nas.

A ja wam powiem, że czuję respekt dla siostry Anastazji. Jeździć do dość światowej jak na Kościół ludzkie, musiała naprawdę dobrze ich karmić, skoro postanowili uczynić z niej legendę. Przelamali opór własnego wydawnictwa, podówczas drukującego teologiczne bądź dewocyjne cegły. A może po

prostu rozezнали, jak silnie tkwi w narodzie archetyp dobrze odkarmionego zakonnika lub księdza i że siostra z klasztornej kuchni podprogowo zadziała na każdą gospodynię.

Mniejsza o mechanizmy sukcesu. Siostra Anastazja jest pełnokrwistą osobowością kuchenną z własnym stylem. Choć gotuje całkiem w inny sposób, wyczuwam w jej pisanii bliskie mi zamiłowanie do prostoty z lekką domieszką hedonizmu – co widać np. w jej fantazyjnych, odpustowo kolorowych przekładańcach. Większość przepisów to rzeczy niezbyt lub średnio trudne i z tanich składników, a jednak mają zawsze swój zmysłowy twist. Dokładnie taka osoba wyłania się z wywiadu rzeczki (bo to tycia książka): rozumiejąca znaczenie radości ciała w ekonomii zbawienia, nieprzywiązana przesadnie do tradycji („Tradycje są ważne, ale ludzie ważniejsi. Niektórzy nie mogą jeść glutenu czy innych składników, trzeba to uwzględnić” – mówi zapytana o „obce” wtręty na stołach wigilijnych).

Mam inną niż siostra metodę na robienie biszkoptu i na pewno nie usztywniam bitej śmietany żelatyną (ale robię desery dla paru osób, gdybym karmił cały klasztor, to kto wie...). Przepisy z jej książek nie są zbyt dokładne, wymagają pewnego otrzaskania w procedurach – to akurat wina nie siostry, tylko redaktorów. Ale mimo wszystko, stojąc w kolejce do okienka przekartkujcie życzliwie.

Idąc po polecony, przy okazji wyjdziecie z bańki. ©P



Nie wiem, skąd u siostry Anastazji (i jej czytelników) takie zamiłowanie do warstwowych, przekładanych ciast. Może to refleks dawnych aspiracji za tym, żeby jeść „po pańsku” tort? W swojej domowej posłudze robiłem zazwyczaj tylko jeden przekładaniec, który znać z co bardziej zwyczajnych knajpek we Włoszech. *Suppa inglese* – dlaczego to się nazywa „angielska zupa”, to opowieść na inny felieton. Do tego potrzebny jest biszkopt, który Włosi zwą *Pan di Spagna* (hiszpański chlebek), zatem to kosmopolityczny deser. **5 jajek** ubijamy mikserem bardzo długo, co najmniej 15 minut, dodając stopniowo **150 g cukru** i nieco **cukru waniliowego**. Kiedy masa będzie naprawdę puszysta, dosypujemy ostrożnie przez sito **75 g mąki pszennej** i **75 g mąki kartoflanej** i łączymy delikatnymi ruchami drewnianej łyżki. Wylewamy masę na wyłożoną papierem formę ok. 24 cm średnicy, pieczemy w 160 stopniach ok. 45 minut, aż się zrumieni i będzie suchy w środku (sprawdzamy patyczkiem). Po wyjęciu studzimy, biszkopt „siądzie”, ale to nic nie szkodzi. Możecie zresztą zrobić go na inny sposób, jak wam się podoba. Następnie kroimy z niego kawałki pasujące kształtem do salaterki. Nasączamy je **alchermezem** (przepis, jak zrobić ten różowy, słodkawy likier, znajdziecie na stronie internetowej) albo alternatywnie np. **grenadyną** rozcieńczoną **wódką**. Szykujemy krem cukierniczy z jajek, mleka, cukru i skrobi (może być od biedy bardzo gęsty budyń waniliowy z torebki), połowę z niego zabarwiamy na brązowo **kakao**. Na pierwszą warstwę biszkopta kładziemy warstwę żółtego kremu, dalej biszkopt, brązowy krem, biszkopt i żółty krem. Tuż przed wydaniem posypujemy kakao.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania
autorskich cykli podkastów
„Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

LEKtura
czyli Grzegorz Jankowicz o tym,
co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która
odkrywa dla nas na nowo
średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny
Przewrockiej-Aderet

**weź,
słuchaj!**

powszech.net/podkast



PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



GAZETA NAGRODY
LITERACKIEJ
GDYNIA

DODATEK

LITERACKI

ROK TEMU ZMARŁ HAROLD BLOOM: być może największy amerykański krytyk literacki, a zarazem autor teorii twórczości opartej na „poetyckim agonie”, czyli zmaganiu się młodszych poetów ze starszymi – cel to kreacja nowego i oryginalnego idiomu. Zanim jednak zmarł fizycznie, poniósł śmierć symboliczną w sferze debaty publicznej – został, jak to się dziś mawia w kręgach radykalnych, „anulowany”.

Akcja „cancel Harold Bloom” toczyła się już w latach 80. minionego wieku na akademickich kampusach, zanim jeszcze została nazwana wprost *cancel culture*. W tym też sensie jest Harold Bloom pierwszą ofiarą mordu symbolicznego: usunięcia z debaty autora, który został uznany za niewygodnego przez obie strony właśnie rozpoczynającej się wówczas wojny kulturowej.

Prawica nigdy nie uznała Blooma za swojego, bo za dużo w nim było dekonstrukcji, uważanej przez kręgi alt-rightu za „myśl zdegenerowaną”. Lewica zwalczała go jako obrońcę elitarnego przywileju, ucieleśnionego przez Bloomowski ideał „silnego poety”. I faktycznie, Bloom potrafił mówić publice rzeczy, których ta nie miała ochoty słyszeć (zgodnie ze znaną i absolutnie słuszną zasadą George’a Orwella). Jak choćby w przypadku niezwykle poczytnej autorki „Harry’ego Pottera” (również ma dziś kłopoty z anulantami), której Bloom wystawił najkrótszą recenzję świata: „Czy dziesięć milionów czytelników na całym świecie może się mylić? Tak”.

Gdyby żył, w ten sposób zapewne zrecenzowałby także niezwykle popularną w internecie modę wszech-anulowania, której największym – jeśli nie jedynym – argumentem jest wspierająca ją liczebnie masa, wciąż żądająca nowych głów „arystokratów kultury”.

Hegel rewolucję francuską w okresie jej największego terroru opisał jedną frazą: „furia zniszczenia”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to samo dzieje

NAGRODA LITERACKA GDYNIA



TYGODNIK POWSZECHNY

Dodatek
„Tygodnika Powszechnego”
Nr 35/2020

się dziś – tyle że w sferze symbolicznej. Harold Bloom był pierwszym intelektualistą publicznym zwracającym uwagę na destrukcyjne zapędy „partii resentymentu” – nic więc dziwnego, że też jako pierwszy padł jej ofiarą. Pod tym pojęciem rozumiał on wszystkich, którzy chcą zająć miejsce starych elit, jednocześnie uchylając się od agonu, czyli realnego starcia na myśli i argumenty.

Anulując agon, ludzie resentymentu pragną bowiem prostej wymiany generacyjnej, wyłącznie na zasadzie biologicznego następstwa pokoleń. To jednak nie ma nic wspólnego z rzeczywistą sukcesą kulturową, gdzie jedyną racją powinien być „indywidualny talent” i merytokratyczny mechanizm jego wspierania. Nawet jeśli ten ideał pozostaje daleki od spełnienia, a merytokracja w świecie kultury nie działa tak, jak powinna, nadal jednak pozostaje ideą regulatywną. Jej unieważnienie w niczym kulturze nie pomaga; przeciwnie, całkowita kasacja zasady talentu jako przywileju nie uchroni wiedzę od jej śmierci.

Po co wspominam Harolda Blooma? Nie tylko dlatego, że był moim ulubionym myślicielem. Coś bardzo złego dzieje się w sferze kultury, także w Polsce. Ataki na starszych tylko z tego powodu, że są starsi i jako „zenujący boomerzy” nie ogarniają świata młodych, należą do świata biologii, nie sfery kulturowej. A człowiek to podobno *homo symbolicus* – choć ostatnio symboliczna w jego wydaniu bywa głównie przemoc.

Nagroda Literacka Gdynia to strefa wolna od przemocy, ale wcale nie wolna od agonu. Spieramy się tu twardo i o wszystko. Ale nigdy nikogo nie unieważniamy.

AGATA BIELIK-ROBSON

Przewodnicząca Kapituły

Nagrody Literackiej GDYNIA



MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA

Materia i metafizyka

PIOTR KIEŻUN

Esej w gdyńskiej nagrodzie zawsze jest najbardziej różnorodny tematycznie, stylistycznie i gatunkowo – wskazanie zwycięzcy jest tu najtrudniejsze.

Książka „Donikąd. Podróż na skraj Rosji” Michała Milczarka (Czarne) to żywiołowy reportaż *gonzo*, w którym osobisty ton i śmiałe podejście do języka łączą się ze zmysłem szczegółu i erudycja. Milczarek, którego czytelnicy mogli do tej pory poznać przede wszystkim jako badacza myśli Nikołaja Fiodorowa i Wasilija Rozanowa, tym razem zabiera nas w podróż po północnych rubieżach Rosji. Odwiedzamy widmowe miasta Kamczatki, Kołymę i górniczy Norylsk czy Workutę. Przy okazji jesteśmy świadkami spełnienia marzeń nastolatka ze Szczecina, pragnącego dotrzeć w miejsca ogołocone z rzeczy i słów – gdzie można dotknąć Absolutu. A nam opowieść Milczarka o skutej lodem Poradzieci też pozwala się trochę „ponicościować bez zapałki”.

„**Pluczeki**” Pawła Piotra Reszki (Agora) to z kolei reportażowe śledztwo dotyczące jednego z bardziej wstydliwych zjawisk w polskiej historii XX wieku – poszukiwania żydowskiego złota w zbiorowych mogiłach na terenach byłych obozów zagłady. To temat trudny, bo dotyczy nie tylko powojennego okresu biedy i zamętu, który w jakimś stopniu mógłby usprawiedliwić cmentarne szabrownictwo. Jeden z opisywanych procesów o znieważenie miejsca spoczynku ofiar Zagłady odbył się przecież pod koniec lat 70. Reszka sięga do oficjalnych dokumentów oraz prasowych doniesień z epoki, ale ton jego książki nadają głównie rozmowy z kopaczami lub ich rodzinami, zamieszkującymi okolice Bełżca i Sobiboru. Sam autor zaledwie miga nam gdzieś w tle, pozostawiając ocenę opisywanych procedur czytelnikowi. Ten zaś musi się zmierzyć z rzeczywistością, w której ludzkie szczątki to po prostu „żużel” albo „rąbanka”.

„**Wolność, równość, przemoc**” Agaty Sikory (Karakter) to – jak zauważa sama autorka – ani esej naukowy pozbawiony



subiektywnej perspektywy, ani esej anglosaski, dążący do wyartykułowania praktycznych postulatów, ani też erudycyjny esej literacki. Albo inaczej – jest on wszystkim po trochu. Od pierwszych stron uwagę zwraca przejrzystość stylu, ostrość wyводу i – *last but not least* – intelektualna odwaga autorki, która zadaje współczesnym zwolennikom demokracji liberalnej, a więc i sobie, kilka niewygodnych pytań. Czy ceną emancypacji seksualnej nie są inne formy represji? Czy naprawdę przemoc nigdy nie rozwiązuje problemów w liberalnym świecie? Czy poprawność polityczna słusnie wpędza nas w poczucie winy? Jak pogodzić prawo do indywidualnej ekspresji z dążeniem do praw uniwersalnych? Sikora wbija kij w liberalne mrowisko, ale w przeciwieństwie do konserwatywnej prawicy nie chodzi jej o zniszczenie, lecz o wzmocnienie.

W przypadku kolejnej nominacji nie ma większych wątpliwości: „**Gorączka filmowa. Kinomania w międzywojennej Polsce**” Pawła Sitkiewicza (Słowo/obraz terytoria) to praca naukowa. Kilkadziesiąt stron przypisów, olbrzymia bibliografia. Wszystko wrzuczone litościwie na koniec – dla zapaleńców i badaczy. To dobra strategia, ponieważ sam esej daleki jest od potocznych wyobrażeń o suchym naukowym stylu. Sitkiewicz umiejętnie wykorzystuje bogaty materiał badawczy, własną umie-

jętność snucia opowieści i intrygujący temat – fenomen kina w dwudziestoleciu międzywojennym. Ten ostatni analizowany jest tu nie tyle z perspektywy ekranu, a więc od strony twórczości filmowej czy życia gwiazd, ile z perspektywy widowni. Sitkiewicza interesują emocje, jakie towarzyszyły pokazom, kulturowa pamięć seansów filmowych, wreszcie sam wygląd świątyń X Muzy. Jego książka to pisarski krewny filmu „Cinema Paradiso” – wciągająca podróż w czasie do początków kinowego szaleństwa.

Ostatniej autorki nie trzeba przedstawiać: debiutowała jako poetka i już wtedy zwróciła uwagę krytyków. Równocześnie zajmuje się botaniką i botaniczką pozostaje także w trakcie pisania. Czy zbiór esejów Urszuli Zajączkowskiej „**Patyki, badyle**” (Marginesy) to zatem praca naukowa? Nic z tych rzeczy – a nieczęsto się zdarza, żeby przedmiot naukowej pracy autora był jednocześnie udanym tematem jego twórczości literackiej. Co prawda Zajączkowska jak nikt inny potrafi wyjaśniać zawiłe botaniczne procesy, ale jej książka to raczej metafizyczny, choć jak najbardziej osadzony w materii, namysł nad światem naszych zielonych braci i siostr – czyli roślin. Paradoksalnie to także najbardziej poetycki tom esejów ze wszystkich, które znalazły się na liście nominowanych do nagrody. ©

Wyobrażenia bez kagańca

MICHAŁ KOZA

W kryzysowym roku 2020 dotkliwiej widać, że poezja nie oferuje łatwych pocieszeń i „nie spełnia nadziei”, by sięgnąć po antycredo Różewicza.

Co jest zatem w stanie osiągnąć? Wczytując się w pięć tomów nominowanych do tegorocznej Nagrody Gdynia, można z przyjemnością obserwować, jak poetyckie narzeczka uporczywie zagarniają kolejne obszary. Nie są to przestrzenie kojarzone z sukcesem. Wręcz przeciwnie – pojawia się doświadczenie porażki, degradacji, traumy, bólu, a także gniewna niezgoda na *status quo*. Możliwe jednak, że dzięki temu poezja jest w działaniu bliższa maszynierii codzienności, a nie wyobrazeniom, które rządziły nami jeszcze do niedawna. Zdaje się kategorię mówić – patrz, słuchaj, nie bądź obojętny.

Joanna Oparek w „Mocnych skórach, białych płótnach” (Instytut Miłkowski) stawia przed oczami czytelnika wiele trudnych obrazów. Jej teksty zapewniają postacię półświatka – skomplikowane, obłożone społeczną klątwą, rozczarowane transformacją. Często odrzucone przez historię w bardzo dosłownym sensie. Nieprzypadkowo wśród patronów tej poezji są m.in. Federico García Lorca i Zuzanna Ginczanka, zabici z powodu nieakceptowalnej dla prześladowców różnicy. Oparek z tych outsiderskich sytuacji, miejsc, ludzi i wspomnień wydobywa iskrę życia, twardy rdzeń wspomnień, płomień gniewu i – jakkolwiek patetycznie to zabrzmie – miłość życia przeciwko śmierci. Zawsze nierozłączne.

Nie do przecenienia jest operacja przeświecenia języka historii ekonomii, którą wykonuje w „**Bailoutcie**” **Tomasz Bąk** (WBPiCAK). Wiele już napisano o tym, jak poetycki pryzmat rozszczebia banksterskie metafory, które na co dzień decydują o naszym materialnym być albo nie być. To impuls, a nie kalkulacja steruje pro-



cesami giełdowymi i napędza pocziwą wiarę w dobrodziejstwa wolnego rynku. Nie można też przeoczyć innych wymiarów „Bailoutu”: konsolidacyjnego – ponieważ ma być podsumowaniem zadłużeń w tradycji poetyckiej (i innych językach), oraz wyobrazeniowego – bo to skarga na brak alternatywnych wizji świata.

Czym będzie ten rok dla „**Kalendarza majów**” **Konrada Góry** (Biuro Literackie)? Na tle pozostałych tomów ten najmocniej upomina się o różnorodność źródeł poetyckiego języka. Z każdego wiersza wynurzają się jego niecodzienne rejestry – archaizmy, anarchiczna składnia, zaskakująca wersyfikacja, język gawędy, anegdota i wyszczekania. „Dziadostwo” jako strategia poetycka pozwala Górze swobodnie przebierać w środkach. Kiedy trzeba, podmiot wyrzuca z siebie gwałtowne oskarżenie, w którym sprzeciw otwarcie polityczny łączy się z emocjonalnym odruchem.

Debiut **Moniki Lubińskiej „Nareszcie możemy się zjadać”** (Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi) rzuca czytelnika w zupełnie inne rejony. Podmioty u Lubińskiej otaczają się fauną i florą miasta. Żyją w zglobalizowanym roztworze późnego

kapitalizmu z poczuciem nieusuwalnej mnogości. Tom czyta się organoleptycznie jako hipotezę świata, w którym wszystko jest ze sobą połączone – gdzie podmiot to bardziej przejście między seriami komórek niż coś stałego. Nawiazania do nauk ścisłych, owidiańskie metamorfozy życia ludzko-roślinno-zwierzęcego – czy to już ekopoetyka i posthumanizm? Wypada potwierdzić, ale nie zamykałbym tej poezji w tak jednoznacznych etykietach.

Ostatni z nominowanych tomów, „**Świergot**” **Marcina Mokrego** (Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza), gromadzi urywki ze słowników, atlasów, indeksów i leksykonów, a także sceny z życia rodzinnego. Robi to, by wraz z kolejnymi fragmentami odgrywać zapis dziejowych traum, wdzierających się we wspomnienia. Archiwum, początkowo pozornie uporządkowane, z czasem budzi niepokój. Opowieść przełamując kolejne dokumenty: nagranie z Srebrenicy, raport z ekshumacji czy fragmenty dyskursu antysemickiego. Figura szumu odsyła tutaj nie do nadmiaru informacji, bo tych jest zawsze boleśnie mało, ale do przeżyć i do niemożliwości ujęcia historii w tekście-archiwum. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 35/2020

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardys

PARTNERZY WYDANIA:

GDYNIA

MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA

Rzeczywistość jako wyzwanie

MACIEJ JAKUBOWIAK

Prozatorskie wybory gdyńskiej kapituły od początku kojarzą się z poszukiwaniem nowych języków i literackim eksperymentem. Nie inaczej jest tym razem.

Tegoroczne nominacje to odwrót od dominującego we współczesnej kulturze realizmu. Pięć tytułów wyraźnie dowodzi, że porzucenie, choćby na chwilę, domyślnych sposobów opowiadania o świecie może w nim samym odkryć nieznane wcześniej warstwy.

Z takiego rozpoznania najwyraźniej wyrasta „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” Radka Raka (Powergraph). To kolejna w ostatnich latach próba zmierzenia się z historią rabacji galicyjskiej – jednego z najbardziej niejednoznacznych zdarzeń w polskich dziejach. Rak opowiada o życiu przywódcy powstania chłopskiego, wpuszczając w historyczną materię spore dawki baśniowości. Każe swojemu bohaterowi rozmawiać z duchami, zmieniać się w kota i odkrywać krainę Króla Węzów – wszystko po to, by rzucić nowe światło na czasem zbyt dobrze znane fakty. Choć równie ważna jest tu sama przyjemność nieskrepowanego fantazjowania, dzięki której w powieści jest miejsce i na historyczną refleksję, i na liryczność, a także na literackie dowcipy serwowane przez narratora.

Fantastyczną podszewkę skądinąd dobrze znanej rzeczywistości odkrywa też w „Zdroju” Barbara Klicka (W.A.B.), w 2016 r. nagrodzona Gdynią za tom poetycki „nice”. W prozatorskim debiucie autorka wysyła główną bohaterkę, Kamę, do sanatorium w Ciechocinku. Młoda kobieta, nerwowo powtarzająca „że tak powiem”, z trudem znosi opryskliwość lekarki, natarczywość masażysty oraz wścibstwo współkuracjuszy. Snuje przy tym wspomnienia z młodościowych pobytów w sanatorium, kiedy pierwsze intensywne doświadczenia przyjaźni i bliskości były brutalnie pacyfikowane przez instytucjonalny dryl. W końcu jednak sanatoryjna rzeczywistość zaczyna przekształcać się w niepokojącą krainę, gdzie nie da się wyznaczyć granicy między wnętrzem



a zewnątrz, a choroba Kamy i doświadczenia codziennej przemocy nabierają namacalnej wyrazistości.

Nie całkiem jest również pewne, na ile realni są lokatorzy pewnej kamienicy w „Pustostanach” Doroty Kotas (Niebieska Studnia). Narratorka tego zbioru krótkich próz pomieszkuję na warszawskiej Pradze Południe, gdzie zajmuje się głównie grzebaniem w starociach pozostawionych przez dawno zmarłych mieszkańców. Jednak im bardziej zagłębia się w ich historie, tym bardziej nabierają one substancji, aż w końcu przekraczają granice zaświatów. Niejako odwrotny ruch dotyczy drugiej głównej bohaterki tej książki – samej dzielnicy, która pod spojrzeniem narratorki przekształca się w fantastyczny rewers europejskiej stolicy. „Pustostany” to kolejna w polskiej prozie próba groteskowego opowiedzenia o kondycji prekariuszy, choć Kotas nie zajmuje się społeczną interwencją. Sprawdza raczej, jak radzi sobie rzeczywistość późnego kapitalizmu w konfrontacji z konsekwentną odmową istnienia.

O ucieczce od rzeczywistości opowiadają także „Cieśniny” Wojciecha Nowickiego (Czarne), choć jest to ucieczka bardziej dosłowna. Jeśliby chcieć wskazać jakiś temat tej książki, która za nic ma sobie granice między powieścią a esejem, byłoby to dzieje pewnej (nieistniejącej oczywiście) choroby, nazywanej poriomanią albo dromomanią i zmusza-

jącej do kompulsywnego wędrowania. Jednak „Cieśniny” to przede wszystkim opowieść o katastrofie, która wydarzyła się już dawno, choć ludzie powoli odkrywają jej ślady. Autobiograficzna pamięć miesza się tu z historycznymi fantazjami o Adamie Mickiewicz, a obłąkane podróże pewnego gazownika z Bordeaux wyznaczają trasy wędrówek samego autora, który z kilku motywów – epilepsji, chodzenia, szaleństwa, niewyjaśnionej potrzeby drażnienia podziemnych tuneli i fascynacji podziemnymi wodami – spleta substancję prozatorską gęstą i lepką.

Wśród nominowanych pewnie najbliższe realizmu lokuje się „Klub snów” Katarzyny Michalczak (Cyranka). Zebrane tu opowiadania krążą wokół doświadczeń młodych kobiet, uwikłanych w napięte relacje rodzinne, mierzących się ze społecznymi wymaganiami, a do tego próbujących okiełznać własne fobie i kompleksy. Niepokojące historie z dzieciństwa nakładają się tu na pokrętne kształty, jakie tworzy dorosłe życie. I to właśnie w konfrontacji z dojmującą rzeczywistością nieodzowne stają się sny, które nie tylko tworzą przestrzeń tymczasowego schronienia, ale w końcu zaczynają ujawniać pęknięcia w pozornie ścisłej tkance świata. Może taka właśnie jest najwyższa stawka prozy dystansującej się wobec domyślnych trybów realizmu: potraktowanie rzeczywistości nie jako przedmiotu, lecz wyzwania. ©

Odzyskiwanie dla współczesności

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Gdyńska nagroda od lat udowadnia, że w przypadku literatury przekład to znacznie więcej niż przeniesienie tekstu z jednego języka do drugiego.

Tegoroczne nominacje nawet sceptycznym czytelnikom pokazują, jak istotna jest rola tłumacza w przestrzeni literatury i języka, ale także w kształtowaniu się prądów artystycznych i wyobraźni kulturowej.

W wydanej właśnie z okazji 15-lecia nagrody książce „Prognoza niepogody” Jerzy Jarniewicz pisze o ewolucji, a właściwie emancypacji pozycji tłumacza na polskim rynku literackim. Upraszczając, można powiedzieć, że z pozycji rzemieślników stali się oni pełnoprawnymi uczestnikami pola literackiego. Jeszcze dekadę temu pominięcie nazwiska tłumacza nie tylko na stronie tytułowej, ale nawet w stopce redakcyjnej było uważane za, w najgorszym wypadku, niezręczność – dziś, na całe szczęście, byłby to skandal, a dla wydawcy kompromitacja.

Tegoroczny wybór kapituły pokazuje też, że przekład często nie podporządkowuje się rynkowym zapotrzebowaniom. Jakkolwiek zdarzają się brawurowe tłumaczenia nowości światowej literatury, to jednak doceniana jest tu szczególnie ciężka i (zazwyczaj) niewdzięczna praca przywracania współczesności dzieł klasycznych, które albo nie miały okazji do tej pory zaistnieć, albo ich poprzednie wersje zdążyły się zestarzeć. A proces ten to szczególnie cenny przypadek poszerzania granic naszego językowego świata.

Przykładem twórcy, który nie zaistniał dotąd w polszczyźnie poza pojedynczymi utworami w antologiach, jest przetłumaczony przez **Piotra Sommera** Charles Reznikoff. Redaktor naczelny „Literatury na Świecie” od dekad kształtuje recepcję amerykańskiej poezji w Polsce. W dwóch tomach poetyckich wydanych przez WBPIĆAK jako „**Co robisz na naszej ulicy**” prezentuje szeroki przegląd poezji Reznikoffa. Wybór wierszy tego amerykań-



skiego poety żydowskiego pochodzenia zmarłego w 1976 r. pokazuje, jak bardzo współczesna pozostaje jego twórczość, co w dużej mierze zawdzięczamy właśnie tłumaczowi.

Kolejnym poetą, który po ponad stu-letniej nieobecności (przynajmniej jeżeli chodzi o całe tomiki) trafia wreszcie do polszczyzny, jest Giuseppe Ungaretti. „**Radość katastrof**” (Lokator) z 1919 r. to drugi wydany przez poetę tom. Wyrosły z jego wojennych doświadczeń, przyniósł pocie sławę we Włoszech. Przekład **Grzegorza Franczaka** – wkladowcy, pisarza, tłumacza – przesiąknięty jest głębokim zrozumieniem tej futurystycznej, awangardowej i oryginalnej, ale także głęboko intelektualnej poezji.

Stawkę wybitnych tłumaczeń poezji zamyka dokonany przez **Leszka Engelkinga** przekład utworów czeskiego noblisty Jaroslava Seiferta. „**Księga pocałunków**” (Officyna), obszerna antologia poezji Seiferta, wzbogacona o posłowie tłumacza, pozwala przyrzeć się różnorodnym etapom twórczości czeskiego poety. Leszkowi Engelkingowi zawdzięczamy przekłady wielu wybitnych twórców, ale jego tłumaczenia z języka czeskiego wypełniają szczególnie bolesną lukę na polskim rynku literackim. Ponadto przekład Seiferta to kolejny dowód na niemal banalną dziś tezę, że najlepszymi tłumaczami poezji są inni poeci.

Do Nagrody Literackiej Gdynia w tej kategorii nominowane zostały także dwie powieści. „**Wyznanie maski**” (PIW), przetłumaczone przez znawczynię i wykładowczynię literatury japońskiej **Beatę Kubiak Ho-Chi**, to debiut prozatorski klasyka literatury japońskiej, ale i postaci kontrowersyjnej: Yukio Mishimy. Na poły autobiograficzna opowieść o niedostosowaniu, seksualności i pragnieniu przynależności w oryginale opublikowana została w 1949 r. – to kolejne istotne dzieło literatury światowej, które trafia do polszczyzny z dużym opóźnieniem. No ale lepiej późno niż wcale!

Wawrzyniec Brzozowski proponuje zaś polskiemu czytelnikowi nowy przekład drugiego tomu „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta, czyli „**W cieniu rozkwitających dziewcząt**” (Officyna). Ta część cyklu dotąd dostępna była jedynie w przekładzie Boya-Zeleńskiego – nowy, współczesny przekład Brzozowskiego jest wierniejszy oryginalnej idei Prousta, przez co polski czytelnik może odkryć na nowo tę powieść. Warto przy okazji zaznaczyć, że dwie tegoroczne nominacje w kategorii przekładowej należą do dzieł opublikowanych w Officynie. Szczęście do wybitnych tłumaczy to jedno, ale sukces byłby z pewnością niemożliwy bez dobrej współpracy całego wydawnictwa. ©



Stefan Chwin: „Manifestowanie odwagi poprzez lekceważenie przepisów sanitarnych jest echem marzeń o »Polaku nieustraszonym«”

Historia strachu w Polsce

STEFAN CHWIN

Kultura polska robiła – i robi nadal – wiele, byśmy o nim zapomnieli. Czy można się dziwić? Któryż to naród chciałby widzieć siebie w roli ofiary losu, która drży z przerażenia?

Polski strach to jedno z naszych głównych narodowych tabu. Mówić o nim otwarcie – czy kiedykolwiek umieliśmy? I czy w ogóle chcieliśmy? Tymczasem powodów do strachu – i to najprawdziwszych – mieliśmy niemało. Czy więcej niż inne narody? Każdy ma swoje strachy, ale i nam historia nie szczędziła okazji, by te nasze własne mogły rozkwitnąć.

I może to właśnie on – ów główny, podstawowy, hodowany w sercach przez dziesięciolecia, wielki strach przed całkowitym zniknięciem Narodu i Państwa – jest nie tylko ukrytym fundamentem naszego narodowego hymnu, w którym dajemy wyraz zdziwieniu, że naród nasz jakimś cudem wciąż istnieje, skoro my nadal żyjemy – ale i ukrytym fundamentem całej kultury polskiej ostatnich dwóch stuleci? I to właśnie on – przemilczany polski strach przed zupełną anihilacją – wymusza na nas, byśmy robili wszystko, by przesłonić go, czym się da. Byle tylko nie był tak przeraźliwie widzialny.

Nieustraszeni

Jeśli myślę o pilnym zadaniu polskiej humanistyki, to należałoby napisać wreszcie rzetelną, obszerną i odważną „Historię strachu w Polsce”. Kto pierwszy sięgnie po pióro? Może profesor Nowak albo profesor Krasnodębski? Powie ktoś: a po cóż to pisać o strachu? Nie lepiej o odwadze? Tymczasem to właśnie strach – powszechny, ludowy, cierpliwy, rozważny, chłopski, inteligencki, robotniczy, kobiecy i męski, do którego nikt się chętnie nie przyznaje – jest fundamentem przetrwania narodów. W Polsce zaś? Odważni lubili ściągać na Polskę krwawe katastrofy, za które płaciła – i to słono – nieodważna reszta. Jak to ktoś kiedyś powiedział? Dzięki tchórzom istnieje świat. Odważni nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do jego istnienia.

Poza tym o nieustraszonosci polska literatura lubiła pisać bez umiarkowania. Tekstów nie braknie, z Sienkiewiczem na czele. A tu trzeba by uważnie zgłębić odmiany, subtelne odcienie, to-

nacje, barwy, stopnie napięcia, przyływy i odpływy polskich strachów, bo bez ich opisania obraz polskiej historii i polskiej kultury jest po prostu zakłamany.

Jak wszyscy na Ziemi, czuliśmy głównie dwa rodzaje strachu: egzystencjalny i historyczny. I rozwinęliśmy wspólną sztukę przesłaniania strachów egzystencjalnych strachami, dla których powody dostarczała nam historia. Dało to znać o sobie silnie w polskiej literaturze, która wyraźnie lekceważyła strachy jednostki na rzecz patriotycznego strachu o istnienie bądź nieistnienie narodowej całości.

Dawniej baliśmy się morowego powietrza, czarownic, heretyków, inkwizycji, reformacji i kontrreformacji, buntów chłopskich i ukraińskich, Iwana Groźnego, krzyżaków, Turków i Tatarów.

Mieliśmy się czego bać szczególnie od końca wieku XVIII, ściślej od sejmu warszawskiego z 1773 r. Może dlatego tak usilnie budowaliśmy mit nieustraszonego Rejtana, milcząc o tym, że ów narodowy bohater skończył samobójstwem – właśnie ze strachu, kiedy to podobno, jak chcą kronikarze, na widok zajeżdżających przed jego dwór w Hruszówce Rosjan z przerażenia połknął stłuczone szkło i skończył w męczarniach. Nic dziwnego, że zdecydowanie bardziej polubiłmy portret Rejtana pędzla Jana Matejki, na którym ze stracenią odwagą ów sławny poseł ziemi nowogrodzkiej odważnie wystąpił właściwie przeciwko wszystkim – ugodowo nastrojonym Polakom i zaborczym potęgom.

Niewiele narodów bało się tak jak my całkowitego zniknięcia z powierzchni ziemi – i w sensie politycznym, i w XX wieku nawet najzupełniej biologicznym. Czy mogło to nie zostawić trwałych śladów w polskiej psychice i dziełach polskiej kultury? Małe mamy dzisiaj pojęcie, czym dla Polaków z XVIII wieku był choćby szok rozbiórów i deportacji w głąb Rosji, które nastąpiły od razu po zduszeniu konfederacji barskiej i trwały nieprzerwanie do roku 1918. Baliśmy się przede wszystkim tego, co mogą z nami zrobić Rosja i Niemcy. I tak pozostało do dzisiaj, z czego korzystają wciąż polscy politycy prawicowi. Prosta zasada: chcesz wygrać w Polsce wybory? Strasz Niemcami i Rosją. Ukraińcy też są do tego dobrzy. A uchodźcy i Żydzi najlepsi.

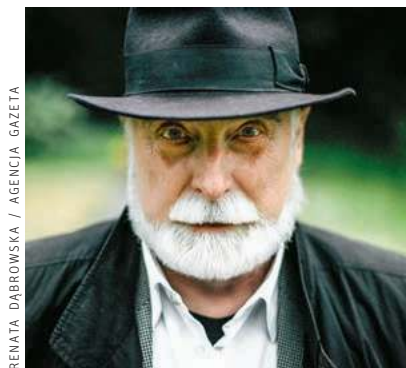
Zastraszeni

Kultura polska jako kultura narodu zastraszonego, przerażonego, zaleknionego, skulonego, rzuconego na kolana, dzwoniącego zębami? Za same takie słowa można oberwać, i to nie tylko od polskiego narodowca, który polskiego strachu boi się panicznie – dlatego przeżył klątę pod czarnym tiszertem z białym orłem. Ale i inne narody robią wszystko, by o swoim strachu zapomnieć, groźbę defetyzmu tępiąc z całych sił. Stąd patriotyczne kłamstwo często jest ich duchowym fundamentem. Każdy naród chce wierzyć, że to inni się go bali, a nie odwrotnie. Dlatego wszędzie hasło „Powstańcie z kolan!” może liczyć na żywy odzew.

Do powstania z kolan polska kultura wzywa od czasów „Warszawianki” Casimira Delavigne’a. Ale największe jej dzieła kryją u swoich podstaw ciemny nurt polskich lęków. Polski strach przed całkowitym unicestwieniem był fundamentem polskiego mesjanizmu. Mickiewicz napisał III część „Dziadów” między innymi dlatego, że w 1831 r. kompletnie nie wierzył w zwycięstwo powstania listopadowego. I bał się, że ewentualność zupełnego wynarodowienia Polaków jest realna. Podobnie myślał Herbert, który uważał, że sowietyzacja polskich sumień dokonała się po 1944 r. naprawdę.

Wielka formacja duchowa, zrodzona z polskiego strachu, narodziła się z pojańskiego pesymizmu, opartego na przekonaniu, że „za naszego życia komunizm się nie skończy”. Tak myślały wtedy miliony Polaków – aż do 1989 r. Do tego strach przed UB i NKWD. Wielka, powojenna trwoga, o której pisał Marcin Żaremba. Strach, że Niemcy wrócą do Gdańska, Szczecina i Wrocławia. Nie przypadkiem partia komunistyczna dawała gigantyczne pieniądze na panoramiczne obrazy Polski nieustraszonej – „Krzyżacy”, „Piotr” – by tworzyć złudzenie, że skutecznie stoi na straży niepodległości oraz polskości Ziemi Zachodnich – nie mamy się więc czego bać. Z kolei wielka szkoła polskiej ironii służyła rozładowaniu polskiego strachu przez śmiech. Mistrzami byli tutaj Mrozek, Wiech i Gombrowicz.

Miłosz bał się Rosji równie silnie jak Mackiewicz i przyznawał się do tego, ale w 1944 r. strach przed Niemcami był w Polsce większy niż strach przed Sowietami. Chociaż baliśmy się – jak pisał Józef „Ziutek” Szczepański – „czerwonej zarazy”, to „czarna” wydawała się gorsza.



STEFAN CHWIN (ur. 1949) jest powieściopisarzem, eseistą, krytykiem i historykiem literatury, profesorem na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego.

Partia więc na tym polu wygrywała, dlatego żołnierze wyklęci tak szybko zostali wytypieni.

Nie lękamy się?

Kultura oficjalna PRL była permanentną reżyserią strachu przed III wojną. Przez 50 lat Polacy w systemie totalitarnym byli poddawani tresurze codziennego strachu, co sprawiło, że strach przed władzą był powszechny. Dlatego protesty przeciwko komunizmowi okazały się tak nieliczne. KOR liczył kilkadziesiąt osób. Nie przypadkiem Jan Paweł II wypowiedział w 1979 r. słynne „Nie lękajcie się!”. Można się oczywiście oszukiwać, że jarmoz strachu Polacy zrzucili w sierpniu 1980 r. Cóż z tego, skoro stan wojenny zamroził wszystko i duch Solidarności z sierpnia nie odrodził już się nigdy.

Psychologiczne pozostałości kultury strachu, w której żyliśmy przez 123 lata zaborów i 45 lat komunizmu, nadal pozostają jedną z przyczyn słabości społeczeństwa obywatelskiego w Polsce. Nie narażać się, nie podskakiwać, lepiej siedzieć cicho – to dzisiaj hasło wielu Polaków, chociaż ludzimy się, że jest inaczej. Jak będziesz się wychylać, możesz mieć kłopoty z właściwie ustawionym sądem. Powieszysz w niewłaściwym miejscu niewłaściwą flagę, trafisz za kratki. Tak rodzi się na naszych oczach nowa polska kultura strachu.

Czego się boimy dzisiaj? Polska katolicko-narodowa, ludowa, prowincjonalna, prawicowa wie, że lepiej trzymać z władzą, bo pokorne cielę dwie matki ssie, to znaczy dostaje dotacje. Ta Polska boi się „zboczeń”, przymusowej euta-

nazji, ataków na świętości, podłych elit, Unii kierowanej przez Niemców i mordowania życia nienarodzonego. Polski Kościół boi się panicznie sekularyzującego się Zachodu i w skrzydle radiomaryjnym straszy Polaków nieustannie Europą Zachodnią, skąd – jak uważa – nadchodzi zło jeszcze większe niż komunizm.

Strachy dzisiejsze

Fala strachu przeszła przez Polskę, gdy Rosja ruszyła na Ukrainę i zabrała Krym. Polski eurosceptycyzm ma u podłoża strach, że jeśli Rosja z kolei wyciągnie ręce po nas, Unia i NATO mogą się zachować identycznie, czyli nie zrobią nic. Strach przed Rosją i niezdecydowaniem Unii pcha nas nierozumnie w objęcia Ameryki, która również może nas porzucić. Oto kolejny, podskórny strach dzisiejszy – ten sam co po Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Polskiej kulturze strachu wolimy przeciwstawiać naiwne zakłęcie: „Nareszcie jesteśmy zupełnie bezpieczni!”, chociaż bezpieczni nie jesteśmy wcale.

Polskiej kulturze strachu stara się dzisiaj dać odpór neurotyczna kultura urojonej siły, która potwierdza swoją moc ulicznymi wrzaskami „Duma, duma narodowa!”, paleniem rac oraz biciem „ciapatych” w tramwajach. I z kompletnej katastrofy powstania warszawskiego chce zrobić święto narodowej krzepy. Odradzają się lekarstwa na polski strach, które w latach 30. minionego wieku aplikował Polakom ONR.

Miliony z nas – jak pokazały wybory prezydenckie – boją się, że krok po kroku zbliża się do nas czas białoczerwonego faszyzmu, strojącego się w piórka praśnej, ludowej demokracji. Strach budzi sojusz tronu, ołtarza i państwowej telewizji, czyli możliwość zagarnięcia wszystkich mediów przez katolicką prawicę. I że nazwa „Warszawa” może niebawem zostać zmieniona na „Budapeszt”.

No i jeszcze mamy autentyczny, tradycyjny strach przed polskim niedoinwestowanym szpitalem z brakami medycznego sprzętu. Rzeczywisty strach przed koronawirusem dopiero w nas kiełkuje. Manifestowanie idiotycznej odwagi poprzez lekceważenie przepisów sanitarnych jest żalosnym echem marzeń o „Polaku nieustraszonego”, którymi Polacy karmili się przez dziesięciolecia. Nie ma się czego bać! Wiadomo: Kmicic żadnej maseczki by nie założył. A co tam, panie, boją się tylko tchórze!

©

A vibrant, high-angle photograph of a forest floor. The scene is dominated by a dense carpet of bright green ferns in the foreground. In the background, several tall, slender tree trunks are visible, many of which are heavily draped with thick, yellowish-green moss or lichen. Sunlight filters through the canopy, creating a dappled light effect on the forest floor. A solid red square is positioned in the upper center of the image, containing the word 'ZMYSŁY' in white capital letters.

ZMYSŁY

LEKCJE Z MCHU I PAPROCI

ROBIN WALL KIMMERER, BOTANICZKA:

Przydomowy ogródek to najlepsze miejsce do uleczenia naszej chorej relacji z naturą.
Tu najszybciej odzyskuję wiarę w to,
że człowiek może być dla natury po prostu dobry.

ADAM ROBIŃSKI: Na okładce oryginalnego wydania książki „Pieśń ziemi. Rdzenna mądrość, wiedza naukowa i lekcje płynące z natury” przedstawia się Pani jako matka, a dopiero potem m.in. naukowczyni, akademiczka i obywatelka rdzennego narodu Potawatomi. Skąd ta kolejność?

ROBIN WALL KIMMERER: Bo macierzyństwo to najważniejsze z zajęć. Najbardziej ludzkie ze wszystkich. Podchodzę z dużą rezerwą to tego, jak zwykliśmy się tytułować, do hierarchii, które budujemy na podstawie zajmowanych stanowisk. Więc pomysł wyniesienia macierzyństwa ponad wszystko inne jest dla mnie sposobem podkreślenia podstawowego braterstwa. Związków, jakie łączą ludzi. Poza tym bycie matką czy ojcem zmusza nas do bycia również tymi wszystkimi innymi osobami: nauczycielami, pisarzami, naukowcami, żywicielami.

Napisała Pani kiedyś, że jej największym marzeniem jest umiejętność fotosyntezy. Pomyślałem, że być może tak ważne jest dla Pani bycie matką, bo macierzyństwo to stan najbliższy fotosyntezie, na jaki możemy się porwać. My, którzy w przyrodzie jesteśmy konsumentami, a nie producentami.

Tak, to bardzo słuszna uwaga. Rodzicielstwo jest aktem kreacji, bierzemy materiał organiczny, jaki dostarcza nam świat, i zamieniamy go w nowe życie. Ale – prawdę mówiąc – również pisanie uważam za analogiczny proces, który można przyrównać do fotosyntezowania. Jako pisarze gromadzimy składowe świata, zbieramy historie, przeżycia, postaci, sceny, które na co dzień obserwujemy. Naszą pracą jest chłonięcie atmosfery życia, wyławianie jej fragmentów, a następnie układanie w nowej konfiguracji. Tak, by powstała opowieść. W ten sam sposób roślina tworzy cząsteczkę cukru z materiałów, które płyną przez jej życie. A więc pisanie jest jak fotosynteza, ale w znaczeniu otwarcia się na świat.

Jednocześnie przedstawia się Panią jako pośredniczkę pomiędzy naukowym sposobem zdobywania wiedzy a tradycyjną mądrością, która płynie z kultury rdzennych Amerykanów z Pani plemienia.

Różnice pomiędzy tymi dwoma światami i ich założeniami są ogromne. Nauczyłam się więc myśleć o metodzie naukowej jako o podzbiorze czegoś większego, potężniejszego i starszego, czym jest właśnie tradycyjna mądrość o świecie. Pyta pan, czy one się łączą? Czasami tak. Oba rodzaje wiedzy są *de facto* czytaniem Ziemi. To Ziemia jest źródłem obu mądrości, choć interpretują ją zupełnie inaczej.

Jako naukowczyni i akademiczka staram się uczyć moich studentów, aby zawsze wybierali właściwą ścieżkę dotarcia do odpowiedzi na konkretne pytanie. Aby metodę poznawczą dobrali do problematyki zagadnienia. Czasami narzędzia nauki są tymi właściwymi. Ale nie zawsze, nie do każdego pytania. Nauka świetnie sobie radzi z pytaniami ogólnymi, w których rozważamy tylko jedną zmienną. Zawsze wybiorę metodę naukową do rozważań typu: prawda czy fałsz.

Co innego, gdy pytanie brzmi: co jest słuszne, a co nie. To o wiele bardziej skomplikowana kwestia, wymaga subiektywnej postawy poznawczej. Nauka udziela na nie tylko częściowej odpowiedzi. Podróżując pomiędzy tymi dwoma terytoriami poznawania świata, trzeba być jednak bardzo zdyscyplinowanym i uważnym.

Ale czy te obie drogi prowadzą do tego samego celu?

Nie, one prowadzą w zupełnie odmiennie miejsca, i właśnie dlatego kluczowe jest dobranie właściwej drogi do konkretnego zagadnienia. Tradycyjna wiedza dotyczy w dużej mierze relacji i związków, więc prowadzi do dużo bardziej zagmatwanych wniosków. Wiedza naukowa z kolei często od tych relacji odwodzi, separuje obiekt badań.

Ale przecież rdzennych kultur, a więc i tradycji, jest wiele. Tymczasem nauka jest jedna dla wszystkich.

Owszem, nauka prze do uniwersalności, jednorodności, dawania jednoznacznych odpowiedzi. Ale wydaje mi się, że nie zawsze jej się to udaje. Błędem jest zakładanie, że jest w pełni obiektywna. Przecież robią ją ludzie, którzy są częścią jakiejś kultury. Ich pytania i odpowiedzi, jakie znajdują, są w polu oddziaływania tej kultury. Ma ona wpływ na to, jakie kwestie poruszamy i jak interpretujemy wyniki.

Jestem biologką, więc duża część mojej pracy wywodzi się z myślenia ewolucyjnego, które to jest mocno powiązane z naszym pojmowaniem procesów zachodzących w ekonomii i socjologii. Mam tu na myśli zachodnie pojmowanie rywalizacji i tego, jak jest ona istotna. Jasne, w przyrodzie jest sporo rywalizacji, ale zakładanie, że jest ona głównym czynnikiem kształtującym ekosystemy, to błąd wynikający z naszego skażenia systemami politycznymi i schematami myślowymi opartymi właśnie na konkurencji.

W lesie mamy z jednej strony rywalizację w koronach drzew, z drugiej zakrojoną na szeroką skalę współpracę międzygatunkową pod ziemią, gdzie drzewa i grzyby wymieniają się substancjami organicznymi.

Czasami to konkurencja jest głównym czynnikiem kształtującym ekosystem, ale współpraca i mutualizm przynoszą korzyści całej społeczności. Kiedy kwitnie społeczność, kwitną także indywidua.

Dla mnie jako ekologu zajmującego się roślinami interesujące jest to, że pełne konkurencji i rywalizacji są niedojrzałe społeczności na wczesnym stadium rozwoju. W lesie na wczesnym etapie sukcesji naturalnej panuje ogromna żądza dostępu do światła i tym samym wysoka śmiertelność. Zwierzęta i rośliny giną z uwagi na niedobory pokarmowe. Ale kiedy ten sam układ dojrzeje, dochodzi do pewnej stabilizacji, pojawiają się zakrojona na szeroką skalę współpraca międzygatunkowa, symbioza, mutualizm. I to te procesy trzymają wówczas ekosystem w ryzach.

W swojej książce pisze Pani, że nie zawsze musimy wiedzieć, jak coś działa. Czasami wystarczy wiedza, że to coś działa. Naukowiec ma zaakceptować tajemnicę?

Dokładnie tak. To podejście bierze się z pokory, w której osadzona jest rdzenna mądrość. Jej podstawą jest akceptacja, że zdolność ludzkiego pojmowania jest bardzo ograniczona, a wynika to ze zmysłów, które mamy do dyspozycji. One są piękne i mocne, ale mają wybiórcze zastosowania w porównaniu z tym, jak postrzegają świat inne żywe istoty. Nasze życie jest relatywnie krótkie, nie potrafimy patrzeć daleko w przyszłość. Te ułomności powinny owocować sporą dawką pokory. ➔

→ Tej samej, którą wpajamy studentom na kierunkach ścisłych: aby nie ekstrapolowali poza dane, które mają, poza własne obserwacje. Ludzkość powinna się w tej skromności trochę podszkolić.

Spotyka Pani wielu naukowców o podobnym nastawieniu?

Sporadycznie. Ale są tacy, którzy dostrzegają sens w posługiwaniu się dwiema perspektywami. Kiedy powiemy, że dane zagadnienie możemy roztrząsać z punktu widzenia nauki lub tradycyjnej wiedzy, dla tej pierwszej będzie to twardy orzech do zgryzienia, prawda? Ale jeśli spójnik „lub” wymienimy na „oraz”, zmienia to postać rzeczy. Kiedy nauka otwiera się na inne punkty widzenia, to z mojego doświadczenia wynika, że prędzej czy później docenia ich wartość.

Poza tym jedną z rzeczy, którą słyszę od znajomych naukowców, jest, że o ile fundamentem świata nauki jest intelekt, o tyle rdzenna mądrość dokłada do równania ciało, umysł i ducha. Mówią mi więc: „Wiesz, nie zostałem naukowcem, bo uwielbiam dane i wykresy. Ani dlatego, że kocham spektrofotometr. Wybrałem taką karierę, bo kocham naturę, a moim napędem jest ciekawość, która każe mi ciągle pytać, co stoi za fotosyntezą albo jak to jest być salamandrą”.

Albo: „Dlaczego astrzy i nawłoci tak ładnie razem wyglądają”. Jak w Pani przypadku.

No właśnie. Chodzi o ciekawość i zachwyt, które potem, na etapie przeszkolenia akademickiego, zostają zwykle wymazane. Zastępuje je materializm. Tymczasem odwoływanie się do innych źródeł wiedzy przywraca nam pamięć o źródłach fascynacji światem. O tym, dlaczego to wszystko robimy.

Nawiązując jeszcze do pana wcześniejszego pytania, tak jak istnieje wiele tradycji, tak samo nie ma jednej nauki. Sposób myślenia chemika jest zasadniczo odmienny od sposobu pracy ekologa. Tego pierwszego byłoby o wiele trudniej przekonać do spojrzenia serdecznym okiem na wierzenia moich przodków. Ekolog tymczasem zajmuje się dokładnie tym samym, co oni: związkami pomiędzy żywymi organizmami. To bardzo ekspantywne, szerokie pole badawcze. A taki fizyk teoretyczny ma z tradycyjnymi kulturami jeszcze więcej wspólnego. Przede

Jednymi z najważniejszych nauczycieli w moim życiu były mchy.

Nie tylko dlatego, że tyle czasu poświęciłam na uczenie się od nich. Mchy są najstarszymi roślinami na naszej planecie.

wszystkim w kwestii tajemniczości i niepewności.

To jak wyglądają Pani zajęcia ze studentami?

Przede wszystkim wymagam od nich biegłości we władaniu językiem i metodą zachodniej nauki. To jest moja odpowiedzialność jako członka akademickiej instytucji naukowej. Jednocześnie daję im szansę dopowiedzenia tego „oraz”, o którym wspominałam. Zachęcam do eksplorowania innych dróg. Prawdę mówiąc, staram się, by stali się dwujęzyczni.

Swój proces naukowy przedstawia Pani jako rozmowę z roślinami. Przypomniał mi się wiersz Wisławy Szymborskiej „Milczenie roślin”, w którym ubolewa ona, że to jest zawsze jednostronna relacja. „Ale jak odpowiadać na niestawiane pytania / jeśli w dodatku jest się kimś / tak bardzo dla was nikim. / Porośla, zagajniki, łąki i szuwary – / wszystko, co do was mówię, to monolog, / i nie wy go słuchacie. / Rozmowa z wami konieczna jest i niemożliwa. / Pilna w życiu pospiesznym / i odłożona na nigdy”. To jak Pani prowadzi tę rozmowę, w której poetka poległa?

Ta rozmowa musi odbywać się na wielu poziomach. W kontekście naukowym, kiedy projektuję eksperyment z udziałem roślin lub prowadzę obserwacje w lesie, posługuję się oczywiście innym językiem niż obiekty moich badań. Muszę więc stworzyć okoliczności, w których roślina będzie mogła odpowiedzieć na moje pytanie. Na przykład za sprawą tego, jak rośnie, jak kwitnie, jak umiera. Te odpowiedzi padną w następstwie zaaranżowanych przeze mnie warunków.

A zatem eksperyment jest pytaniem i jednocześnie umożliwieniem roślinie udzielenia odpowiedzi w jej własnym języku, języku jej behawioru. To jest empiryczna rozmowa oparta na obserwacji, dzięki której wiem, co roślina usiłuje mi powiedzieć.

Ale jako nie tylko naukowiec, lecz przede wszystkim istota ludzka, która żyje w otoczeniu roślin, czuję, że istnieją również o wiele bardziej intuicyjne sposoby, w jakie się z one z nami komunikują. Nie chodzi o język czy słowa, lecz o pewną całościową wiedzę, która jest nam przekazywana.

Ale ta wiedza jest głęboko zakorzeniona w lokalności. Jak przetłumaczyć ją na języki kultur, które rdzenność nadpisały innymi wartościami? W Europie nie ma już po niej śladu, są tylko strzępy prząskiego folkloru.

Nie śmiałabym nikogo namawiać, by przenośli na własny grunt cudze wierzenia i tradycje. Zamiast tego powiedziałabym, że powinien stać się rdzennym mieszkańcem swoich stron. A to oznacza bycie wyczulonym na otoczenie. Bycie studentem swojego miejsca zamieszkania.

W mojej kulturze plemienia Potawatomi posługujemy się już tylko fragmentami dawnych tradycji. Mamy świadomość, jak duża ich część przepadła. Ale nie mówimy o niej, że jest utracona, lecz uśpiona. Jesteśmy przekonani, że ziemia pamięta tę mądrość. I czeka na moment, gdy będziemy gotowi znów ją usłyszeć. Nic nie jest stracone. Trzeba tylko wyjść w przyrodę i na nowo nastawić się na słuchanie.

Pani książka pełna jest sugestii, że rośliny mają się stać naszymi nauczycielami. Są od nas na planecie o wiele dłużej. Kiedy czytałem ją na początku pandemii, idąc tym tropem szukałem wśród flory jakichś godnych naśladowania postaw. Szybko doszedłem do drzew, które owocują tylko raz na parę lat. Tzw. mast year, rok urodzaju, nie jest dla nich rokroczną normą, przepłatają go lata wstrzemięźliwości. Wynioskowałem, że może warto w 2020 r. sobie odpuścić. Przynać, że to nie jest rok zbierania owoców.

Ma pan absolutną rację. Oczekujemy nieustannego urodzaju.

Ale ja miałam jeszcze inną refleksję. Ten konkretny czas jeszcze raz uświadomił mi, jak bardzo jesteśmy powiązani z innymi organizmami. Pandemia nadała tej czysto teoretycznej, podświadomej wiedzy ciało. Wydarzenia na drugiej połowie globu mają wydatny wpływ na to, co dzieje się w moim własnym ogródku. Rośliny są świetnymi przekazywaczami tej łączności. Jednocześnie nie mogę przestać myśleć, jak wspinała się cecha jest ich zdolność do tkwienia w miejscu. Jakże nam obca! Ograniczenia w przemieszczaniu się, które narzuciła nam pandemia, zamieniły nas na trochę w rośliny. Nie wiem, jakiego języka używano w tym kontekście w Polsce, ale tu, w Stanach, mówiło się: *lockdown* (zamknięcie).

To tak samo, jak i u nas.

Tymczasem moglibyśmy to samo nazywać w inny sposób: *to shelter in place* (schronić się w miejscu). Myślę, że tak właśnie mówiłyby rośliny. Bo kiedy zamykasz się na dłużej w domu, szybko uświadamiasz sobie, że prawdopodobnie masz pod ręką wszystko, czego potrzebujesz do życia. To pomaga przewarować priorytety. Woda, jedzenie, relacje z innymi ludźmi, cała reszta jest zbytekiem. Chroniąc się, myślimy o tym, co niezbędne, i doceniamy piękno pozostawania w domu. Długowieczne drzewa są szczególnie dobrymi nauczycielami tej mądrości.

Których nauczycieli ceni Pani szczególnie?

W kontekście naszej rozmowy, ale i chwili dziejowej, muszę przyznać, że jednymi z najważniejszych nauczycieli w moim życiu były mchy. Nie tylko dlatego, że tak wiele czasu poświęcałam na uczenie się od nich. Mchy są najstarszymi roślinami na naszej planecie. I od samego początku niewiele się zmieniły. Nie są ani największe, ani najpotężniejsze. Ich definicją sukcesu jest wytrwałość, cierpliwość, wytrzymałość. Dzięki niej mchy przetrwały każdą zmianę klimatu, którą przechodził świat lądowy. Dały radę każdemu kataklizmowi, każdemu wymieraniu, podczas gdy tak wiele innych organizmów zniknęło. Swoim istnieniem mówią nam, że być może pojęcie sukcesu należy rozumieć inaczej, niż do tego przywykliśmy. Może nie chodzi o wzrost, rozwój i akumulację, lecz o trwanie



DALE KAKKAR / MATERIAŁY PRASOWE

ROBIN WALL KIMMERER jest matką, botaniczką, profesorką Uniwersytetu Stanu Nowy Jork. Członkini plemienia Citizen Potawatomi Nation. Po polsku ukazała się właśnie jej książka „Pieśń ziemi. Rdzenna mądrość, wiedza naukowa i lekcje płynące z natury” (Znak Literanova).

w sile. O bycie małym i bardzo pięknym. O współpracę z innymi.

Jest jeszcze kwestia ludzkiej słabości, kruchości, które uświadomiła nam pandemia.

Tu, na północnej półkuli, gdzie żyję, ale przecież pan także, początek pandemii zbiegł się z początkiem wiosny. Z jednej strony mieliśmy strach, ograniczenia i świadomość własnej słabości, z drugiej – świat natury, który jak gdyby nigdy nic wchodził w nową porę roku i po prostu robił swoje. To dawało mi u zarania minionej wiosny duży komfort.

Jednocześnie było taką czerwoną flagą, która przypominała mi, że ta nasza chwilowa słabość jest dla innych organizmów codziennością. Zastanawiałam się, czy bezpieczne będzie pójście do warzywniaka po jedzenie, czy może odwiedzić mnie rodzina. A to są przecież codzienne problemy choćby ptaków. Czy będę miała gdzie żyć? Czy wystarczy dla mnie jedzenia? Jak wpłynie na mój świat zmiana klimatu? Czy moje życie stanie się jeszcze bardziej nieprzewidywalne? COVID-19 to moment, w którym możemy zrodzić w sobie międzygatunkowe współczucie wobec innych istot. Proszę pomyśleć

o plagach takich jak zaraza kasztanowców albo holenderska choroba wiązów. To przecież myśmy je rozprzestrzenili. Najmniejszą rzeczą, jaką możemy teraz zrobić, jest nabranie odrobiny współczucia wobec innych, równie wrażliwych jak my istot.

To wszystko, co Pani mówi i pisze, emanuje potężnym optymizmem. Pochodzącym jakby z innej planety. Łatwo się Pani szuka tej nadziei?

Jej źródłem jest dla mnie obserwacja świata natury. Ekstremalna kreatywność w rozwiązywaniu problemów i adaptacji, którą w nim widzę. Świat jutra będzie inny niż dzisiejszy, ale będzie. Właśnie dzięki tej pomysłowości świata ożywnego.

Mój optymizm nie bierze się z chowania głowy w piasek, lecz z wiedzy, że istnieje wiele sposobów na to, by życie, powietrze i woda zrewidowały swoje relacje i wzajemne położenie i stworzyły z nich coś nowego.

Jest jeszcze przydomowy ogródek, najlepszy – jak Pani pisze – sposób na uleczenie naszej chorej relacji z naturą.

Są miliony sposobów, ale ogródek jest chyba najłatwiej dostępny. To miejsce, w którym szybko dostrzega się własną sprawczość i odzyskuje wiarę w to, że człowiek może być dla natury po prostu dobry.

Oswoił się z myślą, że my i przyroda nie idziemy w parze, że nasz wpływ jest głównie zgubny. To nie do końca prawda. Człowiek, który zaczyna z otoczeniem współpracować, staje się niezwykle pozytywną siłą kreatywną. Ale postawmy sprawę jasno: żeby zawrócić z tej drogi prowadzącej do kryzysu klimatycznego, musimy pozwolić roślinom być roślinami. Coraz częściej mówimy, że potrzebujemy technologii, która usunie dwutlenek węgla z atmosfery, wywoła deszcz albo ochłodzi planetę. Ale przecież my już tę technologię od dawna mamy! I ona działa! Naszą robotą nie jest więc tak naprawdę założenie przydomowego ogródka, z którego za dwa miesiące zbierzemy plony, ale myślenie o całym świecie jak o ogrodzie na wielką skalę. O zalesianiu, renaturyzacji krajobrazów. O pomaganiu roślinom w robieniu tego, co robią najlepiej.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Znowu apokalipsa



TRUDNO NAM ZNALEŹĆ RACJONALNE powody dla pobudzenia związanego z ostatnią wymianą ministrów. Po prostu nie wiadomo, dlaczego ci panowie byli ministrami, dlaczego utracili te posady i podobnie nie wiadomo, dlaczego ministrami zostali akurat ci nowi, a nie jacyś inni. To są zagadki,

zważmy, bez odpowiedzi na jakimkolwiek poziomie. Na sypiące się zewsząd pytania, dlaczego te zmiany są w ogóle przeprowadzane i dlaczego akurat teraz, nikt w kraju – od pełnego ogromnych węgorzy Bugu po lazurowe meandry Odry, włącznie z premierem, prezydentem i prezydentówną – nie zna odpowiedzi. Nikt tego nie wie – od wyszczerbionej żyłki Tatr Wysokich po, zaznaczamy z naciskiem, pracujące pełną parą smaźalnie środkowego Pomorza.

Owszem, był moment, gdy podjęliśmy drobny wysiłek zapoznania się z sytuacją i przesyłabizowaliśmy na głos, z trudem, fragment treści wytworzonej ostatnio przez aparat ministerstwa spraw zagranicznych. Ów pożegnał dotychczasowego szefa tymi słowami: „jego następca będzie kontynuował dotychczasową linię i sprzyjał dalszemu umocnieniu pozycji Polski na arenie międzynarodowej”. Dobrze. Podejrzewamy, że aparat ministerstwa spraw zagranicznych informacje na temat pozycji międzynarodowej Polski czerpie jednak z zagranicznych gazet, ale redagowanych i drukowanych w Warszawie. Zaiste produkcja takich druków nie jest dziś skomplikowana i na pewno kiedyś te egzemplarze osiągną na rynku antykwarycznym kosmiczne ceny. Nie trzeba dodawać, że ich roczniki na 100 procent są magazynowane w pewnym omszałym domku na Żoliborzu.

Nowy minister spraw zagranicznych, co oczywiście nie jest już w Polsce w ogóle szokujące, ma do zagranicy sto-

sunek, ostrożnie rzecz ujmując, specyficzny. Wydaje się, że jego praca, której poważnym elementem jest podróżowanie, będzie dlań pasmem niewyobrażalnego cierpienia. Wyszło bowiem, że Europa widzi mu się jak jakaś straszliwa planeta zamieszkała przez kanibali i zoofilów. Biduś – wypadaloby powiedzieć i wzruszyć ramionami, ale przecież nikt nigdy nie powinien pomyśleć, że jesteśmy pozbawieni wrażliwości, że bliźni nie może liczyć na naszą choćby najskromniejszą poradę. Otóż może liczyć, bo tego wymagają wyznawane przez nas wartości humanistyczne. Spektrum lęków i czujności obecnego ministra – popatrzmy na sytuację z wrodzonym nam zmysłem praktycznym – poza dyskusją kwalifikującą go do pracy bądź to w jakimś inspektoriale kontrolującym ogrody zoologiczne, bądź w instytucji analizującej jadłospisy wąskiego segmentu naszej umiłowanej gastronomii. Teka ministerialna jest, zdaje się, na wejściu za ciężka. Może odpuścić, po co szarpać nerwy? Po nic. To oczywiście tylko prosta rada, ale jej walorem jest fakt, że jest dana darmo.

Pójdźmy dalej. Strach przed byciem zjedzonym jest w Polsce wbrew pozorom wcale nierzadką fobią. Wiele razy w życiu, w trakcie naszej trudnej pracy na froncie wolnego słowa, w kontaktach z umiłowanymi rzeszami, zetknęliśmy się z ludźmi bojących się kanibali. Co ciekawe, byli to wyłącznie mężczyźni i wyłącznie działacze prawicy, aktywiści zarówno szczebla lokalnego, jak i centralnego. Choć szperaliśmy w bibliotekach, przeczytaliśmy setki artykułów w dziesiątkach języków, pytaliśmy specjalistów skupiających swe badania na obyczajach spożywczych, badających zaburzenia łaknienia, przeglądających zawodowo książki kucharskie, nikt nie był w stanie objaśnić, skąd w Polsce tak silnie obecny lęk przed byciem zjedzonym. W kraju, w którym jedzenie ludzi nie ma przecież powszechnej, udokumentowanej tradycji, i w którym nie ma żadnego ludożerczego stereotypu. Jest to zagadka, jakich wiele, ale rzecz trzeba: fascynująca. Być może – to zaledwie domysł – polski lęk przed wizytą kanibala jest jednak fragmentem wielkiej, obowiązkowej w każdym domu panoramy strachu, której uczy się tu każdego, od przedszkola po uniwersytety, od lewa do prawa. Apokalipsa jako przedmiot wiodący i operetka jako podstawowy gatunek wyrazu. Tak to chyba wygląda. Mniam.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



S-Biznes internet symetryczny dla firm



➔ s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na ➔ s-net.pl



ILE MOŻE BYĆ WARTE DZIEŁO SZTUKI? PONAD 2 MLN ZŁOTYCH!

Taką cenę osiągnął na aukcji w DESA Unicum obraz Jacka Malczewskiego „Wiosna”.

Masz w domu obraz, rysunek, fotografię, rzeźbę? Ile mogą być warte? Ile zyskały na wartości?

DESA Unicum – największy polski dom aukcyjny – zajmie się profesjonalnie wyceną i sprzedażą Twojego dzieła sztuki. Najlepsze wyniki sprzedażowe, szybka i sprawna obsługa, bez pośredników. Zaliczki na poczet sprzedaży jeszcze przed aukcją.

SKONTAKTUJ SIĘ Z DESA.PL